



Z
A
C
H
C
I
A
N

Dziesięć zmysłowych opowieści
Chutnik, Dębski, Dukaj, Gretkowska,
Kofta, Kuczok, Miłoszewski,
Plebanek, Tulli, Twardoch

K
I

Świat Książki

Zbiorowy

Zachcianki

**Dziesięć zmysłowych
opowieści**

Sylwia Chutnik NIEWINNE CZARODZIEJKI

Tak nie można, żeby o czternastej, zamiast stukać drewniakami w jakiejś hucie szkła, uprawiać seks z koleżanką. Nawet taką, którą zna się od dwudziestu lat, z którą się ściągało na maturze, wymieniało karteczki z segregatorów i robiło rzeczy, o których lepiej zapomnieć.

A tu sytuacja skrajna, niby przyjaźń do czegoś zobowiązuje, ale gdzie kończy się przysługa, a zaczyna desperackie życie innym życiem?

Palce na materiale, mój przyspieszony oddech, sama nie wiem, czego chcę, jakieś zawirowanie w głowie. Krótka pauza, a może to nie wypada, co ludzie powiedzą, za chwilę z tego wszystkiego przygryzam sobie język.

Chodź, ona mówi, powyglupiajmy się, i już mocno przyciska mnie do siebie, czuję na sobie jej całe ciało, absolutnie wszystkie części. Trochę jakbym dotykała swojego odbicia w lustrze, bo ona to ja, tyle że z innej skóry uszyta, z innych kości jej rusztowanie. Mam wobec tego dnia inne plany, ja się potwornie gdzieś spieszę, tylko nie pamiętam gdzie. Przypominam sobie jakieś prace, które zawsze mam. Jakieś maile do napisania, sprzątanie w domu, ustawianie butów od najniższych do najwyższych. Cokolwiek, co sprawi, że będę mogła naturalnie i spontanicznie oświadczyć: „Ooch, tak mi przykro, było interesująco, lecz czas goni, pa”.

Jej palce na materiale bluzki pachnącym płynem do płukania. Wyobrażam sobie tę dziewczynę, jak leży gdzieś nad wodą i się opala. Nie chodzi o wygląd jej ciała, raczej zapach skóry pełnej słońca, jakichś klimatów z wakacyjnej pocztówki. Tego relaksu nadmorskiego, kupowania pamiątek z budki i jedzenia gofrów.

Lipcowa Warszawa pachnąca gorącym asfaltem i smarem torów tramwajowych. Zepsutymi ciastkami; w tym upale wszystko jest zbyt intensywne.

Ona od zawsze miała krótkie włosy i nosiła się po berlińsku. Szerokie spodnie z paskiem z ówiekami, opuszczone do granic możliwości. Bokserki – bokserki! I jeszcze podkoszulek, a na nim jakiś śmieszny bohater z kreskówki. Styl androginiczny, styl nawet nie *butch*, tylko alternatywa połączona ze sportowym wdziakiem. Bez stanika, w za małych piersiach, za dużych oczach mrużonych to na lewo, to na prawo.

Tego ranka jadłyśmy razem lody, siedząc na murku przy Chmielnej. Ona wzięła malinowe z czekoladowymi, a ja cytrynę i truskawkę, ale sorbet. Miejski żar atakował z każdej części chodnika. Wyzierał zza płyt, wynurzał się z ich pęknięć. Przeciwno nam, naszemu spotkaniu i całej tej sytuacji.

Jadłyśmy lody i tak gadałyśmy, że rozmiękły nam wafelki, a strużka malinowych pociekła jej po rękę. Aż do łokcia. Odruchowo przeciągnęłam palcem po jej skórze i zliziałam resztki. Słony smak, bo ona dużo jeździła na rowerze i jej skóra cały czas robiła porządkę.

„Masz grzech, bo zjadłaś nabiał, koniec koszernego”, powiedziała do mnie, ale wcale nie była w tym złośliwa, raczej taka melancholijna.

Dwa dni temu zginął jej kot, widziała, jak spada z siódmego piętra. Nie miała odwagi spojrzeć przez okno, ale usłyszała taki plask i kiedy zbiegła na dół, kot zdążył jeszcze spojrzeć na nią i przymrużyć oczy. Mrużył je zawsze, kiedy odpoczywał przy balkonie, jak świeciło słońce, malując panele na żółto. Paski ciepła, Rudy wyczuwał je od razu. Biegł przez pół pokoju i z impetem rzucał się na nie, rozplaszczając się we wszystkie strony. Czy mógłbyś, kocie, się przesunąć, idę z praniem na balkon i nie mogę przejść. A Rudy wtedy ani drgnął, mądrała, udawał, że nie słyszy i tak leżał. Może wtedy zobaczył przez okno jakiś smakowity promień słońca i niewiele myśląc, skoczył do niego?

Dwa miesiące temu zginął mój mąż, widziałam, jak wpada pod samochód. Nie miałam odwagi spojrzeć chwilę potem, ale słyszałam huk i kiedy później zobaczyłam jego ciało w kostnicy, wydawało mi się, że patrzy na mnie i mruży oczy. Przymrużał je zawsze, kiedy chciał się przekomarzać lub zrobić mi na złość. Leżał na zimnym stole, w kostnicy nie ma słońca.

W każdym razie ona nie mogła dojść do siebie po tym wszystkim i cały czas na przemian mówiła o kocie i zapewniała, że nie chce o tym mówić. Właściwie wyszłam z domu tylko dla niej, bo co innego mogłabym zrobić. Nie myślałam już o niczym, po prostu budziłam się, jechałam na grób, wracałam do domu i jadłam suchy chleb. Gryzłam skórkę, aż wrzynała mi się w dziąsła.

Ona zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym z nią poszła na miasto, to mi opowie o kocie.

Wyszłam więc na miasto dla niej, z dobrego serca, aby ją pocieszyć i trochę się pokazać. Że się nie skończyłam, że jeszcze żyję i walczę. Samotna i z lekką nadwagą, z zarośniętymi brwiami i resztkami lakieru na paznokciach. Patrzyłam zdziwiona na Marszałkowską, że ona jeszcze tu jest. Jak to tak, centrum żyje beze mnie, kluby wlewają w siebie tysiące dźwięków, metro mieli tłum, zgrzytają tramwaje. Wszyscy mają błyszczące oczy, grają w serialach lub spłacają wysokie kredyty.

Ona skończyła jeść te lody i zaczęła bawić się błotnikiem od roweru zrobionym z plastikowej butelki. Na dzwonku naklejony był Alf, kolega z dzieciństwa, zgorzkniały kosmita z telewizji. Wyglądał jak wspomnienie z dyskoteki na koloniach, kiedy wszystkie dziewczyny psikały sobie żelem na grzywki stapirowane na bok. Na alfa właśnie, tak było najładniej. Bezwiednie przeczesalam palcami włosy, jakby w poszukiwaniu resztek karbowanych fal i lepiałego żelu kupowanego w plastikowych opakowaniach.

Nic już we mnie nie zostało z tej dziecinnej ekscytacji z serii „kto kogo dziś poprosi do tańca”. Czułam się na krawędzi mieszczaństwa, na krawędzi rezygnacji. Myślałam o kocie przyklejonym do chodnika, który spadł z wysoka i teraz żegna się z tym życiem na wieki wieków. W tamtej chwili bardziej obchodził mnie rozplaszczony zwierzak niż rozplaszczony mąż.

W żałobie przychodzi taki moment, że na chwilę przestajemy skupiać się na własnej rozpacz i zaczynamy skupiać na rozpacz cudzej. Dla pocieszenia? Żeby zająć czymś myśli,

a może po prostu z empatii? Nie wiadomo, ale już wielokrotnie zauważyłam, że umysł jest w stanie przejść na tryb awaryjny i działać poza naszą świadomością. Dziwnie brzmi, ale to prawda. To działa trochę jak autopilot – kiedy nie jesteśmy w stanie dostatecznie dobrze dowodzić maszyną organizmu, umysł przejmuje kontrolę. Mówi do nas: „Spokojnie, to tylko awaria, zaraz wyjdziemy na prostą”. Podczas gdy my gapimy się bezmyślnie w jeden punkt na ścianie i smarkamy w chusteczkę, głowa sama próbuje szukać rozwiązań. Jest jak troskliwa mama, która zagaduje dziecko. Jeden moment – dzieciak leży z rozbitym kolaniem, jest w szoku i zastanawia się, czy płakać, czy biec dalej. Należy wtedy być ostrożną jak saper, wkroczyć do akcji, zapewniając, że nic się nie stało i taki ładny piesek idzie obok. Podobnie działa umysł. Idziesz z czarnymi myślami po ulicy i coraz bardziej chcesz rzucić się pod samochód. Lecz nagle oczy dostrzegają w witrynie sklepowej nową książkę ulubionej pisarki. Przez chwilę się rozpraszasz – i już. Kierujesz swoje kroki do księgarni. Zapominasz o smutku, samobójstwie, rozpacz. Sytuacja uratowana, umysł oddycha z ulgą. Tym razem się udało.

Czyżby głowa działała dwutorowo, częściowo poza naszą kontrolą? Jedna ścieżka zaspokaja nasze pragnienia i kierujemy nią, jak chcemy. A druga? Kto nią steruje, kto nas ratuje z depresji, kto zagaduje w chwilach zwątpienia? Kto nas tam w środku pociesza, kładzie rękę na rozpalonym czole?

Starłam się wykrzesać z siebie resztki entuzjazmu życiowego. Desperacko próbowałam ucieszyć się czymkolwiek. Ot, choćby jedzeniem lodów na ulicy. Marność, marność, czuję marność. Silenie się na dobry humor zawsze jest marne. A to się zaśmiejesz nieco zbyt głośno, a to powieka będzie drgała nerwowo. Wszyscy się domyślą. Poza tym ciągle obgryza się skórki przy paznokciach, do krwi. Wiszą takie resztki, poharatane. Wokół kciuków dziury wyżłobione od nerwów, jakiejś grozy życia przyklejonej do palca.

Wreszcie ona powiedziała: „Chodźmy do mnie, nie będziemy tak się tutaj wałęsały, jest za gorąco”.

Mieszkała w wysokim bloku, mrówkowcu jak z Białoszewskiego. Gdzie korytarze tworzyły nadziemne ścieżki w sam raz dobre do ucieczki. Można było zamieszkać pod zsydem i nikt by się nie dowiedział. Tarchomin wyrastał z mostu, z Wisły zasuplanej kominami, pociachanej mostami. Co tu się może wydarzyć, w domach z betonu nie ma wolnej miłości, jest winda jeżdżąca do góry i na dół, a czasem niejeżdżąca wcale.

Weszliśmy do przedpokoju i ona zaraz zaczęła płakać, bo przecież zawsze na powitanie przychodził kot, a teraz go nie było. Pocieszałam ją i myślałam o tym, że kiedy wchodziłam do swojego pokoju, to najpierw patrzyłam w duże lustro, które zawieszono pod takim kątem, że widziałam w nim biurko Pawła. I na tym biurku zawsze stał jakiś prezencik dla mnie. Raz był to wielki bukiet kwiatów, innym razem obrazek, jakaś kartka z napisem lub coś głupiego: przepychaczka do kibla albo zestaw dżemów. Jak wchodzę teraz, to na nic już nie patrzę, bo zdjęłam lustro.

Zbiłam lustro. Zaczęłam w nie walić butem, aż spadło i rozbiło się na wiele części. Lustro bez prezentów na biurku jest mi niepotrzebne.

Ona płakała, siąkała nosem i wyciągała zdjęcia kota. Potem poszliśmy do kuchni

i otworzyłyśmy wino. Dobrze smakowało, dobrze jest pić mocne wino o drugiej po południu, człowiek ma wtedy wrażenie, że pochodzi z lepszej kasty. Jest wyżej urodzony, tam, skąd pochodzi, ludzie nie umierają, tylko żyją w luksusie i rozbijają się motorówkami w tę i z powrotem.

Włączyłyśmy *Niewinnych czarodziejów*, aby popatrzeć sobie na miasto w czarno-bieli i posłuchać trąbki. Przez chwilę oglądałyśmy w ciszy, a wtedy ona (to było przy tej scenie, jak on wpada na dworzec, żeby szukać Pelagii) odwróciła się do mnie i powiedziała smutno: „Chodź, powyglupiamy się”, ale moja twarz była poważna, przerażona. Siedziałam wyprostowana, z rękoma wzdłuż siebie, żeby nikt nie powiedział, że mam cokolwiek wspólnego z całą sytuacją. Absolutnie – siedzę sobie, a jakaś kobieta wije się wokół mnie, to jest dość sympatyczne, nie powiem, ale chyba nie powinnam.

Sprytna ona jest, zna kobiece ciało. Wie, gdzie powinna delikatnie przejechać palcem, a gdzie drapnąć. Przesunęła rękę na mój tyłek, zawsze myślałam, że jakiś za duży, bezkształtny, wymykający się. Teraz wszystko to znajduje swoje zastosowanie, a jej dłonie precyzyjnie obejmują pośladki, ściskają, drapią, formują. Zaczynam rozumieć, bo to jednak jak Kuchnia TV – takie międlenie ciasta, ugniatanie, a ona mówi: „Mówiłam, że będzie śmiesznie”. Tak, śmiesznie, mogłyśmy sobie puścić jakiś kabaret i też by tak było, ale ona wybrała coś bardziej bezpośredniego. No więc tyłek: pupa, dupa, nie wiem, jak to nazywać. Nigdy nie myślę o tej części ciała i nie wiem nawet do końca, jak wygląda. Zaczynam się niepokoić, że w całej tej sytuacji trzeba będzie przecież zdjąć majtki, ale nie wiem zupełnie, co tam pod nimi jest. Zaczynam się wstydzić.

Nie chciałam, aby się wydało, że jestem mieszczańska, ale wstydzę się seksu, a już szczególnie tego w dzień i jeszcze tego, że nie jestem pewna, czy koleżanka tak do końca chce to zrobić, czy może w pewnym momencie otrze usta, naciągnie spodnie i powie zwykłym głosem: „Dobra, muszę wyjść z psem”. A ja już się napalę, ja już się wciągnę w letnią zabawę i będę miała nieprzytomny wzrok, będę – nie daj Boże – zasapana i spocona.

Jestem małą kroplą przebiegającą po jej plecach, kiedy tak pochyla się nade mną i nie wstydzi się spojrzeć na moją twarz. Błądzi wzrokiem gdzieś po szyi. I zaraz potem zajmuje swoje usta, całując mnie w zagłębienie pomiędzy szyją i ramieniem. Moje oczy nie wiedzą, co zrobić, wydaje mi się, że jest w tym wszystkim coś niestosownego, ale nie wiem jeszcze co.

Myślę przez chwilę o Pawle, że jest tu obok i patrzy na to wszystko. Prostuję się automatycznie, ale za chwilę poddaję się znowu całej sytuacji. Jest mi wszystko jedno.

Chwile takie jak te. Ogólnie należy je przeczekać bez możliwości włączenia głowy. Najlepiej zająć myśli czymś wymagającym skupienia, jakieś neodgadnięte hasła z krzyżówek, jakieś równania złożone i zadania z kruczkami. Liczenie owiec, liczenie swoich błędów, liczenie się z tym, że cała scena może ciągnąć się i ciągnąć.

Tymczasem ona całowała dalej, zajmowała się swoimi sprawami i nie wiem zupełnie, o czym myślała, może gotowała obiad, oglądała ulubiony serial.

Ale co to, zamykają mi się oczy, chociaż wcale nie chcę iść spać. Powieki same wiedzą,

co robić w takich okolicznościach, są jak zabawka z papieru. Piekło-niebo. Jestem gdzieś pomiędzy, gęsia skórka łaskocze spod ubrań. Zaraz je zdejmuję, rzucam obok i nawet nie patrzę, czy poskładane.

Skóra drży od wewnątrz, jak to możliwe, nigdy tak nie miałam. Nie chcę się rozchorować w takiej chwili, ale nabieram głęboko powietrza i postanawiam podjąć grę. Tak postanawia ciało.

Właśnie biorę jej twarz w dłonie i zbliżam do swojej. Pytam ją, czy pamięta, jak zjeżdżałyśmy na basenie Warszawianki i czy pamięta, jak wtedy się darłyśmy.

Zaczynamy krzyczeć, wrzeszczeć, pisać. Dziewczyny w wodzie, dziewczyny w kostiumach mokre, z włosami przyklejonymi do twarzy, kosmykami dzielącymi oczy, usta, nos. Z wodą w plastikowej butelce na ochłodę, w rozrzuconych okularach i kremie do smarowania. Z piętami ozdobionymi piaskiem albo z klapkami wsuniętymi między pomalowane paznokcie.

A te paznokcie pomalowane krzywo, z wchodzeniem na poobgryzane skórki. Ozdabiane na szybko i byle jak. Dziewczyny na lato, jak z kalendarza.

Leżymy na dywanie i wydaje nam się, że jedziemy na zjeżdżalni w dół. Wpadamy do basenu. Ona nagle poważnieje i obejmuje mnie w pasie. Chyba dociera do niej, że oto wchodzimy na inny poziom znajomości i że coś się między nami wydarza na zawsze. Dotychczasowe przejażdżki rowerowe nie będą już zwykłym ściganiem powietrza, będą nerwowym śmiechem i zakłopotanym milczeniem.

A może ona mi się oświadczy, jak na filmie pornograficznym – po ostrej orgii ślub. I od tej pory będziemy jeździły na rowerze, trzymając się za ręce, będziemy walczyły o legalizację związków homoseksualnych, będziemy pikietować pod Sejmem o bezpłatne in vitro.

Patrzy na mnie i wydaje się, że niczego się nie boi. Zawsze tak było. Kiedy chodziłyśmy do podstawówki, to potrafiła iść na wagary, praktycznie parując przed oczami nauczycieli. Wychodziła po prostu z klasy i jechała zaraz na jakieś stawy, glinianki. Zdejmowała dżinsy i tyle ją widzieli. Plusk, dwa baseny na plecach. Chlap i znowu całe ciało wyprężone, mokre. Leżałam na kocu i chciałam tak jak ona, ale zawsze miałam w takich chwilach okres. Pojawiał się w momencie, kiedy miałam zrobić coś szalonego, coś poza sobą lub sobie wbrew. Aż dziwne, że i teraz nie mam. Aż dziwne, że moje ciało jest takie posłuszne, gdy tak leżymy i muskamy się niedbale po wewnętrznej stronie ud. Ona dotyka mnie, znowu odważnie. Jednym palcem (ale może to było niechcący) przejeżdża po krawędzi majtek obok warg. Zrobiła to i nie było już odwrotu. Nikt nie uwierzy, że to tylko przyjacielski masaż. Prawdziwy cel ukazuje się w całej swej obraźliwej formie.

Jeden mały całus w pierś. Sutek kurczy się zmieszany i wygląda jak rodzynek znaleziony w kacie, bo komuś upadł przy pieczeniu ciasta. Pauza, nie wiadomo, co robić. Jesteśmy zbyt dorosłe, aby spontanicznie przejść przez całą przygodę bez mrugnienia okiem.

W komputerze leci zapętłony utwór Komedy z filmu Wajdy, filmu, w którym kobiety nosiły sukienki wcięte w talii, a panowie marynarki. W którym dorośli ludzie bali się powiedzieć

o kochaniu, zupełnie jak my teraz. Nie miałyśmy na sobie ładnych ubrań, nic już na sobie nie miałyśmy, a nadal było trudno. Dźwięk trąbki przechodził gładko w klawisze pianina, było mi coraz bardziej miękko w sercu, taka wata uczuciowa. W razie czego mogę zrzucić winę na muzykę, na gorące światło, które wyciska z truskawek zapachy.

I te zapachy powoli przechodzą na jej skórę. Mimowolnie zaczynam wąchać jej brzuch, ma śmiesznie wystający pępek, patrzę też niżej, ale tu już by kamera zjechała na lampkę nocną i nie pokazała nic. A ja zostałam wychowana na polskiej kinematografii, na moralnym niepokoju, a nie rozedrganym, drżącym ciele. Nie umiem przenieść tam wzroku. Będziemy więc tak krążyć wokół siebie, wokół dwóch miejsc nieprzekraczalnych i będziemy czuć się winne tego, że za chwilę trzeba będzie zacząć przygotowania do orgazmu.

Ale ona jest przedsiębiorcza o wiele bardziej niż ja. Wie, że nie ma co czekać, bo zaraz skończy się Komeda, zadzwoni telefon, któraś będzie musiała powiedzieć „przepraszam” i słowo to zepsuje wszystkie pocałunki.

Obraca mnie na plecy i delikatnie wspina się na moje ciało. Dopasowuje się jak łyżeczki leżące w szufladzie, wystające do wklęsłego, wypukłe do nieobecnego. Jesteśmy w idealnej konfiguracji cielesnej. Teraz czas na opowiadanie sobie snów. Prosto do ucha.

Co ci się śniło?

Śniło mi się, że idę mokrą ulicą, w której odbijają się latarnie. Skręcam ze Złotej prosto w bramę przy tyłach starego Relaksu. Brzydki zapach rekompensuje wnęka, w której schowałam dwie małe gałązki lawendy. Biorę je delikatnie w dłonie, żeby się nie skruszyły, i przykładam do twarzy. Gałązki zamieniają się w mężczyznę, który poprawia kapelusz, bierze mnie za łokieć i wyprowadza w ciemną noc. Idziemy dość szybko, mijamy neony przy Brackiej, które wydają dziwne syczenia, pewnie dlatego, że część diod jest przepalona. Delikatny dźwięk zagłuszają chlapiące samochody, które przejeżdżają obok nas. Jeden z samochodów wjeżdża w kałużę i oblewa mi sukienkę. Odskakuję, a mężczyzna dobiega do samochodu, jakoś go dogania i wsiada do środka. Po jakimś czasie samochód zatrzymuje się, mężczyzna z niego wysiada, a w rękę trzyma odciętą głowę kierowcy. Chcesz, pyta, a ja na to, trochę urażona, a po co mi odcięta głowa. Obca? Co, wazon sobie z niej zrobię? Wypcham i na ścianie powieszę? Nie potrzeba mi.

Mężczyzna kłania się przede mną, uchyla runda kapelusza i okazuje się, że zamiast głowy trzyma w rękach kwiaty, ale ja już biegnę sama w stronę Pałacu Kultury i nie oglądam się za siebie. Nie mam czasu, zaraz centrum miasta zamieni się w jeden wielki pożar, bo to ten kierowca będzie chciał się zemścić.

Budzę się trochę zdziwiona, że nie czuć zwęglonych domów.

A ty jaki miałaś sen?

Poprawiam się niezdarnie, zdrętwiała mi ręka, którą położyłam sobie pod plecy. Nie wiem, czy mam jej zdradzić swój straszny sen, jak ona to przyjmie, czy nie będzie to grubymi nićmi sztya oczywistość z serii „erotyk”.

Mój sen zaczynał się niewinnie. Jechałam gdzieś samochodem i patrzyłam przed siebie. Pamiętam, że mocno trzymałam ręce na kierownicy, ścisnęłam obręcz, jakbym miała zaraz stracić nad nią panowanie. Palce mi bieleły, zrobił się zator krwi, zaczynałam mieć problemy z oddychaniem. I stopę na gaz mocniej, wjechałam w zakręt tak szybko i nerwowo, że cały samochód aż odrzuciło. I wtedy z półki spadł nóż. Kiedy się po niego schyliłam, okazało się, że siedzę przy stole pełnym elegancko ubranych ludzi. Wszyscy oni mieli przypięte do marynarek i sukni kolorowe kotyliony. Głos zabrał taki gruby pan siedzący nieco z boku. A teraz, powiedział, różowe kolory do różowych, niebieskie do niebieskich. I zapanował chaos, ludzie szukali swoich par. A jak już się odnaleźli, to zdejmowali pospiesznie ubrania i zaczęli... nie wiem, jak to nazwać, no wiesz.

Ona nie pomagała, tylko dopytywała się, no co, no co.

A ja wstydziałam się tego słowa.

Spólkowali.

Lądowali na krzesłach tuż przy stole. Albo na podłodze i zaczęli od razu, no wiesz...

Ona śmiała się już głośno. Miała usta tuż obok mojego ucha i jej śmiech przewiercał głowę, przechodził przez nią i bolał jeszcze bardziej.

Nie dokończyłam mojego snu. Nie potrafiłam go opowiedzieć. Zbyt dużo karnawału w środkach wyrazu, zbyt prosta fabuła, aby uczepić się jakiegoś wątku. Byłam bezradna tak samo jak później, kiedy próbowałam ułożyć sobie to wszystko, co się wydarzyło.

Jej palce na mnie, jej łono wbijające się nagle w moje. Już bez majtek, gdzie są majtki? Kość szorująca o kość. Wolę jeździć na rowerze.

Najgorsze było to, że za kilka minut miała zadzwonić do mnie pani z telefonii komórkowej i złożyć ofertę. Już dwa razy dzwoniła rano, a ja prosiłam o telefon później, że później będę miała czas. Było mi przykro jej odmawiać, nie wiem, ile taka osoba zarabia na tej infolinii, ale pewnie niewiele i jeszcze musi się użerać z ludźmi. Ktoś mi opowiadał o swojej koleżance, że pracowała jakiś czas w tych śmiesznych słuchawkach i co chwila dzwonił do niej jakiś zboczeniec i posapywał. A ta dzwoniła i dzwoniła, kusiła ofertami, promocjami i zniżkami. Uczepiłam się tej myśli o zbliżającej się rozmowie telefonicznej. Jak żył Paweł, zwykle prosiłam go, aby pomagał mi przebrnąć przez te wszystkie wybory – a jaki abonament, a na ile i po co. Teraz musiałam wysłuchiwać tysięcy komunikatów, które nużyły.

Nie wierzę już w abonament, życie kończy się zwykle nagłym zerwaniem umowy. Człowiek pod rozpędzonym samochodem, rozpędzony kot skaczący z okna. Koniec promocji na szczęście.

Teraz się całowałyśmy. Nieco mechanicznie przerzucałam język z górnych zębów na dolne. Chciałam mieć za sobą ten pierwszy raz – z kobietą i bez Pawła. Chciałam jutro powiedzieć psychoterapeutce z pewną dumą: „No proszę, nie żyję w celibacie. Ja też mam, proszę pani, fizyczne potrzeby, gdyż jestem młoda i nie umarłam. Ja żyję”.

Ona wyczuła, że nie przykładam się do tego wszystkiego i spojrzała na mnie, mówiąc: „Jak chcesz, to ja przez chwilę będę nim, chcę zrobić ci przyjemność, nie krępuj się, bądź dla mnie żoną na kilka chwil”.

Wtedy zrozumiałam, że to może być coś dobrego, jakaś w miarę bezpieczna (bo z koleżanką) zabawa w dom. W małżeństwo. W coś, czego nie ma, w dwa ciała zabawa.

Pokusiałam się o zamknięcie oczu i przez łzy powiedziałam: „Robimy to, żeby nam się dobrze żyło i bez smutku”. Pocieszajki, niewinne czarodziejki stwarzające obrazy ludzkiej życzliwości.

Kiedy dotykałam jej piersi, wydawało mi się, że dotykam sama siebie. Nie byłam jednak pewna jej reakcji, więc najpierw delikatnie, a potem coraz szybciej wkładałam sutki do ust i otaczałam językiem. Stawały się coraz większe, jej oddech przyspieszał. Ciało delikatnie mrucało.

Kiedy dotykałam ud, wydawało mi się, że sama siebie głaszczę po nogach. Najeżone włoski, które widoczne były tylko pod światło, zaczynały łaskotać moje wargi. Wtedy zniżyłam głowę i spojrzałam prosto w cipkę.

Wiedziałam już, że tak mam ją nazywać, aby lepiej ją zrozumieć. Pocałowałam na przywitanie, ale chwilę później włożyłam w nią palec. Najpierw jeden, potem dwa. Wiedziałam, gdzie co jest. Obsługi uczyłam się na sobie, w czasie wieczornych tęsknot. Pamiętałam też, że dobrze jest powoli powiększać liczbę gości i dlatego włożyłam do środka trzy palce. Strasznie tam było w środku ciepło. Wewnętrzna gorączka bezbronnego ciała, które nie może schronić się za skórą, nawet bardzo cienką. Wewnętrzna strona kojarząca się z mięsem.

Miarowo ruszałam palcami, zahaczając coraz częściej o lechtaczkę. Kiedy zrobiłam tak po raz kolejny, wtedy i ona, jakby z wdzięczności, sięgnęła do mnie. Zwinęła dłoń i zaczęła nią szybko pocierać. Całowała mnie i przytulała drugą ręką. Kiedy gładziła mnie po karku, byłam już bliska szczytowania. Kark miałam zawsze wrażliwy, ale teraz stawał się wręcz przewrażliwiony. Wydawało mi się, że byle spojrzenie w jego stronę wprawiłoby moje serce w nerwowe drganie.

Komeda grał dalej, my na podłodze, jedna obok drugiej. Wtopione w siebie jak siostry, tak że już nie można było niczego przerwać. Całowanie stawało się oszalałe, objęliśmy się zębami o siebie nawzajem. Ręce nie wiedziały już, czy zostać w środku, czy może zająć się jeszcze czymś innym. Trochę tu, trochę tam, skóra prawie czerwona, wygłaskana, wydrapana. Błyszcząca od śliny.

Ona zdążyła jeszcze uderzyć mnie w tyłek i całe jej ciało wyprężyło się, zamarło. Jakby nie było pewne, co teraz – opaść, wzdrygnąć się, a może delikatnie zsunąć z ciała drugiego i usnąć.

Trwała ta chwila bardzo długo, też zamarłam, bo wiedziałam, że to już, a oglądać orgazm koleżanki to trochę jak przeczytać jej pamiętnik. Orgazm był też trochę mój, jakbym jej pożyczyla siebie na chwilę. Nie wiedziałam, co mam zrobić.

Wtedy poczułam, że robi mi się gorąco w brzuchu, coraz bardziej i bardziej. Fala jak wrząca herbata przeszła na dół i zagnieżdżyła się w środku. Trach – coś się wylało, coś wypełniło cały środek, jak lato wypełnia pokój oblepiającym, parnym powietrzem.

Spanikowałam, przez chwilę straciłam kontrolę nad sobą, a jak to tak: nie kontrolować się.

Był jasny dzień, wino rozlało się z jednego kieliszka i teraz barwiło podkoszulek na krwawo. Ciekawe, jak to się zmyje, trzeba przysypać solą.

Krwawe ślady na asfalcie po przejechaniu Pawła były widoczne jeszcze przez tydzień. Przychodziłam tam, stawałam na środku przejścia dla pieszych i patrzyłam. Z czasem krew zrobiła się brązowa, wyglądała jak plama po benzynie. W końcu wszystko zniknęło. Nie sypałam soli.

Leżałyśmy obok siebie i zaczęłyśmy rozmawiać o jakimś programie telewizyjnym, w którym ludzie zamieniali na weekend rodziny. Jedne dzieci szły mieszkać do drugiego domu i na odwrót. Eksperyment pod okiem kamer. Wyobrażałyśmy sobie, że idziemy na weekend, jako dzieci, do domu Brada Pitta i Angeliny Jolie i jesteśmy ich kolejnymi bachorami. I chodzimy, jęcząc: „Tato, zrób tę minę, jaką miałaś na koniec *Bękartów wojny*, mamo, ostrzyż sobie grzywkę, tak jak miałaś w *Przerwanej lekcji muzyki*”. I tak przez dwa dni. A w nocy wskoczyłybyśmy do ich łóżka i zerznęły kolejno jedno i drugie.

Takie byłyśmy wyzwolone po tym seksie, jakbyśmy wypiły za dużo i puściły nam hamulce mieszczańskiego wychowania. Przestraszyłam się, że mi tak zostanie i szybko zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Złapałam nawet zalaną winem bluzkę i z kupką ubrań poszłam do łazienki.

Przez zamknięte drzwi słyszałam, jak ona krząta się po pokoju, wyłącza film, przesuwając stół, który niechcący ruszyłyśmy podczas tego pocieszania. Jak ona zaciera ślady tego wszystkiego, ale nie w sposób pospieszny, sugerujący nieczyny czyn, zdradę czy grzech. Raczej przywraca normalność, dając tym samym sygnał, że nie – nie weźmiemy ślubu i nie zamieszkamy razem. Nie – to nie jest początek wielkiej miłości. Będziemy nadal umawiały się na rower albo chodziły na wyprzedaje. A jak mi się polepszy nastrój, to może zafundujemy sobie nawet wakacje last minute, wyjazd do jeszcze bardziej upalnego miasta niż to.

Kiedy wyszłam mokra od wody, ale odprężona jak po popołudniowej drzemce, ona siedziała przy stole. Kroiła świeże warzywa, chyba na sałatkę.

„Zgłodniałam jak cholera”, mruknęła i podjadła pomidora. Potem długo wybierała zioła i wysypywała je do miski. Ładnie pachniało. Nie musiałam nic robić, tylko patrzeć i czekać. Pokroiłam chleb i polalałam go oliwą. Jedzenie zaraz było gotowe, jadłyśmy, rozmawiając o znajomych i planach na weekend.

Wiem, że Pawła tam nie było, ale czułam się dobrze, tak dobrze jak wtedy, kiedy w czasie naszego ostatniego wspólnego wyjazdu objadaliśmy się beznadziejnymi chipsami zalepiającymi zęby i cały organizm. Dobre były te chipsy, zapomniałam ich nazwy. Powiedział do mnie

banalnie (ale nawet nie prychnęłam drwiąco, że mówi, jakby czytał romans). Uśmiechnęłam się tylko, bo on powiedział: „W sumie to nieważne, co się je, z tobą zawsze wszystko smakuje”.

I ona powiedziała w tym momencie, przy stole na Tarchominie, w lipcowy dzień, prosto z upału: „Jezu, pyszna ta sałatka, ale z tobą zawsze mi smakuje”.

Łukasz Dębski

ŚPICOLOTEK PIĘCIOPIÓR, CZYLI PRZYPADKI DOKTORA MOTYLA

Podróż do siedziby instytutu tramwajem linii nr 2 mijała doktorowi w bardzo niespiesznym tempie, dokładnie w tempie tramwaju linii nr 2. W wagonie dostrzegł grupę studentów zasłuchanych w jakiejś konferencyjnej opowieści Elizy, koleżanki z wydziału filmoznawstwa, potrafiącej niczym Audrey Hepburn łączyć śmiałość wypowiedzi z powściągliwością gestu i elegancją ubioru. Ona to wszystko łączyła w szpilkach. Doktor Motyl liczył na spotkanie z Elizą, nie tyle nawet osobiste, bo nie bardzo mógł o tym marzyć, ale choćby wzrokowe, dzięki czemu mógłby zaproponować, by usiadła naprzeciwko, na jedynym wolnym miejscu. Naturalnie nic takiego się nie stało, w końcu to nie film. Naprzeciw Motyla usiadł dziesięcioletni gnojek czytający z uwagą *Władcę much* Goldinga, Motyl zaś bawił się dwiema kulkami, czarną i białą. Współczesne dzieci dorastają szybciej niż dorośli – pomyślał. – Gdybym był pisarzem, z przyjemnością odnotowałbym ów aforyzm w jakimś opowiadaniu, nawet zupełnie bez powodu.

„Erotyka w kinie polskim” – trudno o lepszy temat na referat dla prawdziwego filmoznawcy, dla prawdziwego konesera piękna, dla prawdziwego mężczyzny. Doktor Motyl był z pewnością prawdziwym filmoznawcą, tak bowiem jego matka przedstawiała go na rodzinnych uroczystościach. Był też z pewnością koneserem piękna, odróżniał bowiem bez trudu nie tylko Stephena od Timothy’ego Quay, ale i Filippo od Filippino Lippięgo. Nie popadaj jednak w popłoch, drogi czytelniku (choć statystycznie jesteś czytelniczką), wszak nie jesteś zapewne doktorem humanistyki, a jeśli jesteś mężczyzną, pocieszy cię informacja, że choć Motyl był filmoznawcą i koneserem piękna, niewiele możemy powiedzieć o jego męskości, była ona bowiem domniemana.

Filmoznawstwo od zawsze było jego pasją. Należy odrzucić pochopne zarzuty, jakoby był w liceum po prostu kolejną łajzą lubiącą oglądać filmy. Nie tylko wiedział doskonale, o której jest pospieszny do Yumy i gdzie rosną poziomki (tam!), wiedział też, co zrobić z tą wiedzą, by życie było możliwie przyjemne. Wybór dziedziny był nieprzypadkowy: X muza to w końcu najzamożniejsza z muz, najpyszniejsza z branż, otoczona zainteresowaniem mediów, pełna sowności dotowanych festiwali, pięknie ubranych kobiet, ładnie pachnących mężczyzn, darmowego jedzenia, noclegów, przelotów i adeptek, właśnie adeptek także pragnących ogrzać się w jej blasku.

Przez wiele lat Motyl lizał ten świat przez szybę, ale teraz zdawało mu się, że wreszcie dostał się na drugą stronę. Od jakiegoś czasu myślał więc tylko o dwóch rzeczach: referacie pt. „Erotyka w kinie polskim” i adeptkach właśnie. Z pewnością efektowny sukces w pierwszej dziedzinie oznaczałby także osiągnięcia w drugiej.

A trzeba nam wiedzieć, że doktor Motyl, mimo pewnych możliwości, nie wykazywał odwagi wobec młodszych kobiet, nawet tych szczerze zainteresowanych filmem. Gdyby jego poczynania umieścić na osi dokonań, był na dokładnie przeciwnym biegunie niż taki na przykład

Andrzej Żuławski, albo – co należy wypowiedzieć szeptem, który w innych okolicznościach byłby krzykiem – dziekan Ryś. Profesor Ryś był krępy, blisko pięćdziesięcioletnim mężczyzną zakończonym równie nagle jak jego nazwisko. Drwale mówią o takich ludziach „ciosany z jednego pieńka”. Gdy siedł korytarzem dziekanatu, był niczym Mojżesz – masy wiernych rozstępowały się przed nim i zlewały na powrót tuż za nim. Młode filmoznawczynie spuszczały wzrok, filmoznawcy zaś z sukcesem udawali, że ich nie ma.

Motyl i inne owady z wydziału w sensie zawodowym fruwały za Rysiem wszędzie tam, gdzie Ryś podjął trop, dziekan był bowiem gwiazdą krytyki, konferencji i festiwalu. Jednak zarazem w sensie obyczajowym i osobistym żaden z chuderlawych stawonogów nie ważył się wchodzić na teren przez Rysia oznaczony. Była w tym wszystkim także nauka, o nauce nie zapominajmy, w końcu to uniwersytet.

Zebranie wydziału, jak zawsze we wtorki o 10.00, zgromadziło w gabinecie króla puszczy całą filmoznawczą faunę w jej najlepszych wcieleniach. Wszyscy – w tym i Motyl, i Eliza – byli odpowiednio ubrani, przy czym kobiety tak, by możliwie rzucić się w oczy, mężczyźni zaś – przeciwnie. Ryś monologował o najbliższych zamierzeniach, pytał o realizację zadań z ubiegłego tygodnia i plany na tygodnie kolejne, wbijając w słuchaczy szpikulec lodowatego spojrzenia. W tle dyskretnie, lecz sugestywnie mruzczała ścieżka dźwiękowa z filmu *Nietykalni* Briana de Palmy. Panowie nerwowo skubali długopisy, panie natomiast robiły co można, by dać szefowi do zrozumienia, że można by znacznie więcej. Motyl, bawiąc się dyskretnie kulkami (czarną i białą), obserwował ten cotygodniowy spektakl z zażenowaniem. Była to dla niego obrzydliwa etnograficzna wycieczka w obyczajowe średniowiecze. Mieliśmy w końcu XXI wiek, za oknem płynęła trzecia fala feminizmu, on zaś uczestniczył w czymś, co mogłoby się odbywać na dworze Henryka VIII. Nie mógł pojąć, jak ten dyskusyjnie ubrany skurczybyk doszedł do swojej pozycji, do takiej władzy nad nimi, w jaki sposób, będąc kimś takim, robił nie wiadomo ile razy wiadomo co, wiadomo z kim. Motyl nie słuchał Rysia, tylko przyglądał się jego sylwecie (bo nie była to sylwetka, sylwetkę to miał Motyl): jego wielkim dłoniom, skórzanym butom, grafitowym spodniom, beżowej koszuli, gdy nagle zatrzymał wzrok. Zauważył znak, swoisty plastikowy stygmat, który informował zebranych, że Ryś jest tego dnia w jeszcze lepszej formie niż wszyscy oni razem wzięci. Był to... guzik. Rozpięty drugi guzik koszuli.

Motyl zamarł. Zawiesił się niczym Windows, by pomyśleć nad znaczeniem owego sygnału. Mężczyzna, który nosi krawat, ma zwykle zapięte wszystkie guziki, łącznie z tym u szyi. Mężczyzna bez krawata ma zwykle ten jeden rozpięty. Ryś miał rozpięty nie tylko ten jeden, ale i... następny. Kolejny guzik ukazywał kolejne kilka centymetrów lekko porośniętego włosów Rysiewego ciała. Co o mężczyźnie mówi nam ten guzik? Guzik ten, do spółki ze swym kuzynem, guzikiem u spodni, jest zdecydowanie najgłębszy treściowo. Ten guzik to wystawiony w rozmówców policyjny lizak, to znaczeniowy walec przejeżdżający po spokojnej okolicy z tą oto wiadomością: NIE BEZ POWODU ZOSTAŁEM NIEZAPIĘTY! Jest jak piracka flaga zwiastująca abordaż i jasyr szalupie pełnej kobiet, jak rozkaz do poddania się wydany po niemiecku. W demonstracji Rysia była wyszukana tortura, rodzaj gwałtu na rzeczywistości, niezwerbalizowana opresja. Niby niezamierzona, bo nie sposób tu komukolwiek czegokolwiek udowodnić, jednak i słuchacze, i słuchaczki wystawili antenki, by odebrać wyemitowany sygnał.

– Chciałbym zaproponować omówienie naszego wyjazdu na Festiwal Schulza na Ukrainę
– wypalił nagle Motyl, sam siebie zaskakując śmiałością.

– Jeśli będę ciekaw pańskiej opinii, doktorze Motyl, nie tylko w tej, ale i w jakiegokolwiek innej sprawie, to na pewno pana zapytam – odparł Ryś, tnąc Motyla tym zdaniem niczym samurajskim mieczem. Został tylko odwłok. Ryś miażdżył go słowem, pozycją i guzikiem. Z reszty zebrania wydziału doktor Motyl nie zapamiętał ani słowa.

* * *

„Erotyka w kinie polskim” – temat ten Motyl dostał od Rysia na miesiąc przed konferencją organizowaną we Lwowie i Drohobyczu z okazji roku Brunona Schulza. Miał wygłosić referat w jednym z drohobyckich pałaców, starym kinie z epoki. Ryś wziął sobie coś lepszego: „Sanatorium Pod Klepsydrą – fetysze Schulza w obrazach Hasa”. Jedno i drugie było zgodnie z Rysiovymi zainteresowaniami, jednak szerszy temat przerzucił na wątle barki Motyla, nie dlatego, że cenił go jako swojego doktoranta, ale dlatego, że w tych akurat sprawach widział w nim doktoranta-dyletanta. A na konferencjach – trzeba wam wiedzieć – jest jak na festiwalach piosenki: nikt nie chce występować po Maryli Rodowicz. Ryś wiedział, że Motyl nie jest dla niego żadnym konkurentem.

„Erotyka w kinie polskim” – temat to trudny, zwłaszcza dla Motyla, bo polskie kino w tej dziedzinie miało osiągnięcia takie jak Motyl w okazywaniu męskości – domniemane. W ramach przygotowań zaczął przekopywać internet, domową filmotekę, bibliotekę, filmotekę wydziału filmoznawstwa, archiwa Jagiellonki, ale ciągle miał za mało materiału. Z nerwów bezustannie bawił się dwiema kulkami (czarną i białą). W polskim kinie, jak wiemy, nie brakowało nagości, ale – i nie on pierwszy to zauważył – była ona na ogół zgrzebna, cierpiętnicza, niepodniecająca. Filmy powojenne zanurzone w naszej polskiej duszy opowiadały zwykle o owej duszy rozterkach, o uwikłaniu jednostki w historię, o niepokoju moralnym, o bohaterach spizowych, którzy, jak wiadomo, zajęci robotą patriotyczną, nie uprawiają seksu. Dramaty historyczne, zwłaszcza z udziałem postaci autentycznych, też nie pokazywały odbiorcy, skąd biorą się dzieci, i nawet śmielsza obyczajowo szkoła polska przerywała sceny erotyczne, nim ktokolwiek zdążył wypowiedzieć zgłoszkę „e”.

Kino lat 80. to szarobure kadry niespełnienia, błoto, dziadostwo i ciągle brzydka pogoda, zaś to, co kręcono po '89, generalnie było albo bardzo niezmysłowo rozbierane, albo nierozbierane wcale, by klasy szkół podstawowych mogły bez obaw kupować bilety. To wszystko – myślał Motyl – nasza historia, nasze jarzmo, przeznaczenie. Prawdziwie podniecające, tu i tam odnajdywane strzępki, jak scena z Grażyną Szapołowską ułożoną na makowcu w filmie *Magnat* czy Kalina Jędrusik w *Ziemi obiecanej*, nie tworzyły żadnej całości, żadnych reguł, trudno z nich było wyciągnąć jakiegokolwiek syntezy – co, jak wiadomo, jest esencją dobrego referatu. I jeszcze znajdź w tym, człowieku, coś odkrywczego, i jeszcze – najlepiej – wykonaj manewr Edlingera^[1] i połącz z prozą Schulza. W polskich filmach ludzie ściągali bieliznę dopiero pod kołdrą. Motyl dostał od Rysia doprawdy samobójczą szansę. Po tygodniu daremnego ślęczenia porzucił pracę nad referatem z nadzieją, że w ostatniej chwili coś samo się wydarzy i jego mózg w momencie stresu wygeneruje jednak jakąś brawurową myśl. Rzyzykowna ta metoda już nieraz ocaliła Motylowi jego owadzie życie.

* * *

Motyl tkwił w samochodzie już czwartą godzinę. Krajobraz za oknem nie przewijał się ani szybko, ani wolno. Krajobraz za oknem stał ścięty trzydziestostopniowym upałem niczym jajko na miękko. Polsko-ukraińskie przejście graniczne w Korczowej to niekończąca się, nieruchoma glista zapchanych towarami po sam dach pojazdów, w których obywatele Ukrainy przewożą do swojego kraju to, co u nich jest droższe. Czyli wszystko. Może poza wódką, papierosami i węglem. Setki prywatnych samochodów, na ogół volkswagenów, pełnych ludzi i dobra, tylko że ci ludzie nie siedzą w środku. Glista na zbliżeniu tętni życiem mikropasożytów. Ludzie biegają dookoła, każdy coś załatwia, krzyczy, blokuje miejsce, by wpuścić kolegę albo dzwoni do znajomych, żeby spytać, czy tak samo beznadziejnie jest w Medyce czy Hrebennem. Do tego handelek. Cały czas uzupełnianie zapasów, wymiana bezgotówkowa, negocjacje. W tej drabinie społecznej są mrówki piesze, mrówki, które stać na podwóz, handlarze średniego szczebla i nieco spokojniejsi szefowie. Tylko oni stoją w miejscu, ale także niebezpieczynie. Ich ogorzałe dłonie mają ADHD, bo też kiedyś uzupełniały zapasy, negocjowały i wymieniały. Dłonie skubią słonecznik. Wzdłuż kolejki są dziesiątki małych grup, po dwóch-trzech mężczyzn cierpliwie łuskających ziarna. Obcy jest im pedalski zwyczaj nieśmiecenia pod siebie, więc dziesiątki grup tworzą setki słonecznikowych kupek, które wyglądają, jakby drogę zaatakowało stado ryjących asfalt kretów. Setki pracowitych dłoni, do tego śmieci, kupki, kubki, reklamówki, niedopałki, gestykulacje, Bliski Wschód po prostu, a pośród tego wszystkiego przerażony, ściskający kierownicę doktor Motyl w spodniach rurkach, marynarce (Zara Kids?) i białych trampkach. W całości wyglądał jak beżowy kosmita zrzucony na planetę czerni. Tutejszy dress code obejmuje bowiem – jak kiedyś w zakładach Forda – tylko jeden kolor. Fasony też są podobne: czarne parapółbuty, czarne dżinsy i czarna skórzana kurtka. Nieważne, ile jest stopni. Do tego sporadycznie kapelusik-żółwik, który Motyl pamiętał na zdjęciach z XX wieku. A on? No właśnie – pusty bagażnik, czysty samochód, umyte zęby – wszystko nie tak. I jeszcze coś, co wyróżniało go najbardziej, coś, co było tak inne, że chyba widoczne ze stacji orbitalnej Mir: gładko ogolone okolice nozdrzy. Brak wąsa. Gdyby Motyl nie miał ręki lub przynajmniej oka, przeszedłby niezauważony. Ale on nie miał wąsów, głównej cechy dziedzicznej wyróżniającej faunę tych okolic. To, co jemu kojarzyło się z sado-maso, gejowskim porno, a w najlepszym razie z *Bohemian Rhapsody*, tu było oczywiście jak kolejka.

Typologia wąsa nie jest może nawet przyrodnią siostrą antropologii, ale zupełnie niesłusznie. Rozmaitość wąsów, które można wyróżnić na przejściu granicznym w Korczowej, jest wręcz onieśmielająca, mieni się feerią kształtów, pozwala ocenić charakter i aspiracje noszących, jednak liczba ich typów nawet Karola Linneusza wprowadziłaby w zakłopotanie. Pośród nich należy wymienić cztery zasadnicze:

;-() – półowal – klasyczny, najseksowniejszy, mocno zarysowany, w niektórych krajach mógłby uchodzić za przesadnie rozrośnięty, jednak nie tu. Noszony przez klasę wyższą średnią i ludzi z aspiracjami, to nad granicę cecha immanentna, więc roi się tu także od nieuzasadnionych półowali, co zakłóca rozpoznanie.

;-() – arystokrata, rzadki dość w tych stronach, odległe echo tradycji cesarsko-królewskiej, oznacza dobre pochodzenie, mieszaną krew, niekiedy rzadkie u przemysłowców dobre maniery oraz klasyczne, nikomu niepotrzebne wykształcenie.

;–=) – młodzieżowo-prawicowy, jest jaki jest albo z braku zarostu, albo z nadmiernej miłości do własnego kraju, albo z powodu ciasnej zabudowy tutejszych miasteczek – ci, co je noszą, na ogół nie mają do siebie dystansu.

;–[I – zabijaka, dynamicznie osadzony, przeważnie przypomina kształt ramion właściciela, którego można niedrogo wynająć, a udowodni, że wąs nie nazywa się tak bez powodu.

Te cztery główne kształty typologiczne dzielą się na podgrupy i typy mieszane, pozwalają jednak z grubsza rozpoznać, kto jest kim, kim był lub kim będzie. Wąs to nieduży, ale obszerny znaczeniowo komunikat.

Wszystko to i wiele, wiele więcej tuż przy przejściu granicznym w Korczowej, po stronie polskiej, tam gdzie największy tłum, gdzie setki zmotoryzowanych szmuglerów i pieszych stonków oblaży blaszaną puszkę z jedzeniem, czyli Biedronkę. Ostatni polski sklep nad granicą. Pośród nich nasz bohater. Motyl patrzył na stonki przed Biedronką.

* * *

Jak jadąc pięć kilometrów na godzinę, można spowodować stłuczkę? Jeśli jest trzydzieści stopni, ma się mózg owada i ogląda stonkę przed Biedronką, to całkiem możliwe. Motyl stuknął w stojący przed nim samochód dostawczy okryty plandeką. Zagapił się i uderzył dość mocno. Zdezorientowany walnął czołem w klakson i zatrafił. Dostawczak, który stał w miejscu, zakołysał się w przód i w tył, po czym przez rozpiętą plandekę na maskę Motyla zaczęły spadać gołe kobiety. Brunetki, blondynki, a nawet rude. Dziwny był to widok, zwłaszcza że owe gołe kobiety były w większości pozbawione rąk, wszystkie miały sterczące piersi i wszystkie były dokładnie wydepilowane. Samochód Motyla został w połowie zasypany manekinami. Zrobiło się zamieszanie. Ludzie otoczyli oba pojazdy, a Motyl struchlał, wyobrażając sobie, że za chwilę kierowca z wąsem-zabójcą nadzieje go na stalowy hak. O dziwo, nic takiego się nie stało, a Motyl ujrzał w lusterku wstecznym, że dostawczakiem kieruje sympatyczna kobieta, która ruchem głowy poprosiła o zapakowanie manekinów z powrotem. Wyglądało to dość niesamowicie – kilkunastu mężczyzn z Motylem na czele zaczęło ładować gołe manekiny, chwytając je w kroku i w talii, wrzucać do samochodu, potem kompletować te, które się rozpadły, szukać części ciała, dopasowywać głowy, dokręcać ręce. Nie wszystkie wyglądały tak dobrze jak przedtem, ale w końcu się udało. Dostawczak ruszył, a Motyl ledwo żywy opadł na siedzenie i schował twarz w dłoniach.

Blisko cztery godziny później jakieś czterysta metrów dalej w radiu leciała ścieżka dźwiękowa do filmu *Salto*, a zirytowany Motyl wyklepywał na kierownicy rytmiczną linię basu. Przypomniał sobie znane zdjęcie Konwickiego leżącego w papuciach na dyskusyjnym tapczanie, doskonale by się tu teraz nadawał. Gniew Motyla narastał razem z tempem utworu, zwłaszcza gdy uświadomił sobie, że Ryś pewnie trzyma teraz rękę na kolanie Elizy w samolocie LOT-u, podczas gdy on musi tkwić w tym syfie, bo „tniemy koszta, doktorze”. Gdy zaczął powoli kołować w okolicę budki celników, było już po zmroku. Z oddali dochodziło wycie wilków, zupełnie jak na amerykańskim filmie.

Podjechał do budki celniczej albo raczej budka powoli podjechała do Motylowego auta, bo po kilku godzinach w jednej pozycji człowiek niczym na statku ma wrażenie, że to okolica się rusza, a nie on. Wsiadł, stanął w ogonku z paszportem, powiedział polskiemu celnikowi, że nie ma nic do oclenia, a potem posłusznie, za ruchem ręki przetoczył się pod budkę ukraińską.

Tam to samo, tylko trochę surowiej i brzydsze kroje mundurów. Trzeba było też pokazać bagażnik, jego nijaka zawartość wywołała w celniku podejrzanę drżenie wąsa. Chłop jedzie przez granicę i nic nie wiezie, no cóż, są na świecie i tacy ludzie – pomyślał celnik, choć prawdopodobnie po ukraińsku. Po oględzinach Motyl wziął dokumenty i hopsa, do ukraińskiej budki po błogosławieństwo.

Tam znajdowało się mroczne, gadające okienko. Okienko zadawało pytania: „Po co jedziecie, co ze sobą wieziecie, na ile jedziecie?”. Dokładnie to samo, co po polskiej stronie, tylko że w innym języku i w liczbie mnogiej, mimo że Motyl niezmiennie i nie z własnej woli ciągle jechał sam. Niezmiennie też kucał, bo gadające graniczne okienka są tak nisko, by żaden podróżny się nie wywyższał, by czynił pokłon, by wiedział, kto tu rządzi. Wreszcie okienko wystawiło dłoń i rzekło:

– Nie pojedziecie, rejestracja nieważna.

– Proszę? – zapytał zdezorientowany Motyl. – Może pan powtórzyć?

– Dowód nieważny, zła rejestracja, nie pojedzie pan – odpowiedziało okienko.

Motyl nerwowo zaczął wyjaśniać:

– No wiem, kilka dni temu złomiarze podpieprzyli... to znaczy odkręcili mi rejestrację, ale mam nową, dowód tymczasowy, podbity przez Urząd Miasta Krakowa, na pewno ważny, proszę spojrzeć, podpisał prezydent miasta.

– Co robimy? – zapytało okienko.

– Jak to, co robimy? – pytał coraz bardziej zdenerwowany Motyl. – Ja nie mogę wrócić, jutro muszę być na konferencji. Niech mnie pan puści.

Wówczas z okienka wyjrzała ogromna głowa. Niestety dla Motyla, była to głowa ogromnej kobiety. Głosem mężczyzny, z którym dotychczas rozmawiał Motyl, powiedziała:

– Zjedźcie na bok i nie blokujcie.

Zeszywniały Motyl wsiadł do samochodu, odjechał dwadzieścia metrów na bok i zaparkował pod wysokim płotem. Mógłby się założyć, że jest pod napięciem. Zaczął tracić panowanie nad sobą. Nie wiedział, co zrobić, nie znał tu nikogo, nie miał wpływów, właściwych dokumentów, ba, nie miał nawet wąsa. Skup się, myśl! Co w twojej sytuacji zrobiłby Maciek Chełmicki albo Karol Borowiecki? Opanował drżenie rąk i odkręcił szybę. Nie zobaczył przez nią krajobrazu, tylko napis „Columbia University – New York”.

– Co, Wieloryb pana zablokował? – zapytał właściciel bluzy. Motyl zrobił głupią minę.

– Weź pan pięćdziesiąt hrywien i wsadź do paszportu, to pana puści. Ta baba jest jak czarna dziura – zasysa wszystko wokół.

Motyl sięgnął po portfel i chwilę później stał w dziesięcioosobowym ogonku, bo przepadła mu kolejka.

Po półgodzinie ponownie stanął przed okienkiem. Milczało.

– Przypomniałem sobie, że jednak mam właściwe. Tablice. Może pani to sprawdzić?

Celniczka-Wieloryb wzięła paszport, przekartkowała, wsunęła banknoty do kieszeni i oddała Motylowi.

– Czyli mogę jechać? – zapytał, niemal klękając przed okienkiem.

– Tymczasowy dowód rejestracyjny nie upoważnia do wjazdu na teren Ukrainy. Mówiłam panu. Proszę wracać.

– Co! Jak to? A pieniądze wzięła pani ode mnie...

Wówczas z okienka wysunęły się ogromne czerwone paznokcie zamontowane na ogromnych, różowych palcach i zaczęły stukać w blat. Chwilę później dwóch rostrych ukraińskich celników wzięło Motyla pod ręce i odciągnęło od okienka. Nie zrobili mu nic złego, zamknęli tylko w jego własnym samochodzie. Potem weszli do stróżówki, wyszli, pokręcili się wokół auta i otworzyli sobie drzwi.

– Chodź. Może uda się coś załatwić – powiedział jeden z nich i chwilę później Motyl znalazł się w niewielkim pokoiku, tuż przy budce celników.

– Pij i jedz – rozkazał drugi celnik, podnosząc do ust kieliszek wódki. Na stole stał alkohol, chleb i sało, cienko krojona ukraińska słonina. W normalnych warunkach Motyl nie wziąłby tego do ust, ale teraz wziął i popił, by zagłuszyć myśli, że to trochę dziwne, że są dla niego tacy mili, że jak wypije jeszcze jednego i jeszcze jednego, to obudzi się okradziony albo jeszcze gorzej, wytną mu nerkę i nawet się nie zorientuje, albo i serce i zakopią w lesie. Więc wypił jeszcze jednego, i jeszcze jednego, a celnicy gawędzili sobie porozumiewawczo, odniósł wrażenie, że nawet uśmiechają się do niego, ze zrozumieniem sytuacji, z pobłażliwą życzliwością.

* * *

Podobno istnieje rodzaj zboczenia polegający na tym, że mężczyźni podniecają się widokiem masywnych kobiet, które nagimi piersiami burzą kartonowe modele budynków. Doktor Motyl nie był takim mężczyzną. Mimo to ktoś podobny siedział właśnie na nim, wykonując rytmiczne ruchy. Był to nagi Wieloryb. Filmoznawcze skojarzenia oszołomionego

doktora przeniosły się w rejony s.f. Wieloryb przypominał Jabbę z *Gwiezdnych wojen*, ale Motyl nie był pewien, bo widok przesłaniały mu dwie ogromne, ciężkie kule, kto wie, czy nie były to jaśniejące księżycy Tatoonie. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia – szeregi myśliwców rebelii przygniecione ciężarem ataku i systematycznym ostrzałem z Gwiazdy Śmierci skurczyły się mocno. Kontratak Imperium spowodował ogromne zniszczenia, zaczęło brakować mocy, silniki zwolniły, lasery wygasły, a miecze opadły. Motyl mógłby przysiąc, że z oddali dochodzi go złowieszczy śmiech lorda Vadera.

– Ha, ha! O tak właśnie masz robić, Sonia, o tak! – Celniczka-Wieloryb zebrała resztki służbowego stroju i zesła z Motyla, przyciskając mu dłonie do ust. Motyl ani myślał z nią walczyć. Zorientował się, że leży zupełnie nagi na stole, dokładnie jak Grażyna Szapołowska w *Magnacie*, tylko że ona miała pośladki w makowcu, zaś on ślizgał się na ukraińskiej słoninie.

W pomieszczeniu było niemal zupełnie ciemno. Gdy Wieloryb wyszedł, przyciskając palec do ust, Motyl chciał się ruszyć, ale okazało się, że wszystkie kończyny ma przywiązane. Był bezbronny, uwięziony przez stołowe nogi. Poczł lekki chłód na brzuchu i wtedy w słabym świetle zobaczył twarz owej Soni, która jakby nigdy nic rozkładała na nim maliny. Kilkanaście sztuk, a pomiędzy nimi – bita śmietana. Nie taka w spreju, tylko ubijana ręcznie.

– Wiem, że panu trudno, ale jutro oddajemy sprzęt i musi pan być w formie. Proszę o niej nie myśleć, proszę sobie przypomnieć swoją pierwszą dziewczynę, a ja zajmę się tym, żeby wszystko poszło jak należy.

Motyłowi ciągle było zimno od malin – ale chwilę później ujrzał Sonię rozpinającą mundur i jego słupek rtęci powędrował na drugi koniec skali. Była piękną, niewysoką, szczupłą brunetką. Miała smukłe palce i delikatne, kobiece dłonie, choć ukraińskie, to jednak zupełnie różne od tych nieopodal skubiących słonecznik. Nie przedstawiła się nawet, tylko pocałowała Motyla w usta i wtedy on poza wieloma innymi rzeczami poczuł na sobie jej nagie piersi, które rozgniatyły soczyste maliny. Miała czarne, kręcone włosy, zupełnie jak doktor Eliza i gdyby nie to, że pocierała nosem o jego policzek (Eliza nigdy tego nie zrobiła), mógłby je ze sobą pomylić. Motyłowi było coraz przyjemniej, a zrobiło mu się jeszcze przyjemniej, gdy Sonia przesunęła usta w kierunku jego ucha. Pocałowała je od wewnątrz, po czym zsunęła język na szyję i powiedziała coś po ukraińsku. Nic nie zrozumiał, ale powiedział, że chce. Poczł, jak Sonia wtula twarz w jego unieruchomioną dłoń, jak zaczesuje nią swoje włosy i zawija je za ucho, jak delikatnie ssie jego palec wskazujący, serdeczny i każdy kolejny. Potem przemyka językiem od jego nadgarstków ku obojczykowi, pozostawiając za sobą nietknięte połączenie ramion. Nigdzie jej się nie spieszy. Głodnieje, ale nie jest samolubna; przegryza na pół kolejne owoce i karmi nimi Motyla, moczając je w bitej śmietanie. Potem klęka na stole, który trochę skrzypi i kładzie się na nim, przykrywając go sobą. Całuje co kilka sekund w równych odstępach od brody, przez szyję, piersi i brzuch, równo, do taktu, rytmicznie. Jest zmysłowa i ma słuch, Motyl mógłby się założyć, że kiedyś ćwiczyła balet. Zatrzymuje się na pępku i wtedy się uśmiecha, bo jest dla niej interesujący, ma dziwny kształt, „u nas tak się nie wiąże pępowin”. Motyl przez ten mały żart czuje, że ta dziewczyna, która ma najwyżej dwadzieścia dwa lata, mogłaby być jego matką i siostrą jednocześnie, że jest tak wspaniała, niewymagająca i czuła, że on by chętnie od razu wziął ją do domu, zawinął w szlafrok, zaparzył jej kawy. Ale na razie to ona tu dowodzi, rozumie jego komplementy przez skórę, więc zsuwa się jeszcze niżej i wtedy motyli czulek napina się znacznie, ona bierze go do ust i po kilku naprawdę długich chwilach na Motyla pada blask

i światło, i on dojrzewa i rozkwita, bo ona zachowuje rytm, a w nim zachodzi nieubłagany biologiczny proces fotosyntezy.

* * *

– Dobra, koniec tej przyjaźni na Euro, wracamy do pracy! – krzyknął Wieloryb, wtargnąwszy do pokoju. Przez otwarte drzwi do pomieszczenia wpadła też smuga światła, a chwilę potem rozświetlono je całkowicie. Motyl, choć sztywny, zeszywniał jeszcze bardziej, ale nie mógł się ruszyć, Sonia pozostała naga.

– Kamera – akcja! – krzyknął Wieloryb, chodząc z boku na bok. Motyl dostrzegł na jej T-shircie napis „Reżyser”. Na tę komendę dwóch mężczyzn zasłoniło okno wielkim zdjęciem prerii. Po przeciwnej stronie stanął facet z oświetleniem i jeszcze jeden z kamerą. Ten drugi miał na sobie koszulkę „Columbia University”. Gdy zapaliła się czerwona lampka, piękna Sonia podeszła do Motyla. Miała na sobie indiański pióropusz, twarz umalowała sadzą w czarne paski. Wskoczyła na Motyla, posmarowała go miodem i zaczęła jeździć na nim jak na koniu, wydając indiańskie okrzyki.

Wokół stołu zaczął biegać jeszcze jeden facet w pióropuszu, co w montażu miało dać efekt tłumnego pościgu. Motyl nie wiedział, czy cieszyć się cudowną Sonią, czy martwić tym, że to się nagrywa. Sonia szalała na wierzchołku, krzycząc „Ihaaaa!”, a Motyl, nim wygrał rodeo, zdążył się tylko zorientować, że ich film ma zabawny tytuł, że pociąg odjedzie nieco wcześniej: *6.9 do Yumy*.

* * *

Ocknął się przy drodze w skarpetach, dżinsach i koszulce. W dłoni trzymał zdjęcie, na którym walczył z Indianami gdzieś na pustyni w Arizonie. Na odwrocie widniał tekst: „Przeszedłeś granicę, ale nie wracaj po samochód”. Motyl zamknął oczy, licząc na to, że gdy je otworzy, coś się zmieni. Nic z tego. Postanowił, że jeszcze sobie poleży, przemyśli sytuację, coś zaplanuje, kiedy nagle usłyszał klakson. Wzbił się kurz i potężne koło ciężarówki stanęło mu tuż przed nosem. To była ta babka z przejścia granicznego, ta z dostawczaka pełnego manekinów. Mrugnęła do niego, by wsiadł, a on bez zastanowienia, choć nie bez trudu wspiął się po stopniach i zamknął drzwi. Gdy zajął miejsce, wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do dziewczyny. Jej uroda była wyjątkowa, jakby przedwojenna, co podkreślała fryzurą i delikatnym makijażem. Chwilę później oczy zaszyły mu mgłą. Zanim stracił przytomność, przez moment uświadomił sobie, że laska kierująca ciężarówką nie ma rąk.

* * *

– Ta pani, co tu pana wczoraj przywiozła, zostawiła coś dla pana – usłyszał Motyl w hotelowej recepcji. Zaczynał sobie odtwarzać kolejność zdarzeń. Rozdarł kopertę, był w niej program festiwalu Schulza, kilka gadżetów od organizatorów i telefon komórkowy.

– Przeprowadziła mnie? – spytał Motyl recepcjonistę, oddając klucze.

– Pewnie. Sam pan by nie dał rady, a ta dziewczyna jest bardzo silna i gibka. Jej rodzice, proszę pana, przez lata prowadzili cyrk, a ona pokazywała w nim takie sztuczki, że ho ho! Potrafiła na ten przykład samymi nogami i ustami rozebrać człowieka. Ojciec tyran kazał jej w ramach treningu przez kilka miesięcy żyć, jakby nie miała rąk. Tylko stopy i usta, wyobraża pan sobie? Ludzie ją uwielbiali, ale ja szczerze panu powiem, że nie wiem, po co komu takie umiejętności, chyba że... – Niestety, recepcjoniście nie dane było dokończyć, bo rozdzwonił się telefon. Motyl ujrzał na wyświetlaczu pysk dzikiego kota.

– Dziekan Ryś?

– Doktorze, dlaczego nie ma pana na śniadaniu? Nigdzie nie można pana znaleźć, nie odbiera pan telefonów, jest pan pierwszy raz na zagranicznej konferencji?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Chciałbym zobaczyć pański referat. Pijemy kawę na patio z doktor Elizą, może wpadnie pan do nas?

Sprytny skurczybyk, pomyślał Motyl.

– Nanoszę jeszcze poprawki, panie dziekanie, na jutro na pewno będzie gotowy, nie zawiodę pana.

– Mam nadzieję, proszę pamiętać, że reprezentuje pan uniwersytet. W takim razie do zobaczenia i proszę się trochę ogarnąć, ma pan głos, jakby pan wrócił z wesela.

Z wesela? – pomyślał Motyl. – Chłopie, ja właśnie wracam z zaświatów, w ciągu jednego wieczora przeżyłem najfantastyczniejszy seks w swoim życiu, by zaraz potem zostać zgwałconym i zagrać w filmie porno z udziałem Apaczów! Nawet w Polsce nie ma takich wesel! Boże, gdyby on się dowiedział, toby mnie zabił. Ale i tak mnie zabije, bo nie mam referatu.

Motyl poszedł do łazienki, po raz kolejny tego ranka przemył twarz i wyszedł szukać ratunku. Drohobycz to nie jest piękne miasto i ma niewiele zalet. Jedną z nich jest jedyna kawiarenka internetowa. To była jego ostatnia szansa, musiał wymyślić cokolwiek. Nakupił kawy i zaczął przeglądać wszelkie filmowe strony i archiwa, jakie znał. Dzień przed startem konferencji. Kombinował jak nie on, nawet poprosił kogoś o papierosa. Szło ciężko. Kiedy wydawało mu się, że jest skończony, że jego wielka szansa zamieni się w spektakularną porażkę, natrafił na ciekawy, choć drobny ślad w archiwach Filmoteki Polskiej. Motyl odkrył mianowicie, że w indeksie znajdują się dwie wersje tytułu dzieła uważanego za najstarszy polski film – *Antoś pierwszy raz w Warszawie*. *Antoś...* się nie zachował, za to Motyl zachował się jak Holmes, bo zauważył, że w drugiej wersji tytułu pojawił się... przecinek. Właśnie ten przecinek nadawał tytułowi zupełnie inne, kipiące erotyką znaczenie: *Antoś, pierwszy raz w Warszawie*. To był ten moment, iskra, jakby Motyl złapał bozon Higgsa. Analizując po *Antosiu...* kolejne przypadki, doszedł do wniosku, że polskie kino nie tylko nie jest pozbawione zmysłowości, ale przeciwnie – jest erotyką przepelnione, kipi wręcz lubieżnością, tyle tylko że jego buzującej seksualności

należy szukać w zupełnie nieoczekiwanym miejscu.

Doktor filmoznawstwa Tomasz Motyl odkrył, że przez lata polscy filmowcy w swych dziełach epatowali wręcz erotyką, jednak narażeni na cenzurę, czy to obyczajową, czy polityczną, nie mogąc ukazywać jej jawnie ani w warstwie wizji, ani fonii, ani w scenariuszach, ani w dialogach, poczuli umieszczać ją gdzie? W tytułach! Tak, najciemniej jest pod latarnią, drogi czytelniku. Motyl, zachwycony oryginalnością pomysłu, nieświadom, że na byle bazarze znajdzie takie zestawienia, zaczął układać tytuły polskich filmów nie chronologicznie czy gatunkowo, ale właśnie pod względem ich seksualnych znaczeń. Podzielił je na kategorie, dobrał kadry i w tej formie dzień później przedstawił festiwalowej publiczności. Kino to sztuka iluzji, więc i on wykorzystał kilka sztuczek – wygasił światło na sali, sam z mikrofonem schował się w kabinie projekcyjnej i opowiadając kilkuset słuchaczom o kolejnych filmach, wyświetlał kadry i objaśniał erotyczne znaczenie tytułów. Grupy filmów podzielił na typy rozrywek seksualnych, co podniosło wartość merytoryczną referatu i sprawiło, że stał się on bardziej przystępny.

Na początku wyjaśnił, na czym polega jego rewolucyjne podejście do seksu w polskiej kinematografii. Wyświetlił swoje zdjęcie. Wiedział, że zdumienie słuchaczy musi rozwiązać mocnym i przekonującym akcentem, więc wystartował z listą tytułów oczywistych, najslabiej zamaskowanych.

Najpierw pokazał slajdy z jednego z najstarszych polskich filmów, a mianowicie *Przygody dorożkarza Kazimierza Prószyńskiego* z 1902 roku, następnie z jednego z najbardziej znanych, czyli *Przygód pana Michała*. Już bardziej wprost się nie dało. Następnie podzielił kinematografię polską na seksualne cykle, takie jak „seks w niecodziennych miejscach” (np. *Daleko od szosy, W pustyni i w puszczy, Przygoda na Mariensztacie*), „fetysze i sado-maso” (np. *Pętla, Lalka, Stawiam na Tolka Banana, Przepraszam, czy tu biją?*), „zagadkowe przebrania” (np. *Faraon czy Pingwin*), by zakończyć kategorią „seks grupowy”, gdzie zmieścił się spory fragment klasyki, jak *Sami swoi, Chłopi, Chudy i inni* czy *Piątka z ulicy Barskiej*.

Brawa, brawa, brawa! Motyl był wniebowzięty. Nie zszedł na scenę, ale i nie mógł sobie odmówić przyjemności pokazania się – skierował na siebie kamerę cyfrową, podłączył ją do projektora i wyświetlił swą teraz już sylwetę na dużym ekranie, uśmiechając się i kłaniając publiczności. Prowadzący wieczór rektor Uniwersytetu Iwana Franki podziękował Motylowi bardzo serdecznie i zaprosił na scenę kolejnego prelegenta. Był to krępy, nieco zdenerwowany, zapięty pod szyję mężczyzna, który niepewnym krokiem zajął miejsce przy mikrofonie. Przedstawił się jako dziekan Ryś.

* * *

Pokonferencyjny bankiet w foyer kinoteatru był nie tylko zawodowym, ale i towarzyskim triumfem Motyla. Zebrani, przegryzając zakąski, gratulowali mu pomysłu i wykonania. Wraz z Elizą, Rysiem i innymi znajomymi Motyl tworzył najgłośniejszą grupę swobodnie gawędzących naukowców. Jak to w takich sytuacjach, nie było końca żartom i anegdotom, które większość zebranych słyszała po raz enty.

Ryś był nieco przygaszony, choć naturalnie nikt nie nawiązał do jego porażki. Motyl na

nie wiadomo jak długo został królem zwierząt, a Eliza, jak to ona, głównie patrzyła, uśmiechała się i wyglądała pięknie.

– Fantastycznie zobrazował pan fetysze Schulza w obrazach Hasa – zauważył jeden z kolegów, zwracając się do Motyla. Ryś zakrzusił się sałatką z awokado.

– Dziękuję, choć ten temat szerzej rozwinął... – Motyl nie dokończył, bo poczuł, że stoi za nim Eliza. Położyła mu dłoń na ramieniu, a on zaciągnął się tym zmysłowym zapachem, który Ernest Beaux już jakiś czas temu skomponował dla Coco Chanel.

– Jestem pełna podziwu – zaczęła Eliza i wszyscy przycichli. – Bardzo mnie zaskoczyłeś.

– Naprawdę?

– Tak, bardzo. Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie znaczenie mają owady w prozie Schulza?

– Trochę zdaję...

– Otóż jednym z najistotniejszych jest motyl.

Motyl poczuł, jak spod dłoni Elizy przez jego ramię po same końce czułków przepływa prąd. Być może był to bozon Higgsa.

– W *Wiosnie* przez symbolikę motyla ujawnia się wielokrotnie powracająca u Schulza ambiwalencja: pragnieniu spełnienia i doskonałości zostaje przeciwstawiona fascynacja ciemnymi i niskimi siłami, których celem jest podważyć, rozłożyć i unicestwić wszelki ład.

– Czy ja unicestwiłem twój ład, Elizo?

– Jeszcze nie, ale czułam, że byłeś blisko i wiem, że będziesz jeszcze bliżej. Motyl jest też bowiem symbolem przemiany, którą nas tu wszystkich zaskoczyłeś.

– Robię, co mogę...

– ...ale także zmysłowości i erotyki. I próżności. Nie bez powodu Schulz łączy motyle z żywiołem nocy, która wydaje się ich naturalnym środowiskiem. W *Wiosnie* powraca razem z motylem motyw ciemnej, degradującej erotyki, kiedy prowokacyjnie zmysłowa Bianka zażąda, by Józef wyrzekł się wzniosłej misji i stał się jednym z jej „czarnych Murzynów”.

– A więc Bianka i Murzyn, czarne na białe? – Motyl pogubił się nieco, kiedy usłyszał sygnał przychodzącego SMS-a. Trzydzieści dziewięć? Od Elizy?

Spojrzała na niego jak pani na poczcie, dobrze, że nie zapytał, czy to jej numer buta, w porę szepnęła, że chodzi o pokój. Motyl zrobił krok do tyłu i zachwiał się, ale nie upadł. Wypadły mu dwie kulki, czarna i biała, którymi bawił się od lat, potoczyły gdzieś pośród gości i już ich nie znalazł.

„Za kwadrans u ciebie – odpisał jej – tylko zabiorę rzeczy z projektorni”.

Motyl poszedł do miejsca, z którego wyświetlał prezentację, zaś Eliza jeszcze chwilę pogawędziła z kolegami i poszła do swojego pokoju. Jak dwie osoby wychodzą w zbyt krótkich odstępach czasu, to od razu wiadomo, co to znaczy.

Motyl z trudem odnalazł w projektorni małą lampkę. Były tu niemal wszystkie jego rzeczy, które kupił sobie tego dnia w Drohobyczu.

– Czy to pana dobra koleżanka? – zapytał ktoś z głębi i Motyl zorientował się, że w pomieszczeniu jest też kobieta. Tylko skąd on ją znał?

– Dzień dobry, jestem...

– Znam pana, doktorze Motyl.

– Czy pani przypadkiem nie...

– Tak, jeżdżę samochodem dostawczym, poznaliśmy się na granicy, wiozłam część dekoracji na festiwal, potem ocaliłam panu życie, a na co dzień jestem dyrektorką tego kinoteatru. Zabawne, że do miasta Schulza trzeba wozić manekiny z Zamościa.

– To pani... Chciałem i przeprosić, i podziękować. Tak, a Eliza to koleżanka z pracy, jest niezwykle inteligentna, nie sądzi pani?

– Trochę przysłuchiwałam się waszej rozmowie, Tomku, bo chyba możemy sobie tak mówić, i wydaje mi się, że całe to opowiadanie o motylach było żywcem przepisane ze *Słownika Schulzowskiego* Boleckiego, Jarzębskiego i Rośka.

Motyl przyjrzał się jej dokładnie. Ubrana w klasyczny bankietowy zestaw konferencyjny: idealnie dopasowana mała czarna plus dyskretny makijaż i kok, zupełnie nie wyglądała jak zawodowy kierowca.

Miała na imię Adela. Jeszcze zanim usiedli sobie na kanapie, dowiedział się, że pracuje tu od kilku lat, ale że nudzi ją dyrektorowanie, że wolałaby tak jak on jeździć na festiwalach, zamiast je organizować.

– Słyszałem, że wcześniej robiłaś znacznie ciekawsze rzeczy?

– Skąd wiesz, Motylu? – zawstydzona się i opuściła wzrok, zaczesując grzywkę za ucho.

– My, naukowcy, potrafimy prowadzić badania – powiedział niby dumnie, by wybawić Adelę z zakłopotania, a ona założyła jedną piękną, długą nogę na drugą, popatrzyła na Motyla, jakby jej czymś zaimponował i wtedy on, sam siebie zaskakując, zapytał: – A może pokazałabyś mi swój popisowy numer?

Przez chwilę było tak cicho, że Motyl usłyszał, jak drobne ocierają się o siebie w jego kieszeni. Myślał, że to cała wieczność, ale jak wiadomo, czas w życiu owadów płynie zupełnie inaczej. Adela podparła brodę, opierając łokieć na udzie, popatrzyła na doktora, uśmiechnęła się, po czym wstała. Przysunęła stolik przed kanapę i usiadła na nim. Sukienka zadarła się nieco do góry i wtedy Adela zauważyła, że Motyl patrzy w owo magiczne dla wszystkich mężczyzn miejsce, w te kilka niezwykle centymetrów kwadratowych, gdzie kończą się pończochy. Nie zasłoniła się, pozwoliła mu patrzeć i powoli ściągnęła szpilki.

– Oprzyj się wygodnie i nic nie mów.

Motyl ułożył ramiona na oparciu kanapy, tymczasem ona ściągnęła pończochy i oparła się z tyłu rękami o blat. Najpierw zsunęła mu marynarkę. Motyl uciekał spojrzeniem, a ona nie spuszczała z niego wzroku. Pogładziła go stopą po policzku. Rozpięła palcami pierwszy guzik koszuli, potem ten drugi i wsunęła duży palec do środka. Później odpięła pozostałe guziki, schodząc coraz niżej. Była precyzyjna i delikatna, jej stopy były zręczne jak dłonie. Odpięła guziki u rękawów i oparła nogi na jego piersiach.

– Wstań.

Motyl naturalnie zrobił, o co poprosiła, teraz był wyżej, nad nią, poczuł się pewniej. Spojrzała z dołu. Zsunęła z niego koszulę, po czym zawiesiła ją na dużym palcu. Wyprostowała nogę w geście tryumfu, koszula wisiała jak na wieszaku i odrzuciła ją za siebie. Palce nóg Adeli, które zdaniem Motyla funkcjonowały zupełnie wbrew anatomii, wyglądały jak ogromne, niezwykle giętkie owady spacerujące po jego ciele. Zajęły się paskiem spodni, gładząc Motyla po okolicach, ani klamra, ani wysuwanie paska ze szlufek nie stanowiło problemu.

Gdy spodnie razem z bielizną zsunęły się na podłogę, wyszedł z nich i stanął zupełnie nagi, a naprzeciw ona, piękna, pachnąca, w czarnej sukience. Kobieta, którą oficjalnie poznał zaledwie piętnaście minut wcześniej. Mimo pewnego zaniepokojenia Motyl był już kimś innym, dlatego nie denerwował się tak bardzo, pozwolił, by Adela rozebrała go do końca i zaczęła się nim bawić. Motyli czulek pieśczoney tak wyjątkowo przez innego owada wysyłał sygnały nerwowe do reszty ciała i doktor przez chwilę czuł się, jakby cały był tym czułkiem. Zamknął oczy, przez głowę przewinęły mu się rozmaite polskie filmy, i *Lalka*, i *Ziemia obiecana*, i *Sanatorium Pod Klepsydrą*.

I wreszcie on w tym sanatorium, kochający się w ten niezwykle zmysłowy sposób z kobietą, która z Zamościa sprowadza manekiny. Adela mrużyła oczy i pieściła go coraz szybciej i mocniej, aż wreszcie zatrzymała się, objęła go nogami i przysunęła do siebie. Pocałował ją.

Zeszła ze stolika i klękła przed stojącym Motylem. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, dotknęła go dłońmi, opierając je na jego udach, i wtedy on, mimo że jego umysł działał w pewnym spowolnieniu, przypomniał sobie dokładnie słowa hotelowego recepcjonisty, te o stopach i ustach, które ćwiczone latami potrafiły dokonać rzeczy zupełnie niezwykle.

Był to dokładnie ten moment, w którym pięknie pachnąca, luksusowa, ubrana w najseksowniejszą bieliznę doktor Eliza zasnęła znudzona w pokoju nr 39.

^[1] Manewr Edlingera – termin zaczerpnięty ze wspinaczki skałkowej, polega na umieszczeniu nogi powyżej głowy.

Jacek Dukaj PORTRET NIETOTY

Jeśliby mu kazano pisać tak, jak piszą wszyscy,
pisałby jak nikt. Styl jego prozy brał się ze stylu myślenia,
a ciągi myślowe mego brata były olśniewającymi seriami luk.
(...) Czasem jednak w opisie nastroju lub wrażenia napotykam
u Sebastiana jakiś detal i natychmiast przychodzi mi na
myśl pewien efekt świetlny w całkiem konkretnym miejscu,
który obaj zauważyliśmy, nic o sobie nawzajem nie wiedząc.

Vladimir Nabokov, *Prawdziwe życie Sebastiana Knighta*

tłum. Michał Kłobukowski

1. Łoża śmiertelników

Zaproszenie zaskoczyło ją. Otrzymała je listem poleconym zaledwie dwa dni przed premierą kolekcji Raczyńskiego; jej zapowiedzi pojawiały się od miesięcy, lecz sam Rak się do Laury nie odezwał: ani e-maila, ani telefonu, nic. Zdążyła się zirytować, wreszcie zubożętnieć i zapomnieć. A teraz: imienne zaproszenie na czerpanym papierze, piątek, godzina dziewiętnasta, w pacharni „Krakatau”, agencja Dziesięć Muz ma zaszczyt zaprezentować światowy debiut ostatniej serii komchartów Gustavo Raka-Raczyńskiego pod tytułem *Front wewnętrzny*. Laura zachnęła się w duchu. Więc wrócił do tego pretensjonalnego „Gustavo”. A miała nadzieję, że go zeń na dobre wyleczyła. Obracała w palcach opłatkowo twardy papier, nietna na wszystkie wyszukane matryki, jakimi bez wątpienia kwitł na metry i godziny. Nie pójdzie, to oczywiste, nie ma mowy, żeby poszła.

Nazajutrz obudziła się już z pewnością przeciwną: niebo było zimnobłękitne, powietrze kieliszkowe, przez uchylony świetlik poddasza trylowały październikowe cherubiny miasta, pachniało mokrymi parasolami i wichrowym wrzosem, a więc piątek, dziewiętnasta, tak, tak! Umówiła się telefonicznie u stylistki. Jakby widziała to wydęcie jego amorkowatych ust, mięsistej amfory zamarynowanego języka, jeszcze się pewnie RR oblizywał, planując jej zaproszenie: że oczywiście nie znajdzie w sobie odwagi, że schowa się Laura w mysiej dziurze, nie przyjdzie. O, niedoczekanie jego!

Wszystko to razem zakrawało na tani melodramat – złośliwości i podłe satysfakcje zdjętych z afisza kochanków – lecz przecież znamy ową dziecinną radość uczestnictwa w teatrach losu, życie od razu nabiera wagi i realizmu, wpadłszy w koleiny Zdrady, Romansu,

Zadośćuczynienia czy innej Zemsty.

Owładnięta takim nastrojem Laura szybko zdecydowała się na jaskrawoczerwoną sukienkę na ramiączkach, o której wiedziała, że matrykuje *à la* Piezocco. Dostała ją w prezencie od Janka, RR nigdy w niej Laury nie tuszył; i doskonale pamiętała, że RR nie toleruje Piezocco, serdecznie nie znosi całej tej szkoły dwudziestowiecznych postkaultowców.

Pozostała kwestia Osoby Towarzyszącej. Kogo zabrać? Dręczyła się tym przez cały czwartek. Prowadząc ćwiczenia na lektoracie dla przyszłych prawników, w myślach paradowała kandydatów, nieodmiennie kończąc w galerii tych samych paru twarzy. Może Janek – ale czy to nie szczyt niezręczności: ciągnąć nowego faceta na publiczną zemstę jej eks? Więc może Oleńka – ale Oleńka też nietota, nie opowie Laurze komchartów Raka. Więc kto – Królik? Zgubiła wątek konwersacji, studenci, pogardliwie znudzeni, gapili się na nią oczyma najedzonych zombie, na zatrzymaną tak w pół dialogu, niczym na zastopowanym filmie. Nie zdobyła się na uśmiech roztargnienia. Zawsze podejrzewała, że pachują przed nią w wulgarnym rozpasaniu charakterystycznym dla dzikusów z podstawówek i gimnazjów; w tej grupie miała prawie samych mężczyzn. Laura jest zdania, że samce *Homo sapiens* wyrastają z naturalnej dla młodych małp socjopatii dopiero około dwudziestego piątego roku życia. A i to nie wszystkie. Wcześniej po prostu nie są zdolni do współczucia, zawstydzają ich własna czułość, przeklinają, plują i poniżają bliźnich, jakby wyrwali skrzydełka owadom, a tu jeszcze trafiła im się kaleka, nietna na wszystkie ich podwórkowe przarności, i sama naga, rozkrojona przed nimi do kośćca duszy, proszę, zaproszenie do gwałtu. Czy tuszą z niej również te jej podejrzania? Wiedziała, że niektórzy wykonują jej ukradkiem pachografie, złapała ich na tym, chowali aparaty pod blatami, za książkami.

Skończyła zajęcia przed czasem, wypuszczając studentów bez omówienia zadań. Październikowy zmierzch rozpełzł się już w starych murach uniwersytetu, w nylonowym świetle rozbrzęczanych jarzeniówek wysokie sale tchnęły gadzim dostojem klasztorów i kostnic. Moment zawibrował, poczuła na sobie masywny otuch Raczyńskiego. Wypadły jej z palców klucze (brzęk!). Rozdrażniona, zamykając salę, złamała paznokieć. To znowu ją zastopklatkowało. Dziewczyna ze Złamanym Paznokciem. Uniosła palec do ust. Czy coś tak twardego, tkanka zrogowaciała w ludzkie szkło, czy to w ogóle może mieć smak? Trochę nylon, trochę papier fotograficzny, a jeszcze mokry popiół, i jeszcze łyko młodego drzewa, i skamieniała guma do żucia, i coś z przypalonej pizzy, i

– Nie obgryzaj palców, to niezdrowo: zjadać samą siebie.

– Ale ja jestem bardzo smaczna!

Śmiali się, śmiali, pani doktor i tato. Ile to Laura miała lat, pięć? Pięć? W gabinecie tetolog słońce tuliło się do bieli fartuchów, klinicznej bieli sprzętów, ścian, parawanu. Laura z trudem się powstrzymywała, żeby nie gonić i nie łapać tych światłoduszków ciepłutkich, obłoczkowych szczeniactwów nieba. Pani doktor kazała jej siedzieć na metalowym taborecie i Laura wierciła się tam bez przerwy, gryząc palce i popatrując niepewnie na tatę. Tato puścił do niej oko. Laura zamrużyła powoli, prawa powieka i lewa powieka, jest tata, nie ma taty, jest.

– Teraz tutaj. Skup się, kochanie. – Doktor przesuwiała przed twarzą małej Laury dziwne

paleczki, karteluski, rurki. – Powiesz, jak coś poczujesz, dobrze?

Na szklanych tulejach słońce odbijało się chochlikowo.

– One tam wchodzą do środka i plują w górę.

– Kto?

– Te jasnotki. Te, te, te! – Zamachała rękami w strumieniach rozblasku i stukła rurkę.

Pani doktor i tata podskoczyli, zrobili miny, jakby coś

Ją ugryzło, sama ugryzie, krzywi się złośliwie do swego odbicia w lustrze w zimnej łazience uniwersyteckiej, poprawiając brwi i malując usta, na dzisiejszy wieczór szminka elektryczna, czerwień na dwieście dwadzieścia woltów, przeciwko jesieni i przeciwko *Frontowi*.

W drodze do domu zaszła kupić świeżego tuńczyka. Laura wierzy w pracochłonną kuchnię jako metodę na wyswobodzenie ze stresów codzienności. Pochyliwszy się nad oplastowaną rybimi tuszami lawiną kruszonego lodu, przypomniała sobie wykuwane na pamięć w Małym Staszicu wierszyki nietot – jak rozpoznać złe mięso, polegając wyłącznie na wzroku i zapachu, jak odróżnić sery szworne od dziarnych, jak po fakturze i ciężarze oceniać gatunki mąk i kasz silnych i słabych, a w końcu: jak orientować się w winach, identycznych barwą i bukietem, a całkowicie różnych matrykuliką... Zadrżała ponad zwłokami dzieci morza, objęta puchnącą falą chłodu.

– Tamtego poproszę.

Więc może jednak Oleńka? Co z tego, że nie stuchuje kolekcji Raka? Ona przynajmniej Laurę zrozumie, jak rozumiały się bez słów od pierwszego roku w Staszicu – oparła się nadgarstkiem o brzeg lodowej lady – tak smakuje mróz na skórze

Sopel na języku, śnieg w oczach. Wychylając się z okna ich pokoju na piętrze internatu szkoły podstawowej imienia Stanisława Staszica, obserwowały wojnę śnieżną piątej A z szóstą B. Krawędź zmrożonego metalu ucałowała od spodu oba jej nadgarstki, tak kasał zardzewiały parapet obwisły bąblastymi soplami i śniegiem kruchym jak beza. Laura odłamała największy z sopl, polizała, machinalnie podała Oleńce, chłopcy to spostrzegli i zaraz zaczęli na nie gwizdać i łapać się za krocza, one odpowiedziały im fakoffami, a kiedy w okno poleciały śnieżki, dziewczynki padły ze śmiechem na podłogę pod oknem, osłaniając głowy niczym piechurzy w okopie pod ostrzałem artyleryjskim. Wylizany sopel potoczył się i zamarł na parkiecie przy ich nagich stopach, lśniąć cukierkowo-narkotykowo-dyskotekowo w styczniowym słońcu.

– Jak myślisz – szepnęła Laura, ścierając sobie z powiek i rzęs białą oprószynę – jak oni pachują?

A Oleńka odprychnęła jak na dwunastoletnią podwórkową tygrysić przystało, rozumieniona, lecz nie sploniona, i doskonale wiedząc, o co Laura pyta, wystawiła język, jakby w istocie to on był organem otuchu, przytknęła do niego palec wskazujący i uniosła brwi.

– Dziko.

Spojrzenie i spojrzenie, tak zamarły na moment pod władzą wielkich, bezchmurnych oczu odbijających wzajem powagę dziecinną – aż diabełek ognisty zatańczył w źrenicach Oleńki i rzuciła się, chichocząc, po ten sopel ceremonialny, Laura zaś pozostała w okopach dzieciństwa z odbezpieczonym granatem wbitym mocno pod serce. Czuli jego ciężar, napięcia sprężyn, skumulowaną moc trotylu. Wystarczyło głębiej wciągnąć powietrze do płuc, wystarczyło nacisnąć na brzuch, przeponę, dotknąć piersi-przebiśnięgów, czasami wystarczyło pomyśleć. Jak oni pachują.

Poszła nazajutrz do kafejki internetowej w mieście (w Staszycu wszystkim komputerom założono kneble obyczajowe) i, oglądając się wciąż przez ramię, zgarbiona nad klawiaturą, po raz kolejny wyszukiwała godzinami raporty z sąsiedniego królestwa zmysłów. W owych opisach z książek i gazet mężczyźni byli nieodmiennie jaskrawi, toniczni, żarscy, wiszujący, oproczni i klamejscy, ich matryk – ciężki i podwójny, gromki, sprężny, glissujący, ich genitalia – szartne, opulentne, jak ogień albo jak psy. Kobiety zaś – wibrujące, powietrzne, majkowe, pączyste, z makki, ich matryk – lekki, ułamkowy, wywracający, często wyprężny, ich piersi – olatne, jak chleb, jak wełna, ich anatomie wenusjańskie – zefirne, czereśniowe, mlnące, atlasowo gładne, jak niemowlę albo jak rzeka, niczym z komchów Virucciego i Łukasika.

Laura obracała te słowa w karuzelach niemej fonetyki, gorączkując sucho od niezgłębialnej ich tajemnicy, język eksplodował jej w głowie galaktykami ciemnej materii, samej przez się niewidzialnej, ujawniającej się jedynie we wpływie, jaki wywiera na to, co dostępne zmysłom – a przecież tak gruntownie wypaczającej całą naturę dokoła.

Zaczynała się przed Laurą odsłaniać prawdziwa genealogia żądz. Eros to zwycięski bękart Hermesa i Mnemozyny.

Czytała dalej, czytała od nowa, czytała dzień po dniu. Jak zgodnie przekonywały *lifestyle 'owe* pisma dla kobiet i autorytety medialne, seks to dziedzina przede wszystkim obrazów i matryk, dopiero w drugim rzędzie – dotyków i dźwięków i smaków i zapachów. Znalazła tabele, w których przedstawiono różnice między płciami: rozkład procentowy był w nich inny, lecz hierarchia doznań – taka sama. I dopiero tam, w plamistym półmroku obskurnej meliny internetowej, mała Laura objęła myślą całą pokraczną grozę swego kalectwa. Cóż z tego, że nie potyka się o krawężniki i progi jak ślepcy? Stracono ją do ciemnej piwnicy i przywalono toną żużlu. Szarpała myszą z taką furią, że wyrwała kabel z wtyku.

Jedynie wyjście – pojęła – to włamać się do otuchu z zewnątrz. Z zewnątrz – czyli skąd? Z krain pozostałych zmysłów.

Tak zaczęła się życiowa misja Laury, wyzwanie niemożliwe, jej *quest* donkiszotowy i katabaza sensualna: przetłumaczyć świat tuchujących na świat nietoty.

Oczywiście istniały już przystosowane dla nietot monitory i klawiatury, samochody i linie produktów AGD, ze standardowymi triadami oscylatorów – czerwonym, zielonym i niebieskim – markujących najgrubsze matryki. Ich taneczne rozmigotanie

Już nawet nie przyciągało jej uwagi, gdy kucharzyła – migotały na mikrofalówce, piekarniku, lodówce, miała też kilka wyjątkowo czułych matrykometrów przeznaczonych do mierzenia mięs, przypraw, napojów, nawet owoców i warzyw. W przepisie stoi: „weź pół czerwonej papryki prażującej” – Laura sumiennie mierzy paprykę po papryce i oblicza w głowie pełnię warzywa. Obmyte dzwonka tuńczyka bada opuszkami palców, dotyka czubkiem języka. Kalectwo wymusza większą intymność w obcowaniu z tajemnicami świata. Tak niewidomi pieszczą dotykiem bezkompromisowym czoła, powieki, wargi nieznajomych. Im bardziej nieznajomych, tym intymniej. Kiedy mieszkała z Rakiem, pasożytowała na jego tuchu; a wcześniej – na tuchu rodziców, Pawła, paczki z anglistyki, i tak przez całe życie właściwie.

Rak się jednak bronił, wołał z boku patrzeć i tuszyć, jak sobie Laura radzi, delikatnie liżąc wilgotne wnętrza pomidorów, z kocią ostrożnością wachając

Chleby, sery, śmietany, musztardy, masła.

– Może byś się ruszył i pomógł!

– Gdzieżbym śmiał! – I ostentacyjnie rozsiadał się na kulawym krześle pod oknem, błazeńsko uśmiechnięty, a wargi tłuste nabrzmiwały mu na podobieństwo przekrojonego pączka albo spółkujących ślimaków. – Bogowie by mnie pokarali, nie pcham się z łapami między Muzy, tu jest łoża śmiertelników.

Gdyby mógł, pozbawiłby Laurę wszystkich matrykometrów. Jeden z pierwszych jego artów z ostatniej serii organicznej nosił tytuł *Meat Porn* i ponoć przedstawiał pachowania Laury przygotowującej wołowinę po burgundzku.

– Tego nie da się podrobić! Tej twojej bezpretensjonalności piękna. Tej niewinności. Tej-tej-tej beztroskiej rozpusty rozwartej na wznak przed całym światem. – Rozpędzał się w zachwytach, aż mu język wymawiał służbę; wtedy przechodził na brutalne dialekty dotyku, ogłuszające tyrady objęć, uścisków, na akcenty i synkopy mięśni. Stratowanej husarską szarżą jego wszechcielesności Laurze, przyciśniętej do ściany, woranej w pościel, zaszachowanej przy blacie, wykrztuszał w desperacji: – Pantery dzikie! Rumaki nieosiodłane! Orzeł polujący! Wszystkie te cuda ślepej przyrody! One nie wiedzą, nie wiedzą, nie wiedzą!

Wpierw przyjmowała to niczym hołdy kapłana dla zazdrosnej bogini. W końcu zaczęło ją irytować.

A zatem dana jest jej nieosiągalna inaczej naturalność piękna zrodzona ze zwierzęcej jego nieświadomości. Od pewnego momentu jednak nie potrafiła ugasić w sobie przekonania, że stokroć bardziej cenna pozostaje dla RR przez swe kalectwo niż wszystkie czary swego pachu. Ile jest kobiet o podobnie oszalałymi matrykach? Ba, a ile z nich jest zarazem całkowitymi nietotami, niezdolnymi nawet wyobrazić sobie natury swego nieodpartego dla tuchujących wdzięku?

Wykrzyczała mu to w twarz w jednej z ostatnich kłótni przed rozstaniem:

– A gdybym się urodziła zdrowa! Otnąłbyś mnie, zanim bym zapamiętała pierwszy tuch! Kastrowałbyś dzieci, żeby ci ładniej śpiewały! Tacy tyrani piękna jak ty!

Może więc istotnie to czysta perwersja z jego strony: zapraszać nietotę na wernisaż komchartu. Samą swoją obecnością Laura złoży mu hołd. Lepiej unikać żenady, lepiej nie iść. Nie pójdzie. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. (Myśli). Jak zagłuszamy troski, nudy i lęki samotności? Telewizją.

Zakłęcie działa niezawodnie. Ledwo zaczynają się w TVN „Fakty”, dzwoni – kto? Ewa, Ewa nieodparta, Redaktor Inwazja, Gorgona z ulicy Pattona. Niby dopytując o ostatnie rozdziały nowego Irvinga, ale przecież prędko wytuszy przez telefon Laurowego tuńczyka po japońsku – o, już wytuszyła – a wraz z tuńczykiem: echo Laurowych rozterek. I koniec, przepadło. Laura nie wydobędzie z siebie słów sprzeciwu. Ręka ze słuchawką opada bezwolnie. Trzydzieści lat beztuchu wtrenowało w nią tę miodową uległość, prowokacyjny odruch przyzwolenia. Zaproszenie dla Kubów Rozpruwaczy i Raków-Raczyńskich wszystkich epok: sama tego chciała.

Istnieją upośledzenia męskie i żeńskie: niemi bardziej są mężczyznami w swej niemocie, a nietoty – bardziej kobietami, skoro nietne. Wróciwszy do tuńczyka i sosu mirino-sojowego, już spokojna w pewności nadciągającego gwałtu, zaczęła nucić *Everybody Knows Cohena*; nawet nie zakłęła, gdy się przypadkiem

Poparzyła, wyciągając znad ogniska kije z nabitymi kielbaskami.

– Sss, gorące!

– Wiem, że gorące.

– Spaliłaś.

– Nie, zobacz.

– No, teraz, jak już wszyscy wymasowaliście je swoimi paluchami brudnymi – któż się oprze rarytasom? Smacznego!

– *Fuck you very much.*

Machała piekącą dłonią, ktoś wręczył jej kubek, myślała, że z wodą, polala na oparzelinę, a to było piwo. Kojąco zimne.

– Sorry.

– Czekaj, mam chyba maść.

Grzechu pojechał z nimi w góry jako jedyny spoza anglistyki, znała go najslabiej. Wygrzebał z plecaka szaszetkę z przyborami toaletowymi, Laura podeszła bliżej, on szarpnął zębami zacięty zamek, obrócił się do Laury i naraz zaczął bełkotać w zmieszaniu, czerwieniąc prędko, jakby mu pod skórą twarzy włączyli światło stopu:

– Słuchaj, ja nie chciałem, rany boskie, nie musisz przecież, daj spokój –

Prawie się potknął o własne nogi i plecak. Nie odwracając wzroku, cofał się raczo w ciemność i las.

Laura, upokorzona, tylko wachlowała piekącą ręką i milczała, boleśnie doświadczona, że wszelkie zaprzeczenia, tłumaczenia, wszelkie śledztwa jej translatorskie na nic się zdadzą. Grzesiu wytuszył, co wytuszył, i Laura tego nie zmieni, nie odwróci swych matryk.

Nie miała więc wyjścia, musiała się przyzwyczaić i przyjąć w życiu postawę mistrza aikido: zawsze poddając się pod atakami, połykając cios i pożyczając cudzy ruch, karmiąc się cudzym impetem.

Znacznie trudniej niż wobec nieznanym stosować podobne dźwignie i uniki ducha wobec bliskich, albo w pracy, ba!, omal nie wyleciała ze studiów, profesor, który wykladał gramatykę kontrastyczną, z miejsca nakrzyczał na nią i wyrzucił z sali, i tak za każdym razem, gdy się doń zbliżyła, co też zgodnie potwierdzali studenci: pachowała siwemu filologowi najdziksze przarność ruszne, żułtwy i rozprężne *glatia*. Dlaczego? Nigdy wcześniej go przecież nie spotkała – podobnie jak prawie nie znała tego Grzesia nieszczęsnego, ani Ewy-Pramatki, która

Wpadła do podniebnej mieszkanca Laury, zagłuszając od razu Cohena, telewizor i wszystkie sprzęty kuchenne; gwałt rozpoczął się w progu.

Ewa należy do kobiet, których całą osobowość, styl i życie zdeterminował rozmiar biustu. Obdarzona tu słowiańską nadobfitością ciała, posągowa matrona na genach Kybele, Lubawy i Mieczysławy Ćwiklińskiej, żadnymi dietami, fitnessami i chirurgiami nie odwróci swego przeznaczenia: przygarniającej do łona, zasadzającej rodziny, gospodyni każdego domu, którego próg przestąpiła.

I także Laura odruchowo ugięła się pod szturmem jej buldożerowej życzliwości.

Bo w której chwili przekroczyły cienką granicę stosunków służbowych i prywatnych? Co takiego Laura powiedziała lub zrobiła, co upoważniało Ewę do potraktowania jej wtem niczym przyjaciółki od serca? Nic. Ale może naprawdę były już serdecznymi przyjaciółkami, może Ewa stuchowała to jasno i wyraźnie.

Nie w słowach, nie w deklaracjach głośnych i czynach podległych fizyce, lecz w tym drugim wszechświecie zmysłów, tam się ludzie zakochują, zapadają na nienawiści i sympatie, tam docierają serca do serc. Klik-klik, ani słowa więcej, ale oto cię pocałuję i żadne z nas się nie zdziwi, klik-klik, ani słówka, ale uderzam z nagłą wizytą i będziesz się mi zwierzać z najskrytszych swoich trosk.

Dzięki temu możliwe jest powszechne *sacrum* intymności. Nietotom pozostaje zaś odczytywać porywy duszy z czasowników dokonanych.

– Nie pieprz, pójdziesz tam, musisz pójść. Jak to z nim było? Opowiadaj!

Ewa już sama otworzyła sobie wino, naląła pół kieliszka, już zapaliła papierosa, i nie pytając, podsunęła kieliszek Laurze, dojrzały Gewürztraminer z Nowej Zelandii jest energetyczny, różany, słodkawy

Na języku Laury. Ma kłopoty z utrzymaniem równowagi, gdy wraca z łazienki; po tyłu kieliszkach i tyłu godzinach alkohol przepływa przez nią swobodną strugą, alkohol oraz myśli, słowa:

– Szczszczera jak nietotota! – Śmieje się do Ewy walczącej wciąż z tą samą plamą po brązowym sosie.

A Ewa, nie unosząc głowy, kontynuuje w półsennym zapamiętaniu:

– Ale ty to lubisz, no przyznaj się, ty straszna eks-hi-hi-hibicjonistka jesteś, Laura, no możesz mi przecież powiedzieć, powiedz!

Co oczywiście byłoby następnym aktem niekontrolowanej nagości.

Zamiast tego, niewinniona czwartą butelką wina, snuje Laura po pijacku meandryczną dywagację-kombinację o fantazjach erotycznych kobiet, do kieliszka Ewy, do kielicha jej małżowiny usznej – tak postępuje kulturalny gwałt w pluszowej głębinie nocy – no dlaczego oni zawsze na mnie patrzą jak na bezbronną ofiarę, ach, bo to ich przyciąga, to ich drażni, śwędzi, rozsadza od środka, postaw świętego wobec bezsilnej niewinności i też w końcu nie wytrzyma, im większa niewinność, tym bardziej nie do zniesienia, a z drugiej strony: wszystkie te marzenia wyzwolonych feministek o bezpiecznym gwałcie, o podglądaczu chcianym-niechcianym, o sękatych ramionach drwała-brutala wyswobadzających je do cudownej bezwoli, o kontroli przez ostateczną bierność... Ktoś cię widzi, gdy myślisz, że nikt cię nie widzi, ale zarazem fantazjujesz o tym, że ktoś cię widzi, gdy myślisz, że nikt cię nie widzi. No to powiedz: co to jest? Ekshibicjonizm? Gdy nie możesz nic poradzić. Urodzona do nagości. Wyobraź to sobie. (Ściska Ewę za ramię i spowiada się jej gorącym szeptem, policzek do policzka). Każdy dzień, w domu i na ulicy, przed znajomymi i nieznajomymi – naga. Nie masz wyboru, odebrano ci wybór. Naga, naga i ślepa, bo nie przejrzyś się w lustrze, odebrano ci nawet tę kontrolę nad stopniem obnażenia. Ale nie samą świadomość nagości. I tego, że oni na ciebie patrzą, patrzą i widzą, i nie wiesz, co widzą, i nie możesz się zasłonić. Lecz w końcu – czy chcesz się zasłonić? Kiedy oni tak patrzą. Jak na bezbronną ofiarę. (Wargi do kielicha, wargi do ucha). Musisz być gotowa, zawsze gotowa. Suka Pawłowa. Wchodzisz do urzędu sklepu gabinetu autobusu, obracają się oczy, podciągnij spódnicę, rozkracz nogi, święci nie wytrzymają.

Bełkotliwa pornomatryka napędza Ewę do jeszcze beczelniejszych inwazji.

– Przyznaj się – nachyla się ku Laurze, uśmiechnięta pod ciężkimi od wina powiekami, rozleniwiona w podnieceniu, podniecona leniwie – przyznaj się, o, tuszę przecież, kręci cię to nadal.

Przyjaciółka-nieprzyjaciółka, zarazem znajoma i zarazem obca, mówi z serdeczności

swobodnej i mówi ze złośliwej ciekawości.

Laura chichocze do kieliszka.

– O miłości mojej nic powiedzieć nie mogę.

– Ale dlaczego właściwie się rozstaliście? Ty go rzuciłaś, tak?

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego! – Laura rozchyła palce, kieliszek prześlizguje się przez nie hipnotyzująco powoli. – Pantery dzikie! Orzeł polujący! – I tak ostatecznie wymyka się z jej dłoni, i spada, rozbijając się z

Brzękiem zimnym na bruku bezludnej ulicy, gdy o czwartej nad ranem unoszą się przed ich rozumienionymi twarzami obłoki kwaśnej pary, a skórę drapią ciernie październikowego mrozu. Laura stara się utrzymać w pionie Ewę, której po kolei wypadają z rąk klucze (brzęk!), komórka, portmonetka, szminka, wreszcie upuszcza Ewa samą torebkę; Laura ją podnosi, macha na taksówkarza, równocześnie sterując Ewą przez chodnik i jezdnię, Ewa jest jednak wyższa, cięższa, wiesz się na Laurze, wykrzykuje swoje pretensje wobec miasta i świata.

– Gdybym mogła zdobyć tę ich wolność!

– Czyją? Schowajże klucze, na litość boską, na co ci klucze teraz!

– Tych plastikowych dziwek z pornoli, tych lalek z „Playboya”. Wiesz, czego im zazdrościsz? – I Ewa wydycha ponad biustem falującym obłok jak dymek komiksowy. A w tym dymku: – Że już nie można ich rozebrać! Już nie można obnażyć! – Pod spojrzeniem rozbawionego taryfiarza szarpie się z połami swego płaszcza. – Cholerni zawodowcy aktu. A ty się kontroluj, kobieto, ty się morduj codziennie, czy w takim świetle, czy w innym, a może kolor zły, a może bluzka już nieprzyzwoicie skromna, nieskromna, nóg za dużo, nóg za mało, nogi krzywe, ty się dawkuj, oprawiaj, przyprawiaj, się cenzuruj, zasłaniaj, odsłaniaj, zasłaniaj, centymetr wyżej, centymetr niżej, całe życie w strachu, że jedno potknięcie i publicznie wyprujesz z siebie flaki – potyka się, prostuje, potyka – co jest gorszego – to właśnie: ekshibicjonizm na krawędzi, rosyjska ruletka ekshibicjonizmu – jak ja ci zazdrościsz!

– Czego?

– Tej wolności! Wszystko otwarte, wszystko bezwzględnie szczere, kwiatek na łące – więc nie musisz się bać. Cały świat widział, jak stu Murzynów jebie cię w dupę. – Czka głośno na całą ulicę. – *Fi, fi, figuratively speaking.*

Laurze udało się wreszcie ulokować Ewę na tylnym siedzeniu taksówki; oparłszy się o dach wozu, oddycha przez otwarte usta, jakby śmiała się niemo.

– Taaa, taka ze mnie Muza, to ze mnie wysysał, taką miał frajdę, fontannę niewinności w barku podręcznym, Laura kochana między żołądkową i żytnią, setka na dzień dobry, pół litra na wieczór, i jedziemy, Londyn Paryż Nowy Jork, pół miliona, milion, pan geniusz zasrany na resorach z pegieeru.

Kołysze się na innych falach, wpadła w wir, nie wydobędzie się zeń o własnych siłach, oko tępe, język wyjąłwiony, do kogo mówi, do siebie, do Ewy, do budynku naprzeciwko, do reklamy banku na murze, rozkołysana w bezruchu, zapatrzona w nagiego do pasa Raka-Raczyńskiego, który jedną ręką sięga ku niej ponad dachem auta, a w drugiej obraca bizantyjskie pachmodium solne.

Podczas gdy Ewa ciągnie swą litanie zawziętą:

– A ty się cenzuruj, kobieto, póki możesz, ty się szarp z twarzą tyłkiem szyją cyckami brzuchem skórą młodością starością, ty się dawkuj, co wobec świata, a co na ołtarzu lustra, wszystko na ołtarzu, ty się składaj w ofierze, po kawałeczku, zakrywając, prywatyzując, cenzurując, nie jesteś godna, nie jesteś godna, nigdy nie będziesz godna – zezwierzęcenia. Jak ja im zazdroszczę! – I z powrotem wyczołguje się z taksówki, wieszka się na Laurze, w alpinistycznym wysiłku sięga jej ust, nosa, uszu, oczu.

Laura na moment trzeźwieje. Płaci kierowcy, wpycha Ewę do środka, zatraskuje drzwiczki.

– Bo będziemy tam wyglądać jak z trumny wyjęte! Jutro, dziewiętnasta, „Krakatau”. To znaczy dzisiaj już.

– A ty się cenzuruj...

Odjechała w końcu.

Umknąwszy z ulicy w ciepło gniazda mieszkalnego, Laura zasypia na stojąco. Jednak zanim zaśnie, sumiennie sprząta pokój; po szesnastu miesiącach życia z RR pozostał jej także uraz do menelskiego *lifestyle* 'u bohemy, całego tego bieda-hipsterstwa na pożyczonych pieniądzech i pożyczonej młodości. Zbierając kieliszki talerze sztućce serwetki, odkrywa w przewróconej butelce resztkę Gewürztraminera – zasypiając – który jest energetyczny, różany, słodkawy

2. Podziemia snów

Na języku.

– Nie pieprz, pójdziesz tam, musisz pójść. Jak to z nim było? Opowiadaj!

– Nie znasz go, to przebiegła bestia, zawsze potrafił ze mnie wytuszyć coś przeciwko mnie, nie wysłałby tego zaproszenia, gdyby nie miał już czegoś na haczyku.

– Za dużo o tym myślisz, dziewczyno. No co? Najwyżej zrobisz mu tam scenę. To ty masz go w garści, możesz mu zrujnować wieczór, ha, całą premierę, poszedł na hazard. Pewnie po prostu nie wytrzymał, musiał się przed tobą napuszyć. Pokaż Irvinga.

Przeczytała cały wydruk, zanim ryż zszedł z ognia. Kucharząc, Laura spoglądała co

chwila pytająco przez ramię. Ewa często wywracała przekłady do góry nogami, zdarzyło się jej nawet przesunąć termin wydania, niezadowolonej z brzmienia polskiej wersji. Redaktorzy-korektorzy mieli z nią krzyż pański; wtrącała się we wszystko. Tak przecież Laura wpadła latem w tę fuchę: jako nagłe zastępstwo tłumacza w oczach Ewy nie dość kompetentnego.

– Muszę jeszcze wyczyścić ostatni rozdział, tam najwięcej –

– W życiu bym nie odgadła! – Bo Ewa tymczasem wróciła do sceny erotycznej na dachu supermarketu, z jednorękiem zapaśnikiem oraz kuzynkami związanymi paktem samobójczym, po Irvingowemu dziwnej i śmiesznej, przedstawionej niemal wyłącznie za pomocą matryk i zapachów. – Przyznaj się, kto ci podpowiada? Jak ty to tłumaczysz?

Laura wzruszyła ramionami nad szpinakiem i wodorostami nori. Osiągnęła w końcu tę biegłość prestidigitatorską, gdy nie przeszkadza jej w przekładzie nawet najbardziej subtelnych opisów wrażeń tuchowych, że nie jest w stanie przypiąć do wszystkich tych słów żadnych znaczeń – innych niż odbicia znaczeń słów, w sąsiedztwie których tamte zazwyczaj występują.

Od owego styczniowego objawienia w Małym Staszicu minęła wieczność – Laura w końcu sprowadziła otuch do poziomu kolejnego języka obcego.

Ewa pozostawała nieprzekonana.

– Przecież takie rzeczy się czuje, ja czuję, kiedy czytam. To już prędzej uwierzę w porywające gejowskie erotyki tworzone przez zatwardziałyh heteryków.

– Takie są najlepsze.

Ewa przewróciła oczami.

– Teraz znowu ten twój Gustaw. Wypluj go!

– Wcale nie –

– Przecież tuszę!

Jak zaprzeczyć? Ślepcy przynajmniej mogą wymacać rzeźbę swych twarzy, zapanować nad mimiką.

Laura przyjęła energię ciosu i odbiła go w bok.

– Zobacz na półki w przedpokoju, po to zbieram te protezy.

Część wzięła od Gustawa. Historia komcharstwa, monografie o najsłynniejszych jego twórcach, klasyczne prace o hinduskich i szintoistycznych kultach pachu, eseje Witkiewicza, Dvořáka, Steinera, archeologia starożytnych pacharni, bo tak naprawdę niewiele się zmieniło od czasów rzymskich *magna matricula* i słowiańskiej zapłuszyny. Pachutralia organiczne i potem

nieorganiczne pozwoliły na utrwalanie, kopiowanie, transmisję i obróbkę matryku, ale źródłem pierwotnym wszelkiego pachu pozostaje królestwo przyrody, rośliny, zwierzęta, ludzie.

W przebudowanej ze strychu klitce każdą wolną ścianę przeznaczono na książki – Ewa wspinała się na palce, ażeby sięgnąć wyższych półek regału rozpostartego od łazienki do drzwi wejściowych. Tam Laura trzymała tanie wydania klasyki, przeważnie peerelowskie starocie kupowane za grosze na Allegro, po których bez wyrzutów sumienia kreśliła kolorowymi markerami.

Wskazując akapity ostrzem noża, objaśniała zafascynowanej Gorgonie zasady kodyfikacji.

– Czerwień to wzrok, czyli obrazy. Żółć – zapachy. Dotyk jest niebieski. Ale to się rozmywa, bo nie zawsze da się tak odciąć.

– Odciąć?

– Jeśli na przykład coś jest masywne albo kanciaste. Nie musisz wcale dotykać, a przecież od razu wypływają na wierzch słowniki cielesności. Chociaż tylko patrzysz. I tak dalej. Dźwięki na zielono. Matryki na czarno.

Ewa spoglądała już na Laure z lekką zgrozą.

– I wszystko tak? Strona po stronie? Masz tam, zaraz, całego Prousta i Balzaca, z dwie półki kolekcji poezji, chyba całego Szekspira, na metry Iberoamerykanów, Anglików, Austen, Conrada, Nabokova, ale, mhm, Polaków współczesnych nie widzę –

– Nie chce im się już dawać opisów. Złożyli przymiotniki na ołtarzu czasowników. Zobacz, będzie dobry?

Ewa pochyliła się nad łyżką zgęstniałego sosu.

– A smak jest jaki?

– Fioletowy.

Posmakowała, uniosła głowę i odpowiedziała na pytanie z sąsiedniego życia:

– Nie zapomnisz o nim w ten sposób, nie da się.

Laura ani mrugnęła. Tak właśnie się dowiaduje o swej nagości obsceniczej: ze słów, zachowań, z nastrojów reagujących na to, czego nie powiedziała, nie zrobiła – lecz co nieustannie wpływa z niej na świat w spontanicznych fontannach pachu.

– Pójdiesz ze mną jutro do „Krakatau”?

– Z rozkoszą.

Czy nie po to się Ewa wprosiła? Laura poczuła pytanie impertynenckie nabrzmiewające na wargach – lecz Ewa z powrotem nasunęła okulary na nos i pochyliła się nad wydrukiem, i Laura znów wybrała bezpieczną niepewność, tę mleczną dwuznaczność, miękką ciemność ślepego. Zgarnęła rozrzucone przez Ewę książki i odniosła je na półki. Odwróciwszy się do Ewy i kuchni plecami, przeniknęła błonę oddzielającą kosmos nosa i podniebienia od kosmosu

Klejów introligatorskich, żółtego papieru, skóry chropowatej, wieczorów fotela i lampy – z których Raku wydobywał ją przemocą. Kiedy po raz pierwszy zaprosił ją do swej pracowni, trzecie piętro w gierkowskim bloku z widokiem na asfaltową równinę parkingów i podmiejskich hurtowni, za to sto trzydzieści metrów kwadratowych w sterylnej klatce betonu (zburzył większość ścian wewnętrznych) – kiedy tam weszła i ujrzała ten bałagan koronowany kilkunastoma pustymi stelażami, zrozumiała, że wszystkie jej studia, tysiące godzin lektur pilnych, cały wielki projekt deszyfracji zmysłów i kruczata translatorska, wszystko to prowadziło ją do tego finalnego testu. I Gustaw wytuszył z niej bezbłędnie owo napięcie podniosłe; wiedziała, że się zdradziła, że wybuchło to z niej w jaskrawym bukiecie, w szerokiej lawinie, odczytała to z niego. Już zachłannie uśmiechnięty, rozświetlony apetytem krokodylim, z salonową rewerencją ujawszy Laurę pod łokieć, Rak-Raczyński prowadził ją wzdłuż szeregu topornych chitryn, z rozmachem francuskiego marszanda omawiając w języku postmodernistycznej komchatrii każdą swą pracę z osobna, jej technikę, okoliczności powstania, osadzenie w tradycji, odcienie interpretacyjne, wady i zalety. A Laura – widząc goły metal i nie tuchując niczego, co RR właśnie opowiedział, nietota stuprocentowa, królowa nietot udrapowana na jego ramieniu masarskim – dyskutowała z zapalem i znanstwem subtelności matrykacji spektralnej, wyższość południowych glissów namiętności nad wschodnimi, lissandrowe manieryzmy Rakowego stylu, wpływ nań szkoły klasycystycznego komchartu imitacyjnego, etyczność pachografii pośmiertnej, a także przyszłość całego komcharstwa abstrakcyjnego, rekombinującego matryki naturalne w matryki w przyrodzie niewystępujące, a zatem projektujące emocje, myśli, stany psychiczne niedosiężne dla zwierząt i ludzi, nie do pomyślenia, nie do wyobrażenia, nie do stuszenia. Dla nikogo (się RR nadymał i kogucił), nikogo, nigdzie, nigdy. A ja je tworzę. Na tym polega sztuka. Rozumiesz?

Nie rozumiała, ale nie przeszkadzało jej to dyskutować, jakby rozumiała. I nawet w części tych sporów z RR zwyciężała. O, wtedy Gustaw był wniebowzięty! Nachylał się ku niej w zachwycie chłopięcym, gotów spijać, wygryzać, wysysać tymi ustami kauczukowymi każde jej słowo i pach, zarazem niedowierzający i jakoś dumny z jej nietoactwa, podziwiający-podziwiany. Co takiego pachowała mu wówczas prosto w twarz? (Już go nie dopyta). Serce biło jej niczym saperowi wypchniętemu na pole minowe, każde zdanie, każde słowo ślepe mogło wybuchnąć jej na języku, każdy krok mógł zatrzasnąć wnyki stalowe, to znaczy – potrzask idiomu.

Tłumaczyła. Przekładała. Rozwiązywała zmysły przez zmysły. Raczyński nie uwalniał jej z uchwytu czulego, paradując przed kolejne chitryny. Anioł spuszczonego z nieba mniej zaborczą nabożność by w nim skrzeszał. Byle nastolatka zmamiona do matecznika pana artysty pojmie całą sytuację bez słów; Laura miała tylko słowa. Gustaw obracał przed nią kolejny komchart. A co Laura sądzi o tych aurach prężnych, czy nie przesadne? Nie, skądże, Bociara i Łukasik pokazali, że pasaż organiczne łatwo przechodzą w uczuciowe, tuszyłeś uliczne komchy z Metropolitan? Tam to pachują...!

Zakochał się w niej. (We śnie).

W klejach introligatorskich, papierze żółkłym, chropowatej skórze obwolot, w wieczorach fotela i lampy – z nimi bowiem tam konwersował. Z chińskim pokojem nabitym ślepyimi algorytmami języka, z rozręczowaną na sześć kolorów sensualną historią literatury. Prowadziły Laurę węże semantyki piękna: czerwień, zieleń, błękit, żółć, fiolet, czern. Obalała Gustawowe racje sztuki i argumenty uczucia – chociaż sama nic o nich powiedzieć nie mogła.

*I chociaż o miłości mojej nic powiedzieć nie mogę –
choć nic nie mówię o twych włosach, ustach, oczach –
jednak twarz twoja, którą przechowuję w duszy,
głask twego pachu, który trwa w moim mózgu,
dni września, świtające w mych snach,
nadają kształt i matryk moim słowom, zdaniom,
o czymkolwiek mówię, cokolwiek wypowiadam.*

Jak się włamać do obcego królestwa zmysłów? Tylko tak.

Włamała się. Schodząc do podziemi języka, do tego podglebia zbiorowej podświadomości, skąd biją rzeki poezji, prozy, muzyki, malarstwa, komchu i rzeźby, początki wszelkich źródeł ducha, które *nadają kształt i matrykę moim słowom, zdaniom, ταις λέξεις και ταις φράσεις μου πλάττουν και μου ματριζουν*, bo im głębiej, tym czystsza prawda, tak więc schodziła – Guanyin, Kora, Inanna – do języków źródłowych, do tekstów-fundamentów, tam zstępowała

(we śnie)

w poszukiwaniu Rosetty zmysłów, mitycznego źródła tęczy. Co znaczy „tuch”? Co znaczy „matryk”? Czym jest „głask”? Od Małego Staszica, przez liceum i studia, w życiu i w bibliotekach, we wszystkich bibliotekach życia – fraza posłyszana na ulicy, niezrozumiała scena w filmie, nowy koreański *hi-tech* matryczny, wulgarny dowcip-rebus – Laura pochylała się nad owymi telegramami Enigmy, tabliczkami linearnego B, supłami kipu.

Zaczynając od wskazówek najoczywistszych: archetypów skojarzeń zmysłowych. Upojna woń róż, zgrzyt paznokcia na szkle, kojący błękit, aksamit ciepły, prężny sierpień – dlaczego tak? dlaczego nie na odwrót? Jaka jest najmniejsza liczba zmysłów, na podstawie których można rozwiązać zmysły pozostałe?

Katalogowała te przekazy kulturowe jak wojskowi kryptografowie katalogują przechwycone transmisje wroga. Szum, bełkot, chaos, tak – lecz przecież w pewnym momencie wyłaniają się wzorce.

Zaczynając od najoczywistszych – oto u Szekspira otuch idzie w parze z dotykiem, strącony z wysokich orbit zmysłów książęcych:

Nor are mine ears with thy tongue's tune delighted;

Nor tender feeling, with fowth's shroven tone,

Nor taste, nor smell, desire to be invited

To any sensual feast with thee alone:

But my six wits nor my six senses can

Dissuade one foolish heart from serving thee

Co w tłumaczeniu Barańczaka brzmi:

Słuchu też nie czarujesz melodyjną mową,

Dotykiem ni pachem nie przemożesz natury

Smaku i powonienia na ucztę zmysłową

Nie znęca chłodne ciała twojego marmury.

Próżno sześć władz umysłu pospołu z sześcioma

Zmysłami ciągle serce do tej służby zraża

A w przekładzie Słomczyńskiego:

Mowy twej tony mych uszu nie cieszą,

Dotyk czuły ni otuch w swej prążności

Ni smak, ni węch na twą ucztę nie spieszą,

Byś nasyciła je na osobności.

Lecz mych sześć klepek ani mych sześć zmysłów

Serca głupiego odciągnąć nie zdoła

Sześć klepek i pięć zmysłów, a przecież po którymś tysiącu, milionie, miliardzie skojarzeń, splótszy wystarczająco gęsto puste dla Laury znaczenia – zaczęły się one w jej umyśle krystalizować z synonimów, wyłaniać z nicości i szarości, na podobieństwo obrysów

cienia, dopełnień kształtów wycinanych i unoszonych pod światło. Tajemnicze postaci w teatrze Nō – domyśl się, co znaczy ten ich gest, ta figura. Czyż także ślepi od urodzenia nie śnią, że widzą? I co właściwie wówczas „widzą” w swych snach – czym jest to widzenie ślepców? Nie śniliby o nim wychowani w świetle, w którym nikt nigdy nie przejrzał na oczy.

Tak samo Laura – od małego śniąc niejasno, że tuchuje jak wszyscy, w końcu śniła

(we śnie)

o matrykach precyzyjnych i bogatych jak dwustronicowe zdanie Prousta, wspominała doświadczenia matryczne, które ustawiły całe jej życie (we śnie), zdarzenia i przeżycia obracające się na zawiasach otuchu, wspominała wspomnienia, bo z każdym obrotem nocnej pamięci bardziej osobiste i szczerze, katapultowane na powierzchnię świadomości z platform sąsiednich zmysłów, cóż z tego, że w pierw musiała o tym wszystkim przeczytać, cóż z tego? Tuchowała; pamiętała, śniła, że *w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruchami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrżałam, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nieumotywowana. Skąd mogła płynąć ta potężna radość? Czulałam, że jest złączona z matrykiem herbaty i ciastka, ale że go przekracza nieskończenie, że nie musi być tej samej natury. Skąd pochodzi? Co znaczy? Gdzie ją chwycić?* I głębiej, do samego źródła. *Je sentais qu'elle était liée au matrique du thé et du gâteau, mais qu'elle le dépassait infiniment, ne devait pas être de même nature.* Wspominała, śniła.

I czy można to złożyć wyłącznie na karb tradycji, małego powielania raz przyjętych konwencji – czy też rzeczywiście pach niesie w sobie wilgotne molekuly duszy?

Na trzeźwo – na jawie – Laura odrzucała wszelkie nadnaturalne interpretacje. Niezlomny realizm kalek, graniczący wręcz z pesymizmem-fatalizmem, chroni je przed popadnięciem w wyniszczające cykle euforii i depresji, kiedy to byle *news* o testach klinicznych nowego leku albo przeblask czucia w martwej kończynie rozbudza feniksowe nadzieje, prędko obracane w popiół zatruwający potem życie nieszczęśnika przez długie miesiące. Laura się uodporniła, nie dawała wiary, diagnozy tetologów od początku brzmiały jak wyrok: całkowity brak nerwów tuchowych, neuropatia tetyczna.

Jeden jedyny raz zwątpiła, raz tylko się tak zdarzyło

(Skąd pochodzi? *Ne devait pas être de même nature!*)

że tłumaczenie przeczytało tłumaczkę – przez sen, we śnie. Gdy zalegli na noc długą zimową pod świeżo wzniesionym ołtarzem nowego komchartu Raka, rozłożystą chitryną niczym pogańskim totemem, ośmiorękim potworem zapłuszyny matrykującym do bólu głowy (Gustaw łykał aspiryny jak chipsy), splątani w kocach i prześcieradłach wprost na PCV jego pracowni zaplutej, kaloryfery pociły się żeliwnie, ciemność zaokienna kamforowała brudy wszechświata, i tak, w anakondowych objęciach Raczyńskiego, z jego policzkiem ściernym na ramieniu i jego dłonią chciwą na płci, Laura zapadła w sen swój filmowy, wywrotowy.

– Zgubiłam się we mgle, w mieście nadmorskim.

...To miasto zbudowano na stromych wzgórzach ponad portem, z wąskimi uliczkami i piętrowymi domami z kamienia, po tym bruku deptały sandały rzymskich legionistów. Zgubiłam się we mgle, nocą, w środku parnego lata, nie lata. Mężczyzna, z którym wyszłam na miasto – zostawił mnie? ja go zostawiłam? pokłóciliśmy się? Szłam sama, w lekkiej sukience i sandałach na obcasach. Ale szybko je zdjęłam. Piliśmy owego wieczora, mam na języku smak owocowego wina. Idę nocnymi ulicami przez stare miasto i wtedy poznaję, że to sen, bo nie widzę i nie słyszę ani jednego człowieka. Nie ma też samochodów. Ja nie mam komórki. Widzę na ścianach reklamy i graffiti, ale nie potrafię odczytać tego języka, nie potrafię rozpoznać alfabetu, przetłumaczyć świata. Więc sen.

...Przysiadłam na cembrowinie wygasłej fontanny. Kamień wygładzony przez wieki, pod dotykiem same obłe formy: pyski bestii fantastycznych, dziwne twarze bóstw, demonów i nimf, rogi i języki i włosy na metry długie. Mgła wchodzi i cofa się z placyku, zakrywa i odkrywa wyloty uliczek. Zanurzam dłoń w wodzie. Przelewa mi się między palcami srebrne światło, to chyba Księżyc. W wodzie, w rzeźbie fontanny – faluje figurka czarna, chłopiec nagi ze strzałą w zębach. Głaszczę go po główce. Wpływa mi pod rękę. Wyjmuję figurkę z fontanny. Woda ścieka po czarnym kamieniu, jest tak śliski, tak ciężko wtula mi się w dłoń – to przyjemność prawie erotyczna. Znasz przecież zaczątek uczucia – jak się palce same wyciągają, drżące czułki, ku posągom, płaskorzeźbom, odlewom masywnym. Kiedy tłumaczyłam katalogi Muzeum Narodowego... Te mięśnie zimne, te piersi z białego marmuru, te genitalia bogów wypolerowane pod pieśczołą tysięcy, te gład-wargi jak oliwką całowane.

...W takim pochodzie przeszli rynkiem nocnym: postaci tańczące, nagie, półnagie, pod koronami bluszczu, winorośli, kwiatów białych i czarnych. Amor w mojej dłoni poprowadził mnie ku nim. W procesji obok wpółobnażonego biznesmena tańcował-maszerował czarny jak heban Murzyn z koźlęciem w ramionach, koźlę miało ucięty łeb, Murzyn był goły, wzwód jak drag, za nimi strega w błocie wytarzana, a potem stadko dzieci z poprzyklejanymi do skóry banknotami nieznanych walut. Szli też bardzo chudzi młodzieńcy palący w długich fajkach wonne zioła, ci podrygiwali najzwawiej. Amor pociągnął mnie do pary ze starcem obwieszonym zegarkami; dziadyga potrząsał nimi co krok, tak wyznaczał rytm, puls rytuału.

...Przy jednej z wąskich uliczek miasta, za murem wysokim odbywało się przyjęcie, wesele, jakaś impreza wieczorna – tam zmierzaliśmy. A za murem był obszerny dziedziniec i ogród z kilkoma zniszczonymi posągami, kilkoma drzewami. Mgła nie miała tu dostępu. Zamiast lamp elektrycznych paliły się pochodnie. Tymczasem zgubiłam gdzieś sandały, nawet nie spostrzegłszy straty, jak to we śnie bywa. Ziemia w ogrodzie była miękka, ciepła, nie błoto, lecz gleba szczerza, i przelewała się między palcami stóp niczym gęsty płyn, krew krzepnąca. Biegły tam w krętym układzie chodniki ułożone z nieforemnych kamieni. Szybko się zgubiłam w labiryncie ścieżek, między rzeźbą starożytną, drzewem dostojnym, dymem i płomieniem. Amor prowadził mnie od zakrętu do zakrętu, ostatnie krople ściekały z figurki. Przedemną szła dziewczynka może dziesięcioletnia, naga jak reszta, popijająca czerwone wino z wielkiego kielicha.

...Grała muzyka, za nią trafiłam pod amfiladę i do komnat na przestrzał w mgłę otwartych, pełnych ludzi i zwierząt i innych kreatur z legend. Zadzieralam głowę, kręciło mi się w głowie, noc mi w głowie szumiała. Porwali mnie, korowód sennego następstwa zdarzeń mnie porwał, w bachanalia jakieś, orgie dionizyjskie, tak musiało być – popłynęło to poza pamięcią

snu, w pamięci tu cięcie, sen skleja się ponad tym, co oczywiste, znasz te porywy, procesje majaków jak montaż mgły z mgłą. Znasz? Znasz.

...Aż obudziłam się na skórze zwierzęcia, w świetle Księżycy. We śnie. Długo oblizywałam wargi. Jeszcze kilka ciał zaległo w tej sali z wygasłymi kadzidłami, z żarem wygasłym w koszu żelaznym. Zdjęłam albo ktoś zdjął ze mnie sukienkę, leżała obok na ławie, na niej amerek z onyxu. Przewleczono mu pod rączką łańcuszek, powstał wisior ciężki. Wiedziałam, że mogę założyć tylko jedną rzecz: sukienkę albo amora. Nie mogłam zostawić amora. Zawisł nisko, pod piersiami, nad pępkiem, że musiałam się wyprostować, bardziej niż wyprostować, musiałam trzymać odtąd pozę kariatydy: z torsem podanym w przód, głową do tyłu, brodą wysoko, barkami cofniętymi. Widzisz to? Widzisz mnie? W świetle Księżycy.

...Obudziło mnie wino wypite, zbyt dużo wina. Na korytarzu łaskotały mnie w podeszwy stóp krawędzie płytek mozaiki, zimnych, gładkich. Szłam tam po obrazach, po łąkach i lasach, po figurach hybrydowych. Cały ów kompleks śródmiejski stał już cichy, tylko czasami zabrzączało w oddali naczynie, zaszczekał pies, człowiek westchnął, wypowiedział imię. Na schodach minęłam się z brzuchatym Mulatem, miał ciemną krew na ustach. Musiałam przejść przez ten wewnętrzny ogród, posągi spoglądały z chłodną pogardą. Powietrze spływało mi przez nos i gardło elektryczną strugą, co to za pora roku, lato, nie lato, nie ma takiej pory roku.

...Stąpałam ścieżką płyt kamiennych i zobaczyłam go dopiero w połowie drogi, siedział na tronie pod murem, pod dębem, zarośnięty. Aż przystanęłam. Dlaczego tron – siedzisko z wypiętrzonych korzeni, on na nim osadzony z szeroko rozstawionymi nogami, rękoma na udach, brodą splątana na piersi. To był starzec, ach, ale starzec-mocarz, starzec-monarcha, starzec odwrócony od śmierci. Żył i mięśnie napinały skórę granitową. Miał bicepsy Hefajstosa, uda Heraklesa, kark tytana, wielkie dłonie wpółzaciśnięte – do młota, do miecza, do gromu. Penis nieobrzezany, gruby, ale nie nakrwiony twardo, spoczywał wskos na jego lewym udzie; jedynie te włosy miał siwe, u nasady członka i na jądrach byczych. Czarna grzywa kłębiła się wokół jego wielkiej głowy, wir burzowy; przesłaniał pomarszczone oblicze, ale i tak widziałam, że Stary ma otwarte oczy i że patrzy na mnie. Trwał w absolutnym bezruchu, nie dostrzegałam nawet drgnięcia oddechu, nawet przymknąć powiek – zrobiłam dwa następne kroki i wyrwałam się spod jego wzroku. Ale do końca wiodłam za nim spojrzeniem. Wiatr kołysał gałęziami nad Starym.

...Za kolumnadą była sala łaźni, a dalej – sala z otworami w kamiennej posadzce. Ścianę naprzeciw pokrywało stalowe zwierciadło, teraz mętne, wlała się w nie noc jak przepalony olej. Amor wskazywał na nie strzałą na języku. Sala była pusta, ale nie w zwierciadle, nie w zwierciadle. Któż podziwia fizjologię nieczystości? Przestałam wtedy wierzyć w sen. (We śnie). Nie śniłabym tego, nie ja.

...On siedział tam nieporuszony, gdy wracałam. Bożek ciężki obrócił mi się pod żebrem i coś ścisnęło mnie w żołądku, niżej, tutaj. Opuściłam ścieżkę. Stary patrzył przed siebie, nie na mnie. Podeszłam powoli, to już była miękka ziemia, gleba-krew, a zaraz wokół Starego – trawa, gęsta, soczysta. Stałam z boku, po jego lewicy. Nie odezwał się. Czekałam długo. Nie dał znaku. Mogłam zajrzeć mu w twarz – gdyby wstał, sięgałabym mu do piersi. Grzbietem dłoni, naskórek po naskórku, przesunęłam po jego ramieniu. Ciepłe, gorące. Nie drgnął, nie przemówił. To była inna skóra, inny materiał okrywający ciało: coś nieskończenie bardziej silnego, co

wytrzymuje wulkaniczne napięcie mięśni pod spodem, moja skóra pękłaby jak skórka winogrona. Położyłam całą dłoń na jego dłoni. Rączka dziewczynki na ręce ojca. On nic nie mówi, on milczy, nie zauważa.

...Teraz klękam w trawie przy Starym, próbuję wejść w jego spojrzenie od dołu. Ale milczy wciąż. Przyciskam policzek do masywnego uda, cieplejsze, opieram na nim głowę. Pachnie nie jak starzec, lecz jak atleta schnący po treningu. Te kropelki na jego skórze smoczej równie dobrze mogą być rosą krystaliczną. Zbieram je – dwa, trzy pociągnięcia języka. Nie poruszył się. Patrzy ponad mną. Więc wiesz, i ja wiem, język powędruje dalej, przemówi do głowy węża. Rozmawiamy w ciszy, mój oddech, wargi, serpent smagający z między zębów, i jego grzmot nieustęplicy, niemy, panujący. Wiatr stateczny głaszcze mnie po plecach, wzdłuż kręgosłupa. Złożyłam obie dłonie na dłoniach Starca, prawą na lewej, lewą na prawej. Nie ma zegarów, tylko amor z onyksu obraca się w dole, kamienny cień gnomona nocy.

...I kiedy krew gorąca wchodzi w fallusa-dracusa, jest to pierwszy i jedyny ruch monarchy na dębowym tronie, jedyne życie z niego, tylko tak przemówi: rosnąc na moim języku, wypowiadając się w moim oddechu, dotykając mego podniebienia. Poruszyłam króla. Podźwignęłam centrum świata. Czujesz, jak mi serce bije? Czujesz?

...Będzie rósł, a ja będę go ściagać we wzroście, słowo nieme na słowo, tembr bezdźwięczny na strunach żył zdrewniałych, będzie rósł i pulsował, dudnił, bębnił, trąbił, grzmiał salwami kolubrynowymi, aż wypełni mi parzącym wrzaskiem całe usta. Ogłuszona, odpowiadam bełkotem w ślinie, niezgrabnie przekładam, interpretuję w zmysłach człowieka zmysły, to znaczy język, to znaczy rozkosz boga. Jest zbyt bogata, przepala mi nerwy, wywraca smaki, muszę się oddalić, wyzwolić, powrócić do słowników. Wracam. Z ostatnią samogłoską śliny pęka dialog ziemi i niebios.

...A wiedziałam, że one tam stoją, za mną, na ścieżce, stoją i patrzą; jeszcze zanim się odwróciłam. Kobieta w białej szacie i ta naga dziewczynka z kwiatem we włosach. Chciałam zadać im pytanie, ale żywica boga kleiła mi język i wargi. Uczynił ze mnie niemowę, zalał mi gardło swoim milczeniem barytonowym.

...Ocierałam nieporadnie usta. Kobieta podała mi kielich. Wiedziałam: wypiję to wino i otworzą się przede mną wrota wszystkich zmysłów.

...Wtedy się obudziłam z głową łupiącą jak jasna cholera.

– Nie mówiłem ci, o czym jest ten art.

– Nigdy mi już nie mówisz.

– Bo ty je najpiękniej opowiadasz, Lau, ty najpiękniej, najpiękniejsza.

Ale jak na nią wtedy patrzył, w jaką zupełnie nie-Rakową nieśmiałość słów i instynktów go wdusiła – nawet nietota pozna, że coś nadzwyczajnego się tu wydarzyło. (W jej śnie). Jeszcze tego samego dnia przeszukała historię jego peceta. RR wówczas już z papieru nie czytał prawie nic. Znalazła dziesiątki artykułów, nagrań, filmów, matrygrafii o prehistorii zachodniej sztuki,

Orfeusz i grecka religia W.K.C. Guthrie, *Sztuka-religia: przed rozwodem* Alvina Doptry, serial BBC o neopoganach i tonę linków do dyskusji na forach historyków i teologów.

Co prawda, RR mógł się być jakoś przed Laurą zdradzić niechcący, mogła od dawna podświadomie wychwytywać subtelne sygnały, odczytywać bezsłowne wskazówki.

Ale czy w gruncie rzeczy nie na tym właśnie polega otuch? Czyż nie tak opisywali tę władzę zmysłową tuchujący? Każdy przekład wymaga najpierw rozpoznania różnicy między znaczeniem źródłowym i docelowym. Tłumaczenie w stu procentach wiernie to nie tłumaczenie.

Ów art – ostatecznie zatytułowany przez Raczyńskiego *Stary Zagreus wymyśla człowieka*, włączony po latach do cyklu *Sidemyths* i wystawiany w Guggenheimie na Manhattanie – królował w pracowni dobre pół roku, RR wracał do niego, coś zmieniał, poprawiał, czasami po prostu siedział przed nim godzinami i tuchował go tępo, a czasami krążył dokoła w napięciu wygłodniałego drapieźcy, chwila i chwyci młot, roztrzaska chitrynę.

Gustaw od dawna miał jazdę na retro-mimeo, jeszcze przed poznaniem Laury naczytał się manifestów Polimimistów i w końcu poszedł mocno w „archeologię ducha”. W ciągu tych siedmiu miesięcy 2009 roku powstały trzy najsłynniejsze serie komchartów RR: *Bumtarara*, *Bumtarara II* i *Never Lived Through*. Tryptyk z *Never Lived Through*, wystawiony na zbiorowym wernisazu *Eastern Omatees* w pacharni Bjørksta w londyńskim Soho, sprzedano za czterysta dwadzieścia tysięcy funtów. I tak zaczęła się światowa kariera Gustavo Raka-Raczyńskiego. Jeszcze przed Nowym Rokiem przeniósł się z peerelowskiego brontozaura betonu do wysokiego loftu wyrzeźbionego w drewnie i szkle i kamieniu.

Ale wówczas nadal gnieździł się w tej ciemnej półkawalerce przy pracowni pełnej szkieletowych chitryn i śmieciowych prefabrykatów pachutralii, i tam, nocami dusznymi, pomiędzy siarczanym kwasem taniego wina i tekturową szorstkością pościeli, na tle śnieżącego telewizora i rozjarzonego śliwkowo grzejnika, spocony zimą, alkoholem i seksem, wymachując bochenkowo muskularnymi ramionami, wygłaszał do Laury swoje pijackie kazania, a wyrzucona na plażę sztormowego barłogu Laura obserwowała go niczym tygrysa szalejącego za prętami zoo, przyjemnie przelekniona, balansująca na granicy podniecenia i ironii, w tym punkcie G mózgu.

– Bo co nam pozostaje po ludziach minionych epok, pani doktor? – Jeszcze nie zrobiła doktoratu, ale RR lubił tak ją drażnić, sam bowiem umknął spod lepkiej macki ministerstwa edukacji po pięciu latach technikum ogrodniczego. – Co pozostaje? Ruiny. Ruiny i trochę innych przedmiotów, zachowanych w ziemi, w ruinach. I tak się dowiadujemy: w jakich domach żyli, jakie nosili ubrania – że nie były to nasze ubrania, nie nasze domy, i czym się od naszych różniły.

...Ale jaką archeologią mamy się dokopać ruin ich uczuć, ich myśli, ich dusz? Co? Już nawet brzmienie dawnych języków nie zawsze da się odtworzyć. Prawda? Pani doktor? Chociaż pozostały alfabety, hieroglify. Ale – to, co przeżywali? Ich uczucia – wielkie uczucia: miłość, nienawiść – nie były tym, co teraz znamy pod tym mianem! Słowa nakładają im fałszywe maski! – Podskakując niczym dmuchany pajac, zrywał sobie z twarzy niewidzialne kaptury i makijaże, ukazując coraz to inną minę, a zatem i uczucie, a zatem i pach. – Dzisiaj – dzisiaj to są jakieś blade podróbki, resztki rozcieńczone. Uczucia-pomyje. Pomyje! – Pluł, wypluwał. – Ba, mamy

przecież niby królów, w Wielkiej Brytanii, w kraikach europejskich – ale co taki król-kukła telewizyjna, król-ofiara tabloidów, co on ma wspólnego z zakutym w stal monarchą prowadzącym do boju armie, jednym kaprysem obracającym w ugor krainy, dyktującym z tronu narodom prawo boskie – co? Nic! Ale mówimy: król – król. Mówimy: miłość – miłość. Rozumiesz? Rozumiesz? – Dopadł Laury, wpół podźwignął z krawędzi wykolejonego łoża, potrząsnął. – Rozumiesz! Nie chodzi o jakieś relatywizmy kulturowe i lament nad cywilizacją plastiku i dolara. Mówię o konkretnej zmianie. Zapomnij o metaforach, cudzysłowach, całym tym waszym akademickim ble-ble! Bierz dosłownie. Miłość, Nienawiść, Zazdrość, Gniew – teraz z każdym imieniem wielkim schodził w niższe rejestry, ciszej i bliżej Laury – to byli bogowie, którzy zstępowali na śmiertelników! Brali w posiadanie umysły i dusze! – Wziął w posiadanie.

A gdy nastąpiła pora szeptów:

– Naprawdę, nie miałaś nigdy takiego podejrzenia? Mmm? Kiedy czytasz wyznania starożytnych. Ich *Iliady*, *Gilgamesze*, ich *Mahabharaty*. Nie miałaś takiej pewności?!

I szeptem:

– Bo – jak, jak, jak przyrównać i pomierzyć, czym różnią się nasze pasje od tych, co ongi rządziły ludźmi? Nie można. Przepadło bezpowrotnie.

Szeptem:

– Zostały, och, te obrazy, to, co pod palcami. Ale przepadły ich dźwięki i zapachy. Zupełnie i bez reszty przepadły smaki i matryki, nie do odtworzenia, nie do porównania. Przepadły, przepadły, przepadły.

I z powrotem wyrzucony na brzeg:

– Co oni tuchowali? Powiedz!

A Laura nachylała się nad nim pod falą wodorostowo splątanych włosów i, wyniośle nieświadoma wszystkich swych matryk ekstatycznych, odpowiadała z beczelnym uśmiechem:

– Nie ma różnicy, Racza. Dzisiaj czy cztery tysiące lat temu. Dla mnie nie ma żadnej różnicy. Przetłumaczę.

A on tuszył ją

Masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot, do szpiku duszy, do kręgosłupa snu. Budziła się i pytała RR: – Co mi się śniło? – Uśmiechał się leniwie, rozespany kanibal, nażarty hipopotam, strzępy jej matryk na jego kłach wilgotnych. Laurze pozostawał kwaśny posmak nocy, miała go

Na języku. W transmisjach z drugiej strony frontu kultury. Z sąsiedniego królestwa zmysłów. Czytała przecież.

W *Sotterranei di sogni*, ostatnim stworzonym przed śmiercią opowiadaniu Italo Calvino przeznaczonym do jego projektu *I sei sensi*, bohaterka cierpi na zaburzenia snu sprowadzające koszmary na jej kochanka: śpiąc, nieświadomie pachuje mu przerażające matryki, cierniowe ciągi skojarzeń tuchowych. Laura trafiła na tę książeczkę pod koniec liceum i natychmiast utożsała się z bezimienną protagonistką – nie tylko przecież noce, ale całe życie Laury tak wyglądało. Niedośpany kochanek z *Podziemi snów* wyprosił wizytę w awangardowej szwajcarskiej klinice, gdzie podpięli nieszczęsną do czegoś w rodzaju proto-MRI mózgu (Italo Calvino pisał to na początku lat osiemdziesiątych). Urządzenie mapowało precyzyjnie aktywność neurologiczną badanego człowieka także w tych fazach snu, których nikt i nigdy nie pamięta po przebudzeniu. Śnimy bowiem dłużej i więcej, niż ukazuje się na powierzchni świadomości, nawet gdy doprowadzonej do wrzenia hipnozą czy narkotykami; są takie doznania mózgu pogrążonego w śnie NREM, które od zarania *Homo sapiens* pozostają zakluczone w katakumbach psyche. Nikt tych doznań nigdy nie opowiedział, nikt ich nie zanalizował, nie wy dobył na jawę. Dopóki właśnie maszyna nie podpatrzyła mózgu śniącego całkowicie poza jego świadomością: w brutalnym wglądzie przez czaszkę. Odtworzone z wzorów aktywności na korze owe sny bohaterki ukazały jakąś ciemną postać o z grubsza człowieczych proporcjach pachującą na potęgę niczym wieloryb w agonii. Kim ona jest? Samą bohaterką? Jej odbiciem lustrzanym? Kimś nieistniejącym, kogo sobie tylko wyobraża? A jeśli nie jej wyobrażeniem – to czym? Obrazy rekonstruowane na monitorach w klinice są niewyraźne, gruboziarniste: rozchwiane konstelacje punktów ujęte w dwóch wymiarach, gdzie położeniu każdego punktu odpowiada miejsce aktywności w mózgu. W rozdzielczości 100×100 wszystko wygląda jak nabazgrane przez przedszkolaka. Sylwetka chropowata wyciąga kończyny-wstęgi, wypływa z siebie usta-oponę, kołysze tułowiem jak smugą dymu. W tle skaczą i migoczą ukośne linie. Istnieją tylko dwie barwy: czerń i biel. Bohaterka wpatruje się w te koślawe fotografie upióra zamieszkującego piwnice jej umysłu, i potem śni o nim także świadomie, pamiętnie, znowu matrykując naokoło smolne antytęcze, zmory, chimery, grozy i paranoje.

Posłużyło to Calvino do rozwinięcia całej antropologii schizofrenicznych osobowości żyjących w częściach mózgu, do których nie mamy dostępu. Docierają tam jednokierunkowe ulice niektórych zmysłów, ale żadne trakty stamtąd nie wychodzą. Nosimy w głowach Bóg wie ile takich ciemnych kukieł, autystycznych bliźniaków, one krzyczą, przarżują, biją łbami-płomieniami o deszczowe ściany naszych snów – lecz nic nie wydostaje się na zewnątrz. Giną więc wraz z nami w zupełnym zapoznaniu, bezsilni świadkowie własnego-cudzego życia. Do ciała, do ust, oczu, palców podpięty pozostaje tylko jeden z więźniów mózgu, ten zamieszkujący celę z otwartym dostępem do zmysłów; ten, o którym myślimy „ja”. Ten, którego myślenie słyszymy. (Myśląc). Gdy dostęp jest zbyt swobodny, nieograniczony – wtedy właśnie mamy do czynienia ze schizofrenią.

Nie każdy zmysł grodzi jednak tak samo gruby mur, nie do każdego aparatu ciała jest równie blisko-daleko, i oto jeden z Kasparów Hauserów żyjących w głowie bohaterki włamał się do jej tuchu.

Laura przyjęła to z satysfakcją jako potwierdzenie swego najdawniejszego podejrzenia. Italo Calvino pochwycił w konkret jej wstydlivą intuicję: że tuch jest zmysłem wchodzącym w człowieka najgłębiej, czymś w rodzaju wężu duszy, wrażliwego na upust matryczny tych instynktów i sygnałów z wnętrza, które, w formie słabszej i wykrzywionej biologią ciała, wymykają się niekiedy tak czy owak przez rumieńce, przyśpieszone oddechy, zdrady mimiki

i tembru głosu, erekcje, feromony, rozszerzenia źrenic. Nie bez kozery połowa dawnych rytuałów profetycznych i religijnych ceremonii rozmów z bóstwami opierała się na tuchu. Sięga to znacznie głębiej niż do kultów orfickich, daleko przed moment rozłamu religii i sztuki. Laura łatwo odnajdowała się w domysłach starożytnych, w tych ich dziecinnie nieomylnych rozumowaniach, w wyliczeniach katalogowych, *visus, auris, thetus, odoratus, sapor, tactus*, a każdemu Zmysłowi towarzyszył atrybut monarszy – Wzroku: lustro; Słuchu: instrument muzyczny; Otuchu: pachmodium; Węchu: kwiat; Smaku: owoc; Dotyku: harfa. U Arystotelesa w *De sensu et sensibilibus* napotkała taki passus: *Co się tyczy zmysłu dotyku, to jest on z ziemi; a zmysł smaku jest tylko pewną odmianą dotyku, tak jak zmysł otuchu jest pewną odmianą węchu. Toteż ich organy – mówię o organach smaku i dotyku – znajdują się blisko serca, które wręcz przeciwstawia się mózgowi i jest najgorętszym spośród części ciała; podczas gdy organy otuchu i węchu znalazły się w odpowiedniej bliskości mózgu.* Z kolei święty Augustyn pisał w *De quantitate animae* o nietotach, że *odcięto im duszę od ciała.* Żydzi i Arabowie – Hunajn ibn Iszak, Abraham ben Meir ibn Ezra, Mojżesz Majmonides – idąc za Galenem, zaliczali otuch do „zmysłów wewnętrznych”, *sensus interiores*, obok wyobraźni, intelektu i pamięci, ponieważ zdawał się on operować bez żadnych organów ciała. W *Sześciu zmysłach* Breughel odmalował go jako nagą kobietę płynącą przez sen w obłokach majaków śpiących figur dookołnych, chmura między chmurami. Kartezjusz uważał go za jedyny zmysł dotykający świata bezpośrednio z szyszynki. Dopiero nowożytna neurologia przesunęła otuch do ciała migdałowatego. To stamtąd wyciekają

Żądze, strachy, intuicje, wściekłości i fobie, tak uderza przez czaszkę różowy promień epifanii: oddech cofnięty z warg do płuc, krok wstecz, krople potu na czole, bladość na obliczu.

– Kurwa, o kurwa.

A Raczyński, bestia pyszna, wytarłszy dłonie w szmatę plugawą, tylko uklonił się kabotyńsko na tle strzelistej chitryny.

– *Bóg w dom*, wersja trzecia, chemia na rodnikach.

Kolekcjoner znokautowany ekspresją tego komchartu aż zatoczył się na przeciwległą ścianę pracowni i dopiero z zimnym betonem za plecami wrócił do pionu.

– Kurwa. Że się tak wyrażę. Skończy pan w domu wariatów albo w Luwrze. – A kiedy RR w odpowiedzi zgiął się zamasyście po raz kolejny: – A najpewniej i tam, i tam.

Laura przyniosła podgrzaną w mikrofalówce pizzę, położyli talerze na odwróconych butlach sprężonego powietrza, jadło się na stojąco, sztućce były plastikowe. Raku jadł palcami. (Powtarzała mu: zresz jak dziki Tatar. Ostentacyjnie wycierał wtedy tłuste dłonie o nagi tors). Przyniosła jeszcze piwo; najkrótsza droga od lodówki wiodła przez szereg ukończonych komchartów, Laura przeskoczyła bezceremonialnie przez stelaże.

Kolekcjoner zmierzył ją spojrzeniem, jakim dotąd dźgał Gustawa.

– Pani już w tym żyje.

Musiał sobie jakoś ułożyć w głowie. Potęga komchartów Raczyńskiego była nazbyt wielka. Inna sztuka – sztuka innych zmysłów – ledwo się prześlizguje po człowieku. A tu – tu włamujemy się wprost do podziemi snów.

Laura oczywiście nie miała zamiaru opowiadać mu swego kalectwa. Tylko opuściła oczy, żeby się nie zdradzić przed RR: przeżyła własną epifanię małą. Bo to w tamtej chwili, wystąpiwszy zimną stopą poza sukkubiczny krąg zmysłowego zauroczenia, pojęła, że Gustaw istotnie może być – będzie – jest! – takim geniuszem, jakim się przed nią ogłasza w swych tyradach gorylich. Romans z artystą przeklętym, taki romans jak wiosenna burza – to prawie taniec obowiązkowy młodości. I czy dziewczyna wówczas wierzy, że los rzucił przed nią na kolana nowego Bacona Picassa Gauguina Cobaina? Dziewczyna tak naprawdę nie wierzy. Lecz milczące przyjęcie owego założenia – taki teatr emocji i słów – należy do samej konwencji Romansu, nadaje mu cały smak i sens i wartość.

Kolekcjoner wyszedł i Laura znowu zaczęła Raka przesłuchiwać, rozwiązywać.

Ale po czym poznać wielkość w sztuce? Nie po dziełach sztuki przecież. Nietoństwo mogło się nawet okazać tu pomocnym, pozwalało na ogląd czystszy, niezamazany prywatną wrażliwością lub jej brakiem.

Lecz Raczyński wyśmiał Laurę z niekrytą pogardą.

– Opowiedzieć? Opowiedzieć? Sama mi opowiadałaś! Piękniej, niż ja bym umiał!

– Nie żartuj, przecież to wszystko była gra retoryczna. Jak te niebywale wyrafinowane dyskusje o książkach, których nikt nie przeczytał.

– No właśnie! Wszystkie rozmowy o sztuce tak wyglądają. – Zagarnął Laurę niedźwiedzim ramieniem. – Nietota czy nie nietota, tyle samo tuchujecie. Czyli nic.

Prychnęła mu w oczy.

– Tylko wielki Pan Artysta rozumie!

– Rozumie, nie rozumie, i tak nie opowie. – Jednym szarpnięciem obrócił Laurę twarzą do najnowszego artu w serii, potężnego komchu postawionego na dwumetrowej chitrynie, przed oknami wytrzeszczonymi na cmentarne błonia asfaltu i błota. – Gdyby to samo dało się przekazać w paru twierdzeniach, po co ktokolwiek marnowałoby czas na sztukę?

Dotknęła opuszkami palców żeber tępego metalu. Równie dobrze mogłaby przed nią stać kratownica z warsztatu samochodowego albo jatki wiejskiej.

– Więc chodzi o przeżycie czysto zmysłowe, tak? I jeśli nie masz tego zmysłu, to cała zbudowana na nim sztuka nie ma sensu.

Jedna łapa RR powędrowała na pierś Laury, druga – pod pasek jej dżinsów, i w dół, i w głąb.

– Wyobraźmy sobie inne zmysły – zaszeptał z tyłu, wampirzo nachylony nad Laury szyją.
– Dziesiątki, setki zmysłów. Których nie posiadamy i których nie potrafimy upakować w naszych konceptach małpich. Idziesz?

– Mhm. Idę.

– Wyobraźmy sobie. Ich doznania, języki, dziedziny życia i dziedziny sztuki.
W możliwości, w alternatywie, w niepoznaniu, tuż obok, za ścianą. Ale dla małp nigdy niedostępne. Idziesz?

– Idę.

– I zobacz teraz: naukę-technikę, te rowery komputery bomboniery, wszystko to, co wyskakuje z doświadczeń i kalkulatorów, to zawsze da się dorachować-dopasować z wiedzy tak czy inaczej wyciśniętej ze świata. Najwyżej postawią jeszcze większy Płatacz Andronów. Nie ma nieskończoności nauki, schowanej gdzieś za rogiem w sąsiedniej możliwości, w alternatywie, za ścianą, nie ma takiej nieskończoności. Idziesz?

– Tak. Idę.

– Tam wszystko musi do siebie pasować. Dopełniać się.

– Dopełniać.

– Ale w sztuce! W sztuce!

– Idę!

– Tu mamy nieskończoność! Zobacz! Stuchuj! W tych potencjalnościach poza naszymi sześciorami zmysłami. Nieskończoność możliwego piękna!

– Och.

Potem, jak zawsze, wróciła do – klejów introligatorskich, żółtkłego papieru, skóry chropowatej, wieczorów fotela i lampy – i znowu znalazła tam kontrargumenty na słowa i łapska Raka-Raczyńskiego.

– Istnieje wyjątek – nie powiedziała mu. – Literatura. Sztuka opowieści. Sztuka kłamania życia i świata, a życia i świata, mój drogi, doświadczamy nie żadnym konkretnym zmysłem, lecz byciem.

Nie powiedziała mu, nie powiedziała Ewie. A w związkach ludzi zdrowych z upośledzonymi zawsze jest coś podejrzanego – upośledzeni podejrzewają: litość, niezdrową ciekawość, plaster na zaropiałe poczucie winy, lekarstwo na zatajone kompleksy. Sytuacja z Gustawem zdawała się jasną, dopóki jego fascynacja nietoictwem Laury pozostawała fascynacją bierną, dopóki – niczym królewicz wyruszający na poszukiwania żony w przebraniu żebraka –

zadowalał się świadomością, że to nie piękno owej sztuki ją uwiodło, lecz on, on sam, Gustaw Raczyński minus sztuka Gustawa Raczyńskiego; a kiedy jeszcze tak mu opowiadała jego własne komcharty, nietna na ich faktyczne piękno lub brzydotę –

– Który ci się najbardziej podoba, Lau?

– *Poranek numer osiem*, bez porównania nawet!

Dla niej był to test ostateczny, egzamin najwyższego kunsztu translacji; a dla niego – niepodważalny dowód jej inteligencji i zaangażowania, w których tak upojnie przeglądał się wraz ze swymi żądzami, Narcyz nieheblowany.

W pewnym momencie jednak się to zmieniło, coś się odwróciło między nimi, a może po prostu w głowie Gustawa – wraz z pierwszymi sygnałami nadciągającego nieubłagania sukcesu.

RR miał zwyczaj zapraszać swego imago-manago, właścicieli galerii oraz wpływowych znajomych „ze środowiska” na wystawne kolacje, z których wychodził, zostawiając zaproszonym rachunek do zapłacenia; płacili i jeśli domagali się potem zadośćuczynienia, RR jakimś sposobem pokrętnym wmontowywał ich w swoje akcje promocyjne, wernisaże, ofensywy stypendialne, że ostatecznie pocztywali sobie udział w nich za wielki przywilej. A Laura, dopiero obserwując Raka kręcącego na scenie kariery owe piruety, odkrywała jego naturę prawdziwą, specyficzne połączenie rozbijającej naiwności, chłopskiego sprytu, bezrefleksyjnego egotyzmu i właściwego dzieciom instynktu manipulacji. Była świadkiem, jak w ciągu jednego wieczoru doprowadzał nieznanym do stanu, w którym dziękowali mu szczerze, iż oto podarował im szansę oddania mu przysługi. Nietna na odbywające się ponad blatem wymiany matryk, pozostawała w tym większym zdumieniu – jak ma ową zagadkę przetłumaczyć, to znaczy rozwiązać? – a RR z kolei rósł na tym jej zdumieniu do rozmiarów i blasku złotego Buddy, jeszcze chwila i wywróci brzuchem stół, rozepchnie barami ścianki restauracyjnej alkowy, zaćmi świece i kinkiety. Być może owe spotkania same w sobie stanowiły dlań dzieła subtelnej komchatrii – jakie matryki ludzkości dotąd nieznanne wpachowywał w uszczęśliwione ofiary swych makiawelizmów? – lecz dla Laury wszystko odbywało się

Na języku.

Tak ją pieścił słowami, ekstazował chemią kolokwialną, dosiadał na oklep leksykonów i gwar. Ledwo imago i jego chłopak wstali od stołu, Raku sięgnął pod obrusem kolana Laury i ścisnął je kowalskimi palcami-obcęgami, aż prawie krzyknęła.

– Widzisz? Widzisz? Przy tobie tylko!

– Zostaw.

– Nogi.

– Racza!

– Nogi!

Tuszył ją – masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot – pachującą wbrew własnym jej słowom, czytała to z jego twarzy, czytała tak samą siebie: w Gustawa cudownie spontanicznych reakcjach na jej emocje wykwitające wtem bukietami matryk niecywilizowanych. RR rozchyła wargi schabowe, oblizuje ją spojrzeniem głodnym: a więc się otworzyła, a więc go zaprosiła – i Laura pąsowieje tylko, osuwając się jeszcze niżej, jeszcze głębiej pod osłonę stolika. Gdzie rządzi łapska Gustawa i jego głos niski, spokojny, powolny, w tonie komentatora sportowego relacjonujący dla niej to, czego Laura nie tuchuje, nietota, ale przecież on właśnie wszystko jej zaraz poda

(na języku)

(we śnie)

w nieznoszących sprzeciwu rozkazach dla zmysłów, raz, dwa, trzy, że już Laura nie jest w stanie odróżnić opisu od żądania, są jednym i tym samym: co Rak-Raczyński z niej tuszy i czego od niej chce. Nogi! Rozchyła nogi. Ach, bo teraz mi glissujesz słodko, teraz fałgujesz jak wydra – Laura fałguje, drżą jej mięśnie ud, przygryza policzek – teraz wyprężysz wprost, jak się pierwszy raz dotknęłaś, jak pierwszy raz stanęłaś przed lustrem, jak pierwszy raz przed mężczyzną – Laura wybucha tym lawinowo, chwytą za obrus, dzwonią kieliszki – nogi! – oddała mu władzę całą, imperatorowi jej skóry i rumieńca, carowi estrogenu – teraz gładniejesz aż do wody źródlanej, o zapachu nieznanego samca, o jego dłoni ciężkiej na włosach, o języku wilgotnym, tuszę cię na wylot, język w dziupli, dłoń na gałązce drżącej, teraz zdzierasz ostatnie *glatia*, spływasz jawną rzeką, czuję twoje glissy parujące, wszyscy w restauracji czują, cynamon, haffa, ścieprotka, dalej, Lau, otwierasz się, otwierasz, dalej, otworzyłaś!

Coś się odwróciło.

– Nie ma takich matryk.

– Co?

– Nie jestem twoim komchartem, Racza!

Stał z rachunkiem w ręce, zde gustowany koniecznością zapłaty, skoro manago wyszedł pierwszy. Laura, której ochłonięcie zajęło kilkadziesiąt sekund, wyrwała Gustawa z portfelowej zgryzoty.

Nachylił się nad nią, ostentacyjnie łykając stygnące matryki.

– I jaka to niby dla ciebie różnica? Przepaliłem ci obwody. – Pośliniwszy kciuk, przycisnął go do czoła Laury, nisko pomiędzy brwiami. – A gdybym sfantazjował ten zmysł i wszystkie języki jego, gdyby to była tylko moja prywatna fikcja – czy nie wilgotniałabyś tak samo na hymnach otuchu?

Ze zgrozą pojęła, że Rak ma słusność.

Furda biologia, miliardy lat ewolucji, prawa królestwa zwierząt, furda spódnice macice Priapy capy *Kamasutry*. Wszystko rozgrywa się na języku, to znaczy w translacji. Owszem, historia kultury stoi po stronie tradycji, ale w dowolnej chwili może zstąpić między śmiertelników taki Gustavo Rak-Raczyński i wyrzucić wszystko do góry nogami, stworzyć dzieło sztuki – konstrukt zmysłów – jakiego nie znał świat.

Odtąd miała się na baczości. Skończyły się dni bajkowej cyganerii. Stary Zagreus królował w pracowni RR, Laura spoglądała na nich z jednaką nieufnością: na metalowy stelaż, na który nawijały się jej sny, i na gorączkującego artystę, z którego rozpełtały się niewidzialne arcydzieła. I chociaż nic o nich powiedzieć nie mogła (pełna słów nieomylnych w sześciu kolorach), miała pewność, że to głask jej pachy – ich dni i noce zimowe, świtające w jego snach – nadają kształt i matryk artom Raczyńskiego. Coś się odwróciło, coś się skończyło. Gdyby była zwykłą kochanką-Muzą... Ale w związkach ludzi zdrowych z upośledzonymi zawsze jest coś podejrzanego

(Tego nie da się podrobić! Tej beztroskiej rozpusty rozwartej na wznak przed całym światem!)

a Laura już przekroczyła Rubikon i kiedy RR tak ją tuszył

3. Front wewnętrzny

Masywnie, rzeźniczo, bez pardonu, na wylot – aż budzi się spocona zimno, z jego twarzą-lampionem wciąż przed oczami.

Trzynasta pięćdziesiąt. Bierze prysznic, myje zęby. Nie potrafi się jednak pozbyć z ust wczorajszej nocy, a na dodatek od nowa dręczą ją złe przecucia przed wieczorną premierą (pójdzie, musi pójść). Stary smak tytoniu przykryje tylko tytoniem świeżym. Przystanąwszy przy świetliku uchylonym na zeszlowieczny krajobraz gołębi i anten, zapala papierosa, a wyciekające pod niebo wstążki dymu tęczą genealogie literatury nikotynowej. Usta same się jej ułożyły do różańca wytartych epitetów. Jak w Małym Staszicu, gdy pierwszy raz skosztowała tytoniu, w kręgu czterech dziewczyn, a wszystkie opowiadały sobie szeptem podsłuchane matryki papierosów: że rwatne, że michurne, że pągowo płaskie, albo na odwrót: wywróśne, blee – nie mając bladego pojęcia, co te słowa znaczą. Strzepnąwszy popiół, Laura kaszle śmiechem. Minęło piętnaście lat i nadal nie ma pojęcia. Przetłumaczy bezbłędnie – ale nie pozna, nie. Zaciąga się w trzech metronomowych wdechach jakby

Badała pojemność płuc. RR przypatrywał się jej z antresoli zakopiańskiej chałupy Konopnego, siedząc na krawędzi i kiwając w powietrzu nogami, Piotruś Pan *rated R*. Gustaw był wtedy w fazie głębinowej, „poszukiwał równowagi ciśnień matrycznych”, jak po latach napisze w „Wyborczej” egzaltowany krytyk.

- Wiesz, co mówią o niewidomych. Że mają dwa razy ostrzejszy słuch.
- To nieprawda, oni tylko muszą się tak bardzo skupiać na dźwiękach.
- No właśnie. – Wpatrywał się w nią teleskopowymi ślepiami proroka Apokalipsy,

wystraszy się dziewczę nieznaną i umknie albo rozmięknie na miejscu jak królik pod jadowitą hipnozą węża. – Tak się skupiasz.

Też nieprawda. Potem po północy Święty Filip od Konopi częstował ekipę innymi papierosami, i one sprowadziły Laurę do ostatniego roku w Staszcu i do nocy andrzejek, kiedy wszystkie się objadły ciastem z marychą. Rak-Raczyński, który złożył już głowę na jej kolanach i stamtąd pufał i fuchał Filipowym dymem, wytuszył teraz bezbłędnie kierunek pamięci Laury – schwytał ją za nadgarstek, jakby w jej pulsie mógł z kolei wytuszyć same jej wspomnienia: kto, gdzie, kiedy, dlaczego.

– Kto, gdzie, kiedy, nieważne. – Wytargała go za uszy mięsiste i cmoknęła w nos. – Jak tak można? Macie w głowach kalendarze, atlasy świata, książki telefoniczne?

Zaczął ją wtedy paluszkować, odmuchiwać, podpuchiwać. Wywinęła mu się ze śmiechem w nocne powietrze gór. Okożuchował ich tam razem Filipową baranicą, stali na werandzie w pierzynowej komunii ciepła ciał i chichotów.

– Nietotko ty moja. – Chuchnął parą ziołową pod karnawałowo rozewierkanymi gwiazdami; nadal nie zapytał o jej imię. – Zostały ci tylko magdalenki.

Później ponownie przeczytała Prousta, już wędrując przez tekst wedle sześciobarwnych ścieżek zmysłów, doceniając starczą pedanterię pamięci Francuza. Albowiem pamięć Laury nie spływa po liniach czasu ani miejsc, ani osób – lecz wrażeń zmysłowych. Nakręcający na siebie strumienie przeszłości matryk ciasteczka nie jest dla niej pojedynczym wyjątkiem, fenomenem godnym analitycznych poematów; jest zasadą organizującą cały świat Laury.

Czas to miara tyranii materii. Czysty sopran blaszanej rynny, ciepła pleśń oddechu kochanka, piorunująca harmonia męskiej sylwetki, szorstka słodycz pierwszego owocu lata – one wszystkie, jako duchy-wrażenia oderwane od kilogramów newtonów metrów litrów, istnieją w wieczności, w absolicie, niczym figury geometryczne, twierdzenie Pitagorasa albo zbiór liczb naturalnych.

Czy tuchujący nie mają takiej pamięci? Ona z kolei nie pojmowała. Jak w ogóle można żyć w podobnym chaosie schronologizowanych, więc zawsze nowych i osobnych

Głosów, barw, kształtów, presji, hałasów ludzkości, po co to im, galerie handlowe, kawiarnie, deptaki, kluby solidarnego wysiłku. Nigdy nie może być pewną, gdzie kiedy co komu wymatrykuje w twarz. Gdy tak siedzi na tronie piękności, pod ptasim dotykiem fryzjera, z zamkniętymi oczyma chłonąc bliskie i dalsze dialogi i muzyki, próbuje wyobrazić sobie swoje życie jako osoby zdrowej, urodzonej do otuchu. Byłaby duszą towarzystwa; miałaby dziesiątki przyjaciół; miałaby życie wewnętrzne sekretne, inne od życia twarzy i pachu i głosu; działałaby w inicjatywach kościołach ruchach fundacjach owsiakach rydzykach

W partiach braterstwa powszechnego.

– Socjalizm – zaczynał Janek swoje nawijki zelockie – to sztuka życia kawiarnianego! Jaka racja egoistyczna za podatkiem Janosikowym? Ano taka: czy wolisz żyć w luksusowej

pustelni, sama w bunkrze dobrobytu pod pustynią biedoty, czy też szczęśliwsze, wygodniejsze, zdrowsze życie będziesz wiodła pośród uśmiechniętych, zadowolonych, pięknych-młodych? We wszystkich tych komfortach miejskich, które nie zaistniałyby dla kilku milionerów otorbionych swoimi milionami? W kawiarniach buzujących energią romantyczną, w tłumie papuzim? Otóż na to właśnie płacisz, za to płacisz!

Może tak, może nie. Nietotom trudniej sprzedać podobny raj. Laura zastanawia się: które zmysły tuczą które polityki. Kapitałiści-korwiniści bardziej są chyba wzrokowcami, a narodowcy emocjonalni biorą wszystko na słuch, na pieśń i rytm. Ci zaś silnie tuchujący łatwo się zanurzają w strumieniu matrik ulicznych, niewiele im trzeba, by naprawdę poczuli się częścią wspólnoty, owo poczucie poprzedza teorie i racjonalizacje. A Laura musi...

Podsluchiwać, zapamiętywać, edukacja tłumacza nigdy się nie kończy: powstają nowe słowa, nowe związki frazeologiczne, słowa stare dryfują w dziewicze skojarzenia, nieustannie obraca się kalejdoskop wrażeń opisywalnych, a zatem odczuwalnych.

– Jak możesz mnie tak odpychać! – Balejażowana na różowo nastolatka półszepcze w komórkę. – Nie widzisz, że i jego ranisz? Byliśmy naprawdę blisko. Ale ty nie masz zaufania, nie pozwalasz się im realizować. Jak nie dopuścisz do siebie nikogo, nie znajdziesz tego bezpieczeństwa. Myślisz, że jak ja się czuję? Zasługuję na bogatszy związek!

Laura jest pełna podziwu. Jak prędko nauczyły się języka sercowych egoizmów! Wystarczyło kilka lat seriali telewizyjnych, w których celebrytorzy rozmawiają frazami nowojorskich psychoanalityków – i wszystkie polskie nastolatki wiedzą już, co czuć, czego wymagać od swych ukochanych i przyjaciół, i jakimi porównaniami opowiadać pogodę duszy. Omal jakby odkryto tu właśnie nowy zmysł, i nową warstwę rzeczywistości: subtelną chemię relacji społecznych spletaną z gospodarką przyjemności.

Ukryta za opuszczoną kurtyną powiek, z nadzieją, że nie zdradzi się lustrzanymi matrikami, Laura próbuje przetłumaczyć jednostronny dialog dziewczyny na język przedtelewizyjny – czy w ogóle się da? I jaka zatem różnica między owym wykwittem popkultury a całą twórczością Raczyńskiego? *A gdybym sfantazjował ten zmysł i wszystkie języki jego...*

Dzwoni Ewa.

– Nie stchórzyłaś, mam nadzieję! Zabieram cię o szóstej, licz się z korkami.

– Słuchaj, czy ty masz jakieś kłopoty sercowe? Wczoraj w nocy –

– Jezu, spiłyśmy się nieprzyzwoicie!

– No właśnie, pewnie inaczej byś się tak wypruła.

– Takie tam. No wiesz. Nikt jeszcze nie wygrał z kalendarzami. Ale ponarzekamy, ponarzekamy i wracamy na pole walki, nie? Zostaniemy potem na kolację?

– Co? Nie wiem. Nie. A w zaproszeniu jest kolacja? Cholera.

Cholera, cholera. Pójdzie. (Nie pójdzie). Pójdzie.

Czekając na ostatnią fazę operacji stylisty, Laura siorbie herbatę melissową, ona jest jej narkotykiem stresu, jej smak cytrynowy, wodnisty, chwastowy

Znaczył samotność po-Rakową, dni, tygodnie, kiedy kłóciła się nieustannie sama z sobą, i kłóciła się z Rakiem, gdy dzwonił, gdy przychodził, kłóciła się z Oleńką i Królikiem, chociaż akurat oni wspierali ją w decyzji o rozstaniu. Co wszakże w jakiś niezdrowy sposób rozdrażniało Laurę jeszcze bardziej, dygotała w rozciągniętym na wieczory i noce rezonansie, od jednego stanu ducha do przeciwnego, i z powrotem, i znowu, i o sto osiemdziesiąt stopni. Wróci do Gustawa. Nie wróci. Wróci. Nie. Przychodził Filip, przychodził menedżer RR, przychodzili jego kumple od kieliszka i pachmodium. Nie może bez ciebie pracować, wyrwałś mu kły, odgryzłaś jaja, zgasiłaś ogień, naplułaś do duszy. Miał w głowie wielkie rzeczy, arcydzieła, cudadzieła – teraz ma krater po tobie. Wróć. Nie. Wróć. (Wróci). Nie. Gdybyś tylko mogła stuchować, jakie wspaniałe arty spod jego ręki...! Gdybym mogła tuchować

– Nie byłabym mu do niczego potrzebna.

– Kto to wie, kto to wie. A nawet jeśli. Zabaw się, to jemu zależy.

– Do zezwierżenia. Nie tak mówiłaś? Nie?

Bo Laura podczas jazdy nie potrafi zatamować słowotoku. Ewa zaś jest zupełnie niegorgonowo roztargniona, esemesuje co chwila i odsłuchuje pocztę głosową. Pod niedopiętym płaszczem ma wykokardowaną sukienkę z balkon-gorsetem, w której wygląda jak burdelmama albo zła chrestna z bajki.

Laura zagryza wargi. Kolorowe pędzle reklam i pierzaste grzywy reflektorów głaszczą ją po czole, oczach, policzkach, opuszcza powieki, byle wrócić pod czułą pieśczętą dzieciństwa –

– Te jasnotki. Te, te, te!

– Nie ruszaj się.

– Bo mi uciekną! Uciekają!

– Słuchaj pani doktor.

– Ale –

– I powiedz, kiedy coś stuchujesz.

Gwiazdy słonecznego dnia, Księżyc nieba śródlętnego, tęcza higienicznej bieli. Coś tak ulotnego, tak nieuchwytnego – całe życie będziesz sięgać, poszukiwać, wymacywać, i choć już-już poczujesz na wyposzczonych opuszkach, na zelektryzowanym koniuszku języka, to zawsze ostatecznie ci się wymknie. Przetłumaczysz, ale nie poznasz nie poznasz nie poznasz nie

Stop.

Wysiadają.

– Będzie dobrze.

– Opowiesz mi zaraz, co on tam wykomchował.

– Oddech, oddech, no, już, idziemy.

Pacharnia „Krakatau” mieści się przy wąskiej, ciemnej uliczce odchodzącej od głównej arterii dawnej dzielnicy przemysłowej, przez ostatnią dekadę urabianej w osiedlisko studentów, artystów, prawników i rodzimego *hi-techu*. I wciąż nie wiadomo, czy dzielnica stanie się wedle planu modna, czy też osunie się w kolejne pretensjonalne simulacrum luzu i młodości, z rozpędu wykupywane przez przyjezdnych nuworyszy. „Krakatau” urządzono na parterze dawnej hali odlewni, w jej oszklonym przestworze rozświetlanym krzakami śnieżnej elektryczności dominuje kilka wielkich maszyn fabrycznych pochodzących bodaj sprzed pierwszej wojny światowej. Lecz zanim jeszcze Laura przyszła na świat, te masywne bryły kanciastego żelastwa, nie ruszając się z miejsca i nie zmieniając postaci, wyemigrowały z domeny przedmiotów użytkowych, stając się obywatelami wszechświata sztuki. Teraz pod ich surowymi obliczami nierdzewnymi, w cieniu rozcapierzonych zaborczo ćwierćtonowych ramion, ogonów, szyj, kręgosłupów, dwunastnic i śledzion wykosmopolitowani mężczyźni i kobiety sączą darmowe alkohole, to łącząc się w szlachetne związki konwersacyjne, to rozłączając, i tak powoli karambolując poprzez halę, odbijani od ludzi i sprzętów w niskoenergetycznej parodii ruchów Browna, spiralujący w nurtach i przeciwnurtach dokoła stref rażenia dwudziestu siedmiu komchartów Gustawa Raka-Raczyńskiego.

Które postawił on na chitrynach jeszcze bardziej archaicznym od zabytkowych maszyn odlewniczych: nie metal i pachmodia nieorganiczne, lecz drewniane stelaże, szkielety z nieheblowanych desek i drzewców, na nich pachutralia grzybiczne, koralowe, mineralne, nawet roślinne. Zniszczą prędko – nikt tak nie uprawia komchatrii, od lat, od wieków. Laura pamięta niejasno z eseju Zwiga historię Weismanowej rekonstrukcji komchartów zamówionych przez Ludwika XIV dla Wersalu, dokonanej na podstawie opisów zawartych w listach francuskiej arystokracji. Czy też to Gustaw jej opowiadał, podbudowując zmarłymi autorytetami swe bombastyczne kazania retro-mimeo? Takie były jego argumenty koronne. Gdyż cokolwiek tam w Minneapolis zrekonstruowali, w istocie zrekonstruowali z języka, nie z otuchu. Oryginalnych matryk nie zna nikt. *Nie do odtworzenia, nie do porównania. Przepadły, przepadły, przepadły.*

Laura i Ewa wchodzą ramię w ramię, dłoń Ewy na talii Laury, wspierająca-popychająca, biust Ewy lodołamaczowy, tnący fale słonych spojrzeń. I gdy tylko zamykają się za nimi skrzydła mlecznego szkła, chłodne powiewy ulicy zastępuje ciężki dech klimatyzacji, a głos miasta prawdziwy – maszynowa muzyka miasta (senny dubstep Buriala jak pieśń wieloryba Londynu), i Laura momentalnie osuwa się pod powierzchnię, z otwartymi oczyma tonie w tym świetle przyćmionym, w tych woniach luksusu i równie ekskluzywnej dla luksusu pogardy, w cichym szumie

Rozmów, szeptów, śmiechów cierpkich, dotknięć i stąpięć tanecznie ostrożnych, milczenia czujnego – miała już dosyć, dosyć, chciała wyjść. RR złapał ją za łokieć, powstrzymał.

Filip nieustannie nadawał doń mimiczne sygnały, domagając się obecności komchartysty w tej i tamtej konwersacji. Przez pogierkowską pracownię Raczyńskiego przewinęły się owego wiosennego popołudnia trzy tuziny osób, znajomych oraz znajomych znajomych Filipa; a nie byli to ani krytycy sztuki, ani właściciele galerii, ani nawet potencjalni kupcy. Jak i w żadnym razie nie była to wystawa.

– Wyprowadzę cię z dziczy – obiecywał Gustawowi Filip. – Z domu swawoli. Ażebyś stał się – wystawialny.

Kogo więc tu zaprosił? Co to za indywidua podejrzane, spod jakiej gwiazdy, jakiego zawodu?

– Zawód, zawód, pfch, kogo jeszcze podniecają kasty i legitymacje? Myśl o nich jako o, mhm, katalizatorach procesów towarzyskich.

Filip oto dawał znak, a RR wyładowywał na kolejnych ofiarach swój szarm manipulacyjny.

Musimy osiągnąć „postmodernistyczną szczerłość maski”, zadeklarował Konopny.

– Nie waż się tu niczego porządkować! – zakazał był Laurze, zupełnie nie po Konopnemu poważny. A Gustawowi: – Zapomnij o garniturach!

– Nie mam garnituru.

W utyłanych smarami dżinsach i obcisłym polarze z lumpexu wstępował krokiem beczka-bosmana w rozmowy otworzone dlań przez Filipa i z ponurą miną burczał w twarz zachwyconym gościom swoje mądrości bufońskie. Stary Zagreus – potrójna menora rur i teowników sięgająca sufitu wielkiej płyty – patronował owemu rytuałowi megalomanii z hartowaną wyrozumiałością złomu.

Laura miała dość.

– Do czego ci jeszcze jestem potrzebna? – Wyrwała się z uchwytu RR. – Filipo cię woła, no idź, idź. Bo zrobię scenę!

Raku wydał parówki swych ust, zmierzył przerażająco trzeźwym spojrzeniem Filipa oraz nawiniętych na Filipową gadkę gości, po czym sucho, rzeczowo zażądał od Laury:

– Zrób scenę.

Dziewczyna Artysty, pomyślała, i musiała coś bardzo ostro zamatrykować, poznała to zaraz po reakcji Raczyńskiego, nie mniej już dla niej czytelnej niż reakcja wypachowanego w las Grzesia.

– Naprawdę nie wiesz? – RR uniósł się na wdechu. – Taak. One nie wiedzą, nie wiedzą, nie wiedzą!

– Prążysz jak proboszcz.

– A popatrz na nich! – Nie kryjąc się przed gośćmi zupełnie, objął ich i całą przesłonecznioną pracownię jednym zamaszystym *backhandem*. – Gdyby im armatę w gardziół wcisnąć i pod kosą postawić, nie wydusiliby z siebie jednego pachu prawdziwie nowego. Albo tak starego, że nowego. Czemu? Bo od urodzenia tuchują wszystkich naokoło, tak się uśredniają i dopasowują, docierają, dopełniają – tuchują i pachują, tuchują i pachują, i w końcu nie ma już żadnej różnicy. Nie ma granicy! Stopili się, skleili jak ameby czy inne robalątka bezskórne, krople życia-flegmy, jak kropla do siebie podobne. Pokój na wszystkich frontach, uczucia i wrażenia przepływają swobodnie. Co weszło, to wychodzi. Co wychodzi, to wejdzie. Nie wyśnią niczego nowego. Nie wniosą niczego do puli. Z wewnątrz, ze środka, spod ziemi. Choćby ich nakwasić wszystkimi prochami Filipa. Potrzebują moich artów.

– A ty potrzebujesz mnie.

Wyszczrzył się do Laury maniacko, wielka dziura w masce gbura.

– Nie ucywilizowali cię. Nie do końca. Nietoty biegają wolne, niepochwycone. Pasą się na innych pastwiskach. Pod innymi Księżycami. – Kopnął porozumiewawczo fundament *Starego Zagreusa*. – I nie krzyw się, nie szartuj mi teraz. No co? Jakbyś nie znała żywotów mesjaszy pędzla, dłuta i pióra! Jakże kobiety mieli przy sobie? Albo sekretarki-pielęgniarki, albo właśnie –

– Pozwolisz, że przedstawię –

Facet w cekinowej marynarce wyprzedził prezentację Konopnego, wężowym ruchem wciskając w garść Gustawa wizytówkę-błyskotkę.

– Jak to możliwe, do tej pory nie ma pan menedżera!

Rękę Laury ujął zaś z delikatnością manikiurzysty i zgiął się wpół na sztywnym kręgosłupie; przynajmniej wąsów nie miał.

– Motylski Rafał Przemysław, tuszę, że panna aprobuje.

Zniosła dzielnie tę sarmacką figurę grzecznościową, choć pocałunek

Ciepły, lepki, śluzowaty, niczym wymiot rosiczki, zostawia teraz na grzbiecie dłoni Laury niepodrabialną pieczęć imago-manago RR.

– Wiedział, wiedział, że przyjdiesz, musiałaś przyjść!

Ewa spogląda pytająco. Totalnie rozkojarzona Laura przedstawia jej menedżera Raczyńskiego, wzrokiem jednakże skacząc już po sylwetkach i twarzach ludzi zgromadzonych

w „Krakatau”. To on? Nie on. Tam więc – on? on? On. Nie on.

Oddały płaszcze. Laura chowa zaproszenie w torebce, sprawdza komórkę, natrafia na papierosy, tu oczywiście nie wolno palić, zgniata je w dziecinnym odruchu zaciśnięcia pięści przeciwko światu.

– Co się mówi?

Manago wykonuje gest fali.

– Plum, plum, plum. Od tryumfu do katastrofy, kołyszymy się.

– Zawsze powtarzałeś, że decyduje się w pierwsze pół godziny.

– Khm, tak, czekaliśmy na ciebie.

Laura nie rozumie. Powinna wytuszyć; coś tu jest nie tak; czuje przy tym, że sama do reszty zdradza się szartnymi matrykami konfuzji.

Ujmuje Ewę za łokieć.

– Mów! Co to jest? Co tuchujesz?

Coś tu jest nie tak. Bural zwalnia tempo, tak bije serce konającego lewiatana fabryk i dworców kolejowych. Koślawe słońca nagiej elektryki przepalają źrenice Laury, mruży oczy, oczy łzawią, i tak oto wokół drewnianych chitryn rozrastają się wełniste aureole miękkich barw, aureole, chmury, odwrócone jeziora, wszyscy tu tkwią z głowami zanurzonymi pod, czyli nad ich powierzchnię. Mruga, mruga.

– Ewa! Co to jest?

Ale Ewa wymknęła się tymczasem spod ramienia Laury, zniknęła gdzieś w labiryntach komchartu i wirach towarzyskich. Laura odtrąca dłoń manago, wstępuje między chitryny. To on? Nie on. On? On?

Toteż przegapiła moment, w którym opiłki zaczynają się orientować wedle magnesu – ciężki otuch stukrotny spadł na nią niczym szkwał na żaglowiec. Chwieje się Laura na nogach, przygryza język, zaciska palce na torebce. Nastąpiła inwersja zbiorowej uwagi. Oni może nie patrzą, ale obracają, przechylają, nastawiają głowy i tuchują – Laura to czuje, jest pewna – oni wszyscy tuchują bynajmniej nie arty RR, lecz ją, ją właśnie, zatrzymaną w pół kroku między jednym i drugim komchem rozłożystym. Dlaczego? Co się stało? Ktoś coś powiedział, dał im znak? Czy też wszystko rozegrało się na matrykach?

Nietota nie rozumie, nietota nie wie. Rozgląda się za Gustawem już w panice, sarna przestrelona reflektorami na środku asfaltu. On? On! On!

Na ramieniu Ewy, w kilwatterze jej biustu.

– ...że przyjdzie...

– ...jak obiecałem, przecież nie napiszę wam tej cholernej autobiografii w tydzień...

– ...ale przyszła, proszę!

Przyszłam, przyszłam. Mimo woli cofa się Laura pół kroku, jeszcze głębiej między jaworowe chitryny. Ale on, on ją stuszył bez pudła; nie ma ratunku. Nadciąga na skrzydle Ewy Chimery, przyjaciółki-zdrajczyni, nadciąga. Gustavo Rak-Raczyński: chłopska koszula biała, rozchełstana na owłosionym torsie, skórzane spodnie rockmana, na głowie grzywa-burza, na gębie rewia muskulatury mimicznej, w łapie prehistoryczne pachmodium z rogu kozła. Opilki rozstępują się i ponownie zapętlają wokół magnesu. Wzbierający szkwałomalże przycisnął Laurę do chitryny.

Oni wszyscy wokół, w szumie rozmów gasnących, ze spojrzeniami rozedrganymi, oddychający do rytmu industrialnej melancholii basów, wszyscy zgromadzeni pod wyniosłymi ołtarzami maszyn – jakby chcieli wygryźć z niej płuco mózg szpik serce trzustkę wątrobę.

I wylewa się to z niej otwartym pachem, jak zawsze.

– Nie kłam! – odpowiada jej Ewa. – Sama chciałaś! Uwielbiasz to. Bierzesz na ochotnika – ćwiczenia ze studentami, konferencje, nagrania, tłumaczenia oficjeli. Żebyś nie mogła uciec, zasłonić się przed nimi.

Nie, nie, nieprawda! Wcale nie chciała tu przyjść! To Ewa ją zmusiła, zaciągnęła siłą-podstępem! Ewa, Ewa przeklęta, przekupiona przez Raczyńskiego obietnicą autobiografii ekscentrycznego geniusza, wblefowała w nietotę przyjaźń nieistniejącą, Ewa. A ja nie chciałam, nie chciałam!

Brakuje jej tchu, tętno karnawałowe podnosi do głowy gorączkę, drżą mięśnie fałgujące, pąguje lico i ramiona nagie, w glissach jaskrawych, symetrycznych z tą sukienką czerwoną, dziarną. Gdyby nie jawny absurd, wtłumaczyłaby teraz w sobie podniecenie tropikalne, erotyczną malarię zmysłów. Ale nie. Tylko krztusi się niemo. Co, co, co to jest, co to jest?

A Ewa, w odruchu drapieżcy dogryzającego krwawiącą już ofiarę, odpowiada znowu:

– Ty, ty, ty! Twoja dusza na fotelu ginekologicznym.

Gustaw Rak-Raczyński kłania się lekko

(w domu wariatów albo w Luwrze)

sinusoidując długim pachmodium kościanym, niczym dyrygent batutą, po całej swej orkiestrze otuchowej, tych bliższych i dalszych arche-komchartach, by spuentować pasaż symfoniczny na czole wardze piersi biodrze Laury. Rozlegają się nieśmiało oklaski, pstrykają aparaty fotograficzne i pachograficzne, ktoś się śmieje, ktoś wzdycha w uniesieniu, szepcze

w podziw. Imago-manago promienieje, jakby wstępował na witraże. Panie, panowie, *Front wewnętrzny!* Laura straciła dech; zawisła bezwładnie na gałęzi chitryny, z uniesioną łabędzio głową przelykając długi, gęsty orgazm. Rozpoznali ją po matrykach.

Nie nie nie nieprawda nie chciała nie ona nie nie ta postać ciemna z podziemi jej snów nie ona nietna nie nie nie.

Zarazem pewna, że nigdy więcej nie doświadczy tak totalnego prześwietlenia, takiej redukcji zmysłowej, przeanielenia w eteryczny byt rozpięty w całości na zmysłach cudzych – wyniesiona na ołtarze zwierząt i bogów – podźwignięta do granicy rozkoszy ponadcielesnej.

W zaciągniętych łzami oczach Laury faluje obraz RR opadającego przed nią teatralnie na kolano, pochylającego głowę-kamień węgielny

(cokolwiek stworzyłem – głask twego pachu w moim mózgu)

unoszącego ku Laurze rękę w geście, na który nie ma ona nazwy. Nie ma nazw, imion, słowników, nie ma języka, milczenie zapomnianych bóstw zakleiło jej usta. Co, co, co to jest? Przetłumacz!

Dzisiaj czy cztery tysiące lat temu. Dla mnie nie ma żadnej różnicy. Przetłumaczę!

Nie przetłumaczy. To, co wzięło ją w posiadanie, to nie jest strach, to nie jest gniew, nie wstyd i nie pożądanie, nie nienawiść i nie miłość, żadna z emocji danych człowiekowi. Pozna, przeżyje, ale nie wysłowi, nie ma takich słów, nie ma takich uczuć.

Którymi teraz pachuje obscenicznie przed tłumem nieznanym.

A oni tuszą ją

Masywnie, rzeźniczo, bezlitośnie, na wylot

– Racza.

– Tylko przy tobie, Lau.

Ledwo stoi. Zaraz upadnie. Stratują ją. Zjedzą. Nie uchyli się, nie odbije. Ledwo stoi, uwieszona na pustej chitrynie, plama purpury na tle czarnego monumentu przebrzmiałego przemysłu. Krwawiąc obficie nieistniejącymi namiętnościami, spływając snami nie do wypowiedzenia.

Podczas gdy lewiatan miasta wydaje ostatnie jęki przeciągłe.

Koneserzy sztuki opowiadają sobie na głos Laurę, jakby była kolejną martwą instalacją, totemem drewna i stali.

Kobieta w prostej, białej sukni podaje jej kieliszek czerwonego wina.

Ciepła dłoń Laury spoczywa na pochylonej głowie artysty.

Stary Zagreus złowił zwierzę i stworzył człowieka. Nietota wydała na świat – co?

Ma na języku, ma na krańcu duszy, i nigdy nie wypowie. Lecz – sprzed tysięcy lat czy z nieujarzmionej wyobraźni Raczyńskiego, prawdziwe lub fałszywe, nowe lub stare – zanim upadnie, zanim ją spożyją – skądkolwiek pochodzi, czymkolwiek jest – uzmysłowiła to sobie.

październik – grudzień 2011

W opowiadaniu wykorzystałem fragmenty (odpowiednio przekształcone) *Sonetu CXLI* Szekspira (przekłady Stanisława Barańczaka i Macieja Słomczyńskiego), wiersza *Grudzień 1903* Konstantinosa Kawafisa (przekład Zygmunta Kubiaka), *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta (przekład Tadeusza Boya-Żeleńskiego) oraz *O zmysłach i ich przedmiotach* Arystotelesa (przekład Pawła Siwka).

Manuela Gretkowska CHANNEL N° 5

Joga kobieca jest przyjęciem takiej pozycji, by każdemu dogodzić. Dziecku przyssanemu do piersi, facetowi do cipki. Nie stajesz na głowie, na głowie masz dom. Na obolałych stopach szpilki. Brniesz w nich chwiejnie jak Łunochod po obcej planecie. On zbierał i analizował kosmiczne próbki. Ty dostajesz bardziej przyziemne: podnosisz z podłogi skarpetki, wączasz, wrzucasz do prania.

W sklepie smakujesz szpatułką promocyjną nowość: słodką ciapkę. Wyrzucasz pojemnik i znowu pchasz obładowany wózek. Zastanawiasz się, dlaczego twoja ciąża nie była na kółkach, przynajmniej od szóstego miesiąca. Albo dlaczego męskie mleko, dawkowane w mililitrach spermy, wytryskuje ekstazą orgazmu. A twoje było wyciskane poranionymi sutkami w nieprzespane z udręki noce.

Rzucasz się na czarną taśmę zakupowej mety przy kasie. Wygrałaś: masz czym zapłacić i dla kogo – swojej rodziny.

Virginia Woolf napisała: „Kobiecie do niezależności potrzebne są pieniądze oraz osobny pokój”. Ale nie we własnym domu, jeśli tam pracuje i ma dzieci. Żeby skończyć powieść, oddać ją w terminie wydawcy, zostawiam rodzinę. Pierwszy raz, od kilkunastu książek, mamusia nie wyrobiła, wylatuje z zakrętu czasu. Jak się później okazało, przegięłam też z czasoprzestrzenią. Mimo czujnej świadomości wielu wymiarów. Łączę je ze sobą. Nie gorzej niż role matki, kochanki, żony, córki, opiekunki zasranego chomika mojej córki, i kilku innych zawodów: pielęgniarki, nauczycielki, sprzątaczk. Prac wykonywanych przez każdą superistotę ukrywającą się pod skromnym pseudonimem: Gospodyni Domowa.

Ostatnie zakupy przed wyprowadzką. Czekam do kasy, niecierpliwie stukam nogą. Czarną szpilką wbijam rytm w zabłoconą posadzkę supermarketu. Tak naprawdę przytupuję na piekle okrytym płaszczem ziemskiej skorupy. Pod nią przelewa się lava. W jej głębi, pośrodku globu bije metalowe serce. Kula dzwonu z najczystsze go żelaza o średnicy siedmiu kilometrów. Lubię słuchać jego echa i własnego serca, leżąc latem na trawie, z uchem przy ziemi. Piekło jest wtedy tak wygodne, tulę się do niego. Nade mną podwozie nieba. Z rury wydechowej płyną obłoki, skrapla się deszcz. Czasem tęcza w kolorze rozlanej benzyny.

Według astrofizyków błękit niebios jest mieszanką nieskończoności ze światłem. Bóg to nieskończona światłość ze światłości. Nic dziwnego, że ukrzyżowany brzydota łączy się z Chrystus łypie niebieskimi oczami, wyciętymi na żywca z nieba. Oko Opatrzności wpisane w trójkąt też musi być niebieskie. Może Bóg jest blondynem. Taki Robert Redford palący cygara w *Havanie*, gdzie grał pokerzystę. Przecież Gainsbourg śpiewał: *Dieu est un fumeur de havanes* (Bóg pali cygara).

Bóg ekumenicznie posiwał, by nie wyróżnić żadnej rasy. Nadal kocha kobiety, ale został prawdopodobnie biseksem. No bo jak trzech facetów – Bóg, Chrystus i Duch Święty – w jednym? W trójkacie zwanym Trójcą? Nie jestem teologiem. Jestem pisarką. Muszę

w użyczonym mi przez znajomych mieszkaniu dokończyć książkę.

Zakupy, walizkę i komputer stawiam przy łóżku. Znajomi wyjechali po Świątach w Alpy. Zostawili pełną lodówkę z otwartym szampanem. Niezakorkowanym, żeby nie skwaśniał. Co za troska – w butelce Veuve Clicquot srebrny widelec. Działa na zasadzie baterii, zbierając zapasy bąbelków.

Dla nastroju nie zgaszono różnokolorowych lampek choinkowych. Mrugają jakimś szyfrem, może ze wzruszenia, albo nadają morsem, „Ciiiicha noooc”.

Siadam za biurkiem, nic nie robię, niby pasażerka samochodu. Jeszcze moment, przez głowę pędzą znikające obrazy, i mogę pracować. Nad ranem naciskam w komputerze spust „Enter”. Zamykam za sobą klapę laptopa.

W łazience przy lustrze flakon Chanel N° 5, obok zmięte pudełko, wstążeczki. Prezent, chybiony, skoro niezabrany w Alpy. Przezroczysta butelka, płyn koloru moczu do analizy. Zapach... sprzed stu lat; gdy go stworzono, był intrygujący. Pachniał chemią, nowoczesnością samochodowych spalin, proszku do prania. Schludnie, higienicznie, bez oleistej zawiesiny kwiatowych olejków, zwierzęcych wydzielin.

Coco Chanel, myśląc o swoim wynalazku, stwierdziła w 1922: „Kobieta bez perfum jest kobietą bez przyszłości”. Mówiła o sobie. Wołała mieć tylko przyszłość. Przeszłość spędzona w zakonnym przytułku nie była czymś imponującym wśród wyższych sfer, gdzie znajdowała sobie klientki i kochanków. Jej paliwem ucieczki od biedy były luksusowe perfumy. Zacierała nimi trop z mydlin szarego mydła, w których Gabrielle, jeszcze nie Coco, prała białoczarne mundurek wychowawcy sierocińca.

Wtarłam kroplę w szyję, nadgarstki. Tam, gdzie skóra jest najcieńsza i krew rozgrzewa perfumy. Przenikają do niej jak koka, amfa albo kwas wcierany w śluzówkę. Chanel N° 5 nosiła na sobie, zamiast piżamy, Marilyn Monroe, też porzucona przez rodziców. Też pod pseudonimem ukrywającym przeszłość osieroconej Normy Jeane Mortenson.

Coco Chanel, Marilyn Monroe, CC i MM. Powtórzenie liter, ich lustrzane odbicie dla potwierdzenia: Jestem, jaką chcę się widzieć. Stworzyć w lustrze waszych spojrzeń, tu i teraz. Kobieta bez przeszłości.

Nie śpię nago. Warszawa nie Kalifornia. Zakładam flanelową piżamę i kładę się pod pierzyną. Okna zasłonięte przed światłami warszawskiego centrum.

Budzi mnie hałas. Nie zza ściany czy piętra wyżej, tam zresztą jest tylko dach. Ulica wytłumiona śniegiem, ale tuż nad głową rozlega się pierdzenie. Zapalam światło. Żarówka tnie je na kawałki podobne do błysków choinkowych lampek. Tamte są w salonie, ja z dogorywającą żarówką w sypialni. Znowu pierdzenie.

– Co? Co to?! – Nie wiem: zakryć się obronnie pierzyną czy uciekać. Gdzie? Mam dwa pokoje z salonem na szykownej Moko, i biec o trzeciej nad ranem do hotelu? Rodzinie powiem, albo w recepcji: Uciekłam przed pierdzeniem? Czym? Poltergeista?

– *Was? Was ist das?* – zakaszał męski, starczy głos.

Boże, po co pomyślałam *Poltergeist*, to niemieckie słowo. Złośliwiec nie jest sam. Na drugim końcu sypialni, za okienną kotarą coś się poruszyło. Migająca żarówka daje poklatkowe światło niby ze starych filmów. Pojawia się w nim przygarbiony, czarnowłosy mężczyzna. Wychodzi z szafy. Biała koszula, spodnie w kant, na kamizelce dynda srebrny łańcuszek od zegarka.

– *Was ist das?* – Odejmuje od ust cygaro.

Jesteśmy tak samo zaskoczeni wydymającą się kotarą. Oblepia kobiece biodra, biust.

– Zigi, to ty? – słodko pyta ukrywająca się pod nią kobieta.

Zigi? Przyjaciele mówili tak do Freuda; że też od razu nie poznałam, przenikliwie, zażawione oczka i nieodłączny falliczny obiekt oralny – dymiące cygaro. Cała psychoanaliza; belkę w cudzym oku, a cipowatego cygara u siebie nie widział. Umarł od jego ustawicznego ssania, dostał raka gardła.

– Nie jestem z pacjentami na ty, *Meine Frau*.

– *Fräulein*. – Rozsunęła scenicznie kotarę. Platynowa blondynka w naostrzonym staniku z lat pięćdziesiątych. – Umarłam jako panna i nie byłam pana pacjentką. Mój psychoanalityk konsultował się z pana córką.

Zjawiskowo piękna i za tłusta na ducha. Bardziej w stylu antycznej rzeźby *Wenus*, upstrzonej piegami. Moje myśli przeniknął dubbing jej słów: „Masz rację, jestem boginią wcielającą się w ludzi. Powstałam z piany, nie z kurzu tej zasłony. Z piany czasoprzestrzeni, jej najmniejszych drgań ubijających widzialny świat. Nie wierzysz? Sprawdź: «*American Science*» nr 32 rok 2010. To, co słyszysz i widzisz, jest typowym channelingiem, przebicciem w kanał zaświatów. A teraz przerwa na reklamę”.

Błysnęło mi przed oczami; katalog możliwych śmierci i oferta nawrócenia *last minute*.

– Jest pan mistrzem mojego psychoanalityka, a więc i moim. Kocham pana. Mam za sobą siedem lat psychoanalitycznych. – Piękność, dopasowująca się falowaniem biustu do jakiejś formy, i Freud nie zwracali na mnie uwagi.

– Nie muszę więc tłumaczyć, czym jest psychoanaliza – odetchnął. – W takim razie, *Fräulein*, proszę bez prymitywnych przeniesień – skarcił wielbicielkę przenoszącą edypalną miłość do ojca na swojego psychoanalityka.

– Marilyn. Wszyscy mówią do mnie po imieniu. – Wyszła z cienia i przybrała wreszcie ostateczną formę. – Marilyn Monroe, szkoda, że to nie moje...

– Szkoda, szkoda – przerwał jej niecierpliwie, jakby wertował znane sobie dzieło. – Tymi

słowami przejawia się typowe poczucie straty spowodowane zaburzeniami w fazie analnej.

Znowu rozległo się pierdzenie. Spojrzeliśmy po sobie, nie po oczach, niżej, chociaż pierd nie zostawia widocznych śladów w powietrzu. Zbyt mechaniczny na ludzki odgłos, chyba tunelował w innych przestrzeniach, bardziej pokrętnych od euklidesowej geometrii jelit. Rozszedł się siarkowodorowy zapach piekła, skąd może przyniosło Freuda i Marilyn.

– Na tamtym etapie – zamiast użyć słowa „analnym”, machnęła ręką i wypięła pupę – nazywałam...

– Panno Monroe, nie może go pani pamiętać. – Ucieszył się, chyba ze swojej kolejnej nad nią przewagi: wieku.

– Wtedy nazywałam się Norma. – Przyzwyczajona do rozbrajania mężczyzn wdzięczną uległością jeszcze bardziej się poniżyła, szczebiocząc: – Norma Jeane Mort...

– Jesteście duchami – przerwałam. – Nie wiem skąd, z perfum? Z bąbelków szampana? – Czułam się widelcem wetkniętym w butelkę. Baterią, wokół której zbierają się ulotne, rozweselające zjawy zamrożone w lodówce kostnicy albo czasu.

„Dom Pérignon, za dużo wypiłam – usłyszałam w myślach głos Monroe. – Znowu rozpadam się na aktorkę i intelektualistkę”. Sądziła, że jestem jej wewnętrznym głosem albo urojeniem. „Muszę to zagrać, zapisać. Gdzie mój notes? Moje metamorfozy... Shit! Skąd ja to wszystko wiem? Talent nie filozofia, a intuicyjnie czuję presokratyków, Bubera i Levinasa. Dialog, tak, filozofia dialogu. Że ja tego im nie walnęłam na planie. *Psychoanalitik i aktoreczka* byłoby lepsze od tego gównianego *Księcia...*”.

Freud z Monroe nie widzieli mnie. Jedyne, co nas łączyło, to pierdzenie. Oni i ja słyszeliśmy tarcie uszczelek między wymiarami. Wypuściłam dzinna z butelki perfum? Monroe mówiła o channelingu... O tak, zamiast Chanel N°5, Channel N°5 – kanał, emisja z zaświatów. Przynajmniej nie z piekła. Końcówka słowa Chanel jest po hebrajsku imieniem Boga: El. O ile istnieje i z wszechmocnej nudy gra w pokera albo w kości. Szuler dobrał sobie drugiego do pary: Cha – skrót od Szatana. Cha, El i łączące je „n” – międzynarodowy symbol „n”, czyli do entej potęgi. Zaszzyfrowali się, zamknęli w wielowymiarowej melinie hazardu, by grać o ludzkie dusze. Szatan, potęga, Bóg – Chanel. N°5 – piątka to pentagram, gwiazda Szatana, ale i symbol kobiecości, pięcioramienna gwiazda kuszącej bogini Isztar.

Duchy przypominają ulotny gaz, ale nie wypierdziałam analnego Freuda i Monroe. To nie ja. Blondyn palący cygara i dający dupy dwóm innym. Ma poluzowany zwieracz *od-bytu* picowany przez Heideggera.

– Duchy! – wykrzyczałam ich sytuację egzystencjalną.

– Was? – Freud zwinął dłoń w trąbkę.

– Duchy!

– Waz duchy? – Facet w futrze trzasnął zaśnieżonym oknem.

– Israel, duchy były w Rosji. Teraz mówimy perfumy. – Podtrzymująca go za ramię okutana karakułami babina wytarła o parapet ubłocone kozaki.

– Ale czujesz. – Wciągnął powietrze.

– Oh, Lee! – pisnęła radośnie Monroe. – Mam zaszczyt – złapała gościa za rękę – przedstawić mojego drugiego mistrza: Lee Strasberg. – Zawahała się, czy dodać „z żoną”, najchętniej to ona stanęłaby u jego boku. W Strasbergu najwidoczniej też się kochała.

– Paula. – Podobna do emerytowanej baleriny z włosami w kok i czerwoną szminką na wąskich ustach żona Strasberga podała rękę Freudowi.

Marilyn złapała go za drugą dłoń i połączyła sobą cennych mężczyzn.

– Pan mnie uczył żyć – dygnęła przed Zigim – on grać, w Actors Studio. – Pociągnęła ich za sobą w korowodzie, do którego doczepiła się Paula, nie puszczać futrzanego rękawa męża.

Cała trójka, o wiele starsza od aktorki, nie nadążała.

– Czy mogę się odwdziaczyć – Marilyn przystanęła i rozłożyła ramiona przed chwiejącym się Freudem – za tyle lat analizy, Mein Herr? – Uklękła przed nim.

– Za co? – Zigiego przestraszył ten afektowany hołd. – Za co Fräulein się bierze?! – Głos mu się łamał razem z moralnością.

Pacjentka przekroczyła granicę dopuszczalnej bliskości. Gwałciła intymność dłonią, na wysokości jego rozporka, ustami.

– Nie broń się, Zigi. – Strasberg wyjął z kieszeni swoje cygaro, zapalił.

Cygaro Freuda wypuszczało coraz szybciej kłęby dymu.

– Oj, nie broń się, Zigi. – Strasberg delectował się paleniem. – Jesteś doktorem, a to tylko seks z czaszką. Przecież ona się zabiła po seansie psychoanalizy. Eros i Tanatos, destrukcyjny pociąg do śmierci, stary. Wszyscy go mamy, dzięki tobie. Nie wstydz się swojego odkrycia.

– Nie wolno mi, to nieprofesjonalne. *Nein, meine Fräulein, nein, nein* – wzdychał.

– Jasne, profesjonalnie i wygodniej byłoby na twojej kozetce w Wiedniu. – Paula odwróciła się od nich pod pretekstem poprawienia szminki.

Przeglądała się w lusterku puderniczki, obserwując wysiłek Marilyn, poruszającej głowę z zawrotną prędkością.

– Właśnie – Lee usiadł w fotelu i kontynuował rozmowę, jakby rozmawiali w klubie

dżentelmenów – gdziekolwiek byłem: w Ameryce, w Europie psychoanalitycy mają takie same zarwane łóżka i nawet makatkę jak u ciebie. Wielki jesteś, Zigi. – Patrzył z uznaniem na pracę Marilyn. – Potęga, żeby tak wyreżyserować swoich uczniów.

– Proszę przestać! – Freud odsunął się, gdy Marilyn wycierała już sobie usta.

– Oczywiście, Herr Doktor. – Paznokciami doprowadziła do ładu zmierzwione owłosienie łonowe Freuda i zapięła rozporek. – Nazywam to Eucharystią Aniołów. – Językiem zlizwała z brody białą kroplę. – Dobra na odrosty. – Wtarła resztki spermy w platynowy blond swoich potarganych loków. – Wie pan, co oni mówią? – pokazała na Strasbergów. – Odrosty u farbowanych blondynek świadczą, że mózg jeszcze walczy.

– *Mein Gott!* – Freud zasłonił dłońmi twarz, ukrywając wstyd i niedający się ocenzurować błogostan.

– Tej wyperfumowanej dziwki nie trzeba było już niczego uczyć. – Paula zatrzasnęła puderniczkę. – Mówiłam ci, Israel.

– Israel? Nie Lee? Dlaczego tu się nikt nie nazywa tak, jak się nazywa? – Zigi przyjrzał się Marilyn analitycznie, bez zażenowania. – W psychoanalizie to ważne, ma ogromne znaczenie.

– Och, Zigi. – Marilyn, leżąc u jego stóp, przeciągnęła się. Swoim doktorskim tonem wyrwał ją z marzeń spisywanych w notesie rozłożonym na podłodze. – Nikt normalny nie woła cię po imieniu: Zygmunt!

– Zigi jest zdrobnieniem, nie pseudonimem – przypomniał.

– W Ameryce nie zdrabniamy. – Znów się przeciągnęła jak kalendarzowa *pin-up*, podnosząc wysoko ręce. – Powiększamy: autostrady, drapacze chmur.

– Cycki też – dodała Paula.

– Tutaj jest Nowy Świat, Ameryka, i każdy ma szansę na nowe imię. – Marilyn udawała, że jej nie słyszy.

Prawdopodobnie wchłonęła obecność żony Strasberga w podświadomość. Mnie uznała za swoją filozoficzną intuicję, Paulę za zintegrowaną część aktorskiej osobowości. Kiedyś słuchała jej wskazówek. Zabrała nawet ze sobą do Anglii na plan *Księcia i aktoreczki*. Po śmierci nie musiała już nikogo grać.

– W Ameryce nazywasz się, jak chcesz, lepiej. I żyjesz też lepiej. – Ssała skuwkę pióra płamiącego atramentem notes, gdzie zapisywała swoje mądrości.

– To po co zrobiłaś sobie lewatywę ze środków nasennych?! – nie wytrzymała Paula.

– Bo ja tak lubię spać.

– Moje dziecko – rozczulił się Lee.

– W Chanel N° 5 – rozmarzyła się.

Perfumy były czymś trywialnym w porównaniu z podświadomością. Rozczarowała Freuda zainteresowanego jej snami.

– Chociaż zmysłem, z którego rozwinęła się pamięć, jest węch – przypomniał sobie, przycinając nowe cygaro.

– Tak, Marilyn, to twój zapach. – Paula wachlowaniem odganiała się od jej wulgarności.
– No co za dużo to...

– Nie pierdę Chanel. – Wdzięcznie przyłożyła dłonie do pośladków. Zakrywając je, podkreślała krągłość swojej pupy. – To nie ja...

Huk był coraz bliżej, głośniejszy. Powietrze rozrywały petardy. W pokoju zrobiło się jasno od sztucznych ogni. Błyskanie roztrzęsionej żarówki przestało przypominać kadry starego filmu. Duchy blakły, znikwały. Na niebie wśród wybuchających gwiazd i fajerwerków pojawił się sylwestrowy napis: „Rok 2012 rokiem Marilyn Monroe!!!”.

Krystyna Kofta

ADELA Z DZIELNICY ROZPUSTY

Oczywiście to nie była oficjalna nazwa tej części miasta, nazwa oficjalna jest zupełnie normalna i brzmi tak banalnie jak wszystkie inne, w rodzaju Śródmieście, Stare czy Nowe Miasto albo Podwale. Potocznie jednak ludzie mówili „Dzielnica Rozpusty”, kobiety chichotały, zasłaniając usta, a mężczyźni wykonywali różne, czasami nawet wulgarne gesty. Adela starała się unikać tego pospolitego określenia, choć w rozmowach, jakie w myślach wciąż prowadziła z matką, posługiwała się tą nazwą dość często. Odkąd wyprowadziła się z domu, w ogóle nie miała z nią kontaktu.

Wyobrażała sobie jej oburzenie i skwaszoną minę:

– Powiedz mi, Adelko, gdzie teraz pracujesz? – zapytałaby matka stereotypowo, choć byłaby prawdziwie wzruszona odwiedzinami córki marnotrawnej.

– W Dzielnicy Rozpusty, mamó – odpowie córka z uśmiechem.

– Boże drogi, cóż ty, z twoim wykształceniem, możesz tam robić, moje dziecko? – zapytałaby znów matka ze zgrozą.

– Wszystko, co do mnie należy – powie wówczas Adela. Tak, to jest pociągające, mogłaby nawet dla tych paru słów spotkać się z rodzicielką. Jednak ciągle odkłada ten moment, nie jest jeszcze gotowa. Wiedziała, że matka żyje, jak zwykle „ma kogoś”, mieszka tam, gdzie zawsze. Nietrudno się dowiedzieć takich rzeczy, zwłaszcza że Adela w swojej firmie miała ciągły kontakt z detektywami. Trzeba było sprawdzać niektórych klientów. Coś tak prostego, jak informacje o matce, załatwiła w pół godziny. Dowiedziała się, że jest zdrowa, leczyła się na zapalenie nerek, ale już wszystko w porządku. Jej nowym kochankiem jest wzięty adwokat, ona pracuje w jego kancelarii, ma niezłą pensję. Spotyka się także ze swoją siostrą bliźniaczką, ciotką Adeli. Dostała zdjęcia uśmiechniętej matki, w opiętej sukience z głębokim wycięciem. Zawsze była bardziej seksowna niż ja, pomyślała Adela, tasując fotografie jak talię kart.

Dzielnica Rozpusty nazywano dość duży obszar wydzielony z południowej części miasta. Umieszczono tu wszystko, czego ludzie w tej materii potrzebowali. W taki sposób chciwe miasto mogło zachować prawie pełną kontrolę nad dochodową branżą. A odkąd wprowadzono kasy fiskalne na wszelkie usługi, ściągano stąd spore podatki. Kwartal ulic był otoczony trzymetrowym ekranem z grubego, przezroczystego plastiku, na którym namalowano drapieżne ptaki z rozpiętymi skrzydłami, po to, by żywe ptactwo nie rozbijało sobie łebków, nie widząc przeszkody. Jednak i tak odpowiednie służby codziennie o piątej rano sprzątały ptasie zwłoki. Ludziom przychodzącym tu, żeby odpocząć i się rozerwać, martwy ptak źle się kojarzył. Niektórzy uważali, że przynosi nieszczęście, zwłaszcza czarny. A większość miejskiego ptactwa stanowiły gawrony, wrony i ciemne od brudu gołębie. Adela nie była przesądna, nie ufała horoskopom ani wróżbom karcianym, jednak wierzyła w znaki. Czarno opierzone zwłoki z pazurami wyciągniętymi w niebo były dla niej znakiem. W takim dniu trzeba było na siebie bardzo uważać, nikt nie znał sposobu odczyniania, nie wystarczyło splunąć przez ramię, tak jak

się to robi na widok dwóch zakonnic idących z przeciwka.

– Możesz nie wiem jak się chronić, ale i tak bandyta los w końcu cię dopadnie – mawiał ojciec Adeli, gdy los go dopadł. Wtedy jednak był jeszcze przytomny, miał siłę mówić, dużo ze sobą rozmawiali. W piątek znalazła sinoczarnego, martwego gołębia. I tego dnia ojciec umarł.

O wpół do siódmej rano Adela otworzyła oczy. Nie używała budzika, miała wewnętrzny zegar, który budził ją regularnie o tej samej godzinie. Nie zdarzało się, by zasnęła. Fizjologiczne urządzenie miało jedną wadę: wyrывało ją ze snu także w dni wolne, przez całe wakacje, gdziekolwiek była, nawet na końcu świata, gdzie czas był inny. Wstawała więc, wypijała szklankę wody, zjadała dwa półksiężycy melona z lodówki albo zamrożony plaster ananasa i kładła się na powrót do łóżka. Zauważyła jednak, że poranne sny po przerwie są filmami z dzieciństwa, niestety, nie tymi szczęśliwymi z wakacji z ojcem, to były horrory, o których starała się zapomnieć. Dlatego też po przebudzeniu wołała czytać e-booki na swoim małym srebrzystym tablecie. Czasami kupowała papierowe książki, żeby odpocząć od monitorów i ekranów, które otaczały ją ze wszystkich stron. Były wszędzie, w jej mieszkaniu, w firmie, na ulicach, w klubach, marketach, zewsząd mrugały porozumiewawczo, albo gasły i rozjaśniały się nagle i niewytłumaczalnie.

Na nocnym stoliku, grzbietem do góry leżała doczytana mniej więcej do połowy powieść Michela Houellebecqa *Mapa i terytorium*. Z pewnością ją dokończy, było w tej książce coś interesującego spoza literatury, dokładne opisy różnych sprzętów, instrukcje dotyczące działania aparatury, maszyn, używania farb, także wiele opisów obrazów, a nawet ciuchów, jakie noszą główni bohaterowie, malarz i pisarz. Pisarzem jest sam autor. Zrobił dowcip wydawcom i czytelnikom, a zwłaszcza krytykom, których nie znosi, wymieniając siebie z nazwiska, pisząc o sobie w trzeciej osobie. Można było się dowiedzieć, co jada, pije i pali. Jakie podpisuje umowy i jakie dostaje honoraria. Adela ceniła taką dokładność, to nie tylko odpowiadało jej duszy księgowej, ale też powodowało, że przedstawione terytorium było nadzwyczaj prawdziwe. W czasach popularności literatury typu fantasy, jaką czytują dziecienni mężczyźni, ta proza miała w sobie coś z angielskiej klasyki, a jednak była na wskroś nowoczesna, świeża, dość niedbała i brzydka. Facet spodobał jej się z powodu niezwyklej odwagi. Postanowił w powieści się zamordować. Może chciał popełnić samobójstwo, a może miało to oznaczać, że kończy z literaturą? Zacznie robić coś innego, może malować? Najwyraźniej nie bał się samospełniającej się przepowiedni. Pewnie sądził, że jako twórca sam jest siłą sprawczą, by nie powiedzieć: demiurkiem. Czują z nim wspólnotę. Wiedziała z wywiadów, że nienawidzi własnej matki, pisał o tym otwartym tekstem. Co prawda, takie wyznania były w modzie, więc niewykluczone, że odpalił mamuśce okrągłą sumkę z niebotycznych honorariów za milczenie, gdy będzie ją opluwał.

Adela nie znała osobiście żadnego pisarza, choć kilku VIP-ów z tej branży bywało w Dzielnicy Rozpusty, znała jednak ludzi i znała się na pieniądzu. Ona mogłaby o swojej matce mówić w podobny sposób, nawet za darmo, gdyby miała potrzebę opowiadania i kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Rzadko czytywała powieści, bo fikcja ją nudziła. W niej samej życie ciągle opisywało przestrzeń, w jakiej się znalazła, komentowało, niekiedy nieznośnie, to, co robiła, a pamięć notowała wszystko, czy tego chciała, czy nie. Była autorką, narratorką i bohaterką. Nie potrzebowała ram ani reguł. Ona, tak jak Michel H., kreowała własną śmierć na rozmaite sposoby, zabijała się przecież wiele razy, to było dawno, nie radziła sobie wtedy ze

światem, wolała o tym nie pamiętać.

Gdy umarł ojciec, poczuła pociąg do umierania, bo bardzo za nim tęskniła. Potem za każdym razem zmartwychwstawała jakby nigdy nic. Szalała z radości, gdy udało jej się zarobić trochę grosza i wybić na niezależność, wyrwać z matczynej niewoli. Czowała, że wiele ją łączy z tym pisarzem, śmiertelnie bladym wypłoszem w zielonej kurtce, wiecznie drżącym z zimna jak ze strachu. Poza wszystkim przypominał jej kogoś bardzo bliskiego, chyba nawet kochanego, był tak jak tamten: szczupły, niewysoki, z wielkim, ciekawskim, jakby wężącym nosem. Obserwował ludzi dookoła, trochę zblazowany popularnością i sukcesem, który go zaskoczył. Dobrze pamiętała dotyk zimnego czubka nosa tamtego człowieka, poznający mapę i terytorium jej ciała. Tamten jednak dbał o kondycję i zdrowie, uprawiał sporty i nie palił. Przynajmniej nie przy niej. Houellebecq kopcił papierochy, chociaż pewnie trząsał się skrycie, bojąc się raka. Był cykorem uczącym się odwagi. Stąd w powieści wyzwanie rzucone śmierci, której nie można odrzucić, gdy się już w kimś narodzi. Adela, mimo że młodsza od niego, miała ją w sobie, nosiła w łonie jak dziecko, które kiedyś przyjdzie na świat, po bardzo długiej, przenoszonej ciąży. A będzie to moment, w którym ona umrze. Na razie jednak nie wybierała się nigdzie, już dawno zwątpiła w możliwość spotkania z ojcem, przestała wierzyć w istnienie „tamtego świata”. To było bolesne. Światy alternatywne pojawiały się na skinienie, oglądała dziesiątki rodzinnych fotografii, krótkie filmy z wakacji. Chlapani się w morzu, ojciec krzyczał do niej przez wściekle ryczące fale. Był „jak żywy”.

Tęsknota za umarłym jest nieskończona, nigdy nie zostanie ukojona, trzeba raz na zawsze dać sobie z nią spokój, w końcu to do niej dotarło. Na białym dywanie obok łóżka leżał szybki laptop, na którym Adela na bieżąco prowadziła rachunki, swoje oraz firmy, w której miała udziały. Co miesiąc obliczała podatki. Obmyślała najbardziej opłacalne lokaty, transakcje i inwestycje na kolejne lata, żeby jak najmniej stracić. Grała na giełdzie, ale podczas kryzysu już tylko swoimi pieniędzmi. Wcześniej obracała dużymi sumami, nowy szef miał zaufanie do jej wiedzy i intuicji. Byli prawie w tym samym wieku, on może dwa lata starszy. Tak, nie myliła się, sprawdziła to w jego aktach. Lubił jej towarzystwo, chyba mu się podobała, dlatego mogła pozwolić sobie na więcej niż inni. Pewnie też dlatego, że jej nie miał. Nie znosiła tej formy: „miał”, „nie miał”, choć się mówiło, że „miał, kogo chciał”. Adela uważała, że dziewczyny też go miały, bo chciały. Jeśli któraś nie miała chęci kotłować się z szefem, nie traciła pracy. Tylko klientowi nie można było odmówić. To nie było miejsce, w którym uprawiano się mobbing. Wszyscy nowi wiedzieli, do czego przystępują, na co się zgadzają, czego się po nich oczekuje. Podpisywali stosowne papiery i było po sprawie. Tak załatwiano to w usługach, jednak nie w administracji. Tu przestrzegano zasad nietykalności.

Adela umiała dość bezwzględnie wykorzystywać swoje atuty. Przeczesała palcami bujne rude włosy, odgarniała do tyłu i patrzyła spod opuszczonych powiek, jakby zastanawiała się nad opłacalnością proponowanych zmian. Szef stał obok. Zawsze w gotowości, to się dało zauważyć. Nie musiała patrzeć, by widzieć wyraźną wypukłość jego spodni. Nie ukrywał tego. Kiedy zaczęła pracować, zawarli dżentelmeńską umowę. Gdy po raz pierwszy dotknął jej ramienia, powiedziała: stop. Uniósł obie dłonie w górę, na znak poddania, proszę bardzo, jak sobie życzysz, gdy będziesz gotowa, daj znać.

– Mam przecucie, że jesteśmy dla siebie stworzeni – dodał po chwili namysłu.

– Stworzeni? Nie wysiliłeś się! – Nie znosiła takich gotowców, takim wytrychem się mnie nie otworzy, pomyślała.

Kilka lat wcześniej harowała w wydawnictwie. Skończyła ekonomię z wynikiem bardzo dobrym, uważała, że powinna więcej zarabiać i awansować, niestety, dyrektorem finansowym został jakiś dupek bez praktyki, a ona nie dostała nawet podwyżki. Poznała, czym jest „szklany sufit”, o którym tyle opowiadano i postanowiła go rozbić, choćby głową. Rozejrzała się i dość szybko znalazła interesującą ofertę. Przeniosła się błyskawicznie, bo zaproponowano jej o niebo lepsze warunki. Wówczas było to miejsce, w którym „nie wypadało pracować”. Po roku Adela została szefem działu finansowego, pomagała także firmie w PR i marketingu. Znała się na finansach jak mało kto, pokochała tę pracę i samodzielność. Po czterech latach stać ją było na kupno niezbyt wielkiego apartamentu mieszczącego się blisko firmy. Siedem minut szybkiego marszu od wyjścia z domu do wejścia w ciężkie, obrotowe drzwi biura. Kupiła minimorrisa, do wypraw na zakupy. Było to świetne miejskie auto, łatwe w obsłudze i parkowaniu. Jako osoba oszczędna – nie, nie skąpa – jeździła na wyprzedaże. Wiele rzeczy przywoziła z różnych stron świata. Tak było taniej i nie narażała się na spotkanie oko w oko z kobietą ubraną tak samo jak ona. Lubiła dobrze uszyte palta MaxMary i wielkie marynary Stelli McCartney, bo miały prostotę niewinności i nie krępowały ruchów. Dobierała odpowiednie torby, nigdy od Vuittona; rozpoznawalne jak pieczętka bogactwa przystawiona na czole. Na podróż wkładała mokasyny Tods’a. Pantofle Ferragamo na wysokim obcasie w czarno-białą pepitkę oraz piękne, trochę wymyślne szpilki od Alexandra McQueena pakowała do torby.

Żałowała, że młody McQueen popełnił samobójstwo, firma istniała, jednak Adela już tam nie kupowała. Zabił się po śmierci matki, którą kochał. Stało się tak mimo sławy i bogactwa. Adela wiedziała, jak łatwo ześlizgnąć się z życia w śmierć. Gdyby po śmierci ojca popełniła samobójstwo, matka miałaby za swoje. Teraz mogła jej powiedzieć: „Fuck you, mammo!”.

Cały bagaż był lekki jak puch! Rzeczy najłżejsze są najdroższe, mówiła swoim asyistentkom. Bielizna, wieczorowe sukienki na spotkania z wyjątkowymi klientami mieściły się w jednej torbie lotniczej. Okazało się, że nikt tak jak Adela nie potrafi omotać bogatych klientów. Dlatego szef powierzał jej interesy z najważniejszymi. Latała po świecie, by zwiedzać podobne obiekty, w Londynie, NY, Amsterdamie, Berlinie, Hongkongu, a nawet w Vegas. Ostatnio poleciała tam obejrzyć nowe kasyno. Szefowie chcieli unowocześnić podstarzałą ruletkę, połączyć ją z erotycznymi grami komputerowymi. W Bangkoku obejrzała głośny salon „masażu” Copacabana, masaż był tylko przykrywką, bo prostytutka jest tam zakazana. Rozpasane rokoko, krzeselka wijące się w konwulsjach, okropne figurki dziewic i amorków, powyginane rośliny rozśmieszały ją tak, że łzy spływały po policzkach, musiała udawać katar, żeby nie obrazić zachwyconych turystów. A wszystko złożone, nawet plastikowe mebelki w stylu Ludwika XIV popaćkano złotem. Lud to lubi, lud to kupuje, szepnął jej do ucha cyniczny przewodnik o wyglądzie Elvisa w ostatnim stadium agonii. Nie chciała podporządkować swojej wizji plebejskiemu gustowi w najgorszej postaci. To, co jej pokazano, było dobre kiedyś, w innej epoce. Zbudowano ten światek dla amerykańskich żołnierzy walczących w Wietnamie. To miejsce było na tyle blisko, że mogli tu wyskoczyć na parę numerków na przepustkę i wrócić. Nic tu po mnie, tyle że się przeleciałam, dla Adeli były to Himalaje bezguścia.

W światowych stolicach i wielkich miastach oglądała niekiedy dość zaskakujące rozwiązania, ale żadne z tych miejsc nie mogło pochwalić się takim rozmachem i tak różnorodną

ofertą jak ich firma. Była dumna, że pracuje w nowoczesnym, legalnym, bezpruderyjnym ośrodku, bez obciążeń rasowych, bez dyskryminacji z powodu wieku, przynależności do tej czy innej grupy społecznej bądź religii. Odwiedzali to miejsce ludzie o różnych kolorach skóry, starsi i młodzi, wykształceni, niezbyt zamożni inteligenci, celebryci, a także biznesmeni z listy stu najbogatszych, czy modni artyści, przychodziło także wielu prostaków z kasą, którzy tutaj uczyli się kultury. Było to już prawie społeczeństwo otwarte Karla Poppera.

Personel stanowiły kobiety, przeważały nawet w utajonej ochronie. Z początku zatrudniano mężczyzn, ale nie wytrzymywali psychicznie. Byli jak szczury z głośnego eksperymentu, którym wszczepiono do mózgu urządzenie pobudzające ośrodek przyjemności. Gryzoń naciskał łapką guzik i wywoływał szczurzy orgazm. W pobliżu stały miski z jedzeniem, jednak one nie jadły, nie piły, niektóre padały z wycieńczenia, ale nie mogły przestać. Bołączką kierownictwa było to, że wielu pracowników spędzało czas, masturbując się przed ekranem. Adela na spotkaniu rady nadzorczej przedstawiła pomysł, by tych osiłków przesunąć do innych zadań, zatrudnić do zaspokajania kobiet, które organizowały tu swoje wieczory panieńskie albo po prostu rozrywkowy seks integracyjny. Tego rodzaju imprezy zyskiwały coraz większe powodzenie. Żeby się niepotrzebnie nie narażać, nie reklamowano ich na billboardach ani też w pismach, nawet w „Playboyu”. Adela zapłaciła kilku młodym ludziom, którzy chwalili się na Facebooku „wypadami na lachony”. Szeptana propaganda dawała najlepsze efekty. Ludzie czuli się wyróżnieni, wtajemniczeni, a dodatkowo cała rzecz prawie nic nie kosztowała. W końcu znaleziono kilku roślących ochroniarzy, którzy stali na bramce, z długą bronią, w czarnych kombinezonach, efektowni, ale też groźni. W ramach premii dostawali kilka godzin tygodniowo z wybranymi dziewczynami.

W usługach kobiety ciągle stanowiły większość. Klientów było wciąż znacznie więcej niż klientek. Popyt na mężczyzn, choć stale rósł, wciąż stanowił nikły procent, a i tak korzystali z ich usług głównie geje. Adela pracowała nad zmianą proporcji. W branży zatrudniano głównie białe kobiety, jednak gdy zaczął się run na Azjatki, sprowadzono Chinki, Japonki, Tajki. Były także mulatki z Ameryki Południowej. Dużym powodzeniem cieszyły się hebanowe, smukłe jak posągi Afrykanki. W ofercie najwięcej było młodych dziewczyn, ale wzięcie miały także kobiety starsze, nawet powyżej pięćdziesiątki. Ich zadaniem było wprowadzenie w życie młodych, nieśmiałych prawiczków, obśmiewanych w szkole przez kolegów. Znajdowali tu zrozumienie i żywe zainteresowanie. Adela w pierwszych miesiącach, gdy wdrażała się do pracy, przechodziła przez kolejne szczeble. Musiała zapoznać się z całością oferty. Odprowadzała wtedy nowicjuszy do odpowiednich pokojów; rozczulała ją ich trema. Dostawali kieliszek białego wina i kiść winogron. Siedzieli z Adelą przy stoliczku i rozmawiali z nią o szkole, problemach z wymagającymi koleżankami. Zwierzali się z obaw, że nie sprostają zadaniu. Starszym wyświetlano coś wzmagającego pożądanie, młodszych nie podniecano wcześniej w obawie, że zbyt szybko eksplodują i mogą potem długo odczuwać traumę, może pozostać im uraz na całe życie.

Adela pocieszała ich, uspokajała, są tu najlepsze, najdelikatniejsze kobiety w mieście, fachowe siły, i co ważne, bardzo dyskretne, potrafią zadowolić każdego, opowiadała z dumą, nic stąd nie wychodzi na zewnątrz. Nie zobaczysz swoich wyczynów na Facebooku, jak to bywa w szkole. Chyba że zażyczysz sobie filmik do opublikowania w sieci, ale za to trzeba dodatkowo zapłacić. Dotykała ramienia młodego człowieka i wychodziła cichutko, zamykając za sobą drzwi. Potem w gabinecie zaglądała na monitory, by sprawdzić, czy wszystko odbywa się jak trzeba.

Wtedy jeszcze firma była niewielka, można było ją ogarnąć. Teraz, gdy liczba personelu wzrosła dziesięciokrotnie, a odwiedzających było stokroć więcej, nie miała na to ani czasu, ani ochoty. Znacznie bardziej odpowiadała jej przestrzeń aseksualnych cyfr. Dział Adeli pracował bez zarzutu, dlatego co roku dostawała dodatkowo wysoką premię. Czuła się doceniona.

Wymagano, by klienci byli pełnoletni. Przyjmowano także młodszych, pod warunkiem że mieli opiekę kogoś dorosłego z rodziny. Dyrektor generalny od spraw PR powiedział, że to nic nowego, niegdyś inicjacja chłopców tradycyjnie odbywała się w burdelach. Powrót tego staroświeckiego obyczaju wzbudził uznanie rodzin wychowujących synów. Uważano, że jest nowoczesny, cool, jak mówiono, jednocześnie zaś umacnia psychologiczną więź między ojcami a synami. Bywało i tak, że ojciec z synem zabawiali się w trójkącie albo czworokącie. Potem wracali i kupowali karnet na kilka lub kilkanaście spotkań, co wychodziło znacznie taniej. Z rzadka pojawiały się matki samotnie wychowujące dorastających synów. Miały kłopoty z ich uświadamianiem.

Najmłodsza dostępna w ofercie dziewczyna była szesnastolatka, wyglądała młodziej, co podkreślał jej skromny granatowy mundur i kucyki. Adela patrzyła na nią z przyjemnością. Jakby widziała siebie dawną. Miała podgląd na monitorach, rzadko z niego korzystała, jednak ta dziewczyna odrabiająca lekcje była po prostu słodka. Miała pseudonim Lolitka. Interesowało ją pomnażanie pieniędzy. Była, nie bez racji, przekonana, że kupi za nie wolność. Adela pomagała jej trochę, wprowadzając w grę na giełdzie. Uczyla ją wybierania odpowiednich lokat i dbała o dywersyfikację zarobionych funduszy w kilku bankach. Miała związane z nią plany. Wiedziała, że matka dziewczynki jest zakamuflowaną kurwą, że jest zimna i córka jej przeszkadza. Gdy Lolitka skończy osiemnaście lat, adoptuje ją i zamieszkają razem. Pośle dziewczynę na prawo albo na ekonomię. Ta mała miała talent do logicznego myślenia. Teraz zarabiała sporo, choć pracowała na specjalnych warunkach. Można było ją dotykać, ale nie posuwać. Po prostu siedziała przy biurku z laptopem, a różni odchyleni walili w jej obecności konia, wołając, by tylko popatrzyła. Być może nie powinna oglądać „takich rzeczy”, ale i tak wujkowie przychodzący do jej matki robili przy niej to samo. Byli nawet gorsi, bo przystawiali się do niej w domu, pod skrzydłami matki, gdzie nie było ochrony. Dawała sobie radę, miała przygotowany kij bejsbolowy, by w razie potrzeby walnąć w spocony łeb. W ośrodku najczęściej zamawiali ją studenci albo starsi faceci, którzy „preferowali małolaty”. Tak powiedział do Adeli stały bywalec, który przychodził prawie codziennie, ja, moja droga pani, preferuję małolaty. Gdy do pokoju Lolitki wchodził mężczyzna, Adela wyłączała się. Przez całą dobę nad bezpieczeństwem dziewcząt czuwały kontrolerki przy monitorach.

Adela wiedziała, że obraz obiektu jest wyidealizowany, że ten świat jest oderwany od rzeczywistości. Było to coś na kształt utopijnych wysp szczęśliwych, które, no cóż, były chore, ale świat za plastikowym parawanem również charczał, ten syfilityk z pewnością nie był zdrowy. Prawda jednak jest taka, że tu się nie wykrzykuje rasistowskich haseł, nie pali niczyich kukieł, nie wysyła nikogo do gazu. Nigdy nikogo nie pobito z powodu inności, a przemoc stosowano na wyraźne życzenie klientów, za zgodą dziewczyn, co słono kosztowało. Reguły są jasne, nad wszystkim czuwa dyskretna, za to bardzo skuteczna ochrona. Ten świat, sztuczny w najwyższym stopniu, zyskał tu potęgę i wymiar dzieła sztuki. Sztuka jest sztuczna, tak uważają prawdziwi artyści. Iluzoryczność Adeli nie przeszkadzała, przeciwnie, wydawała się jej czymś szlachetnym.

Pilnowano zwłaszcza sal sado-maso. Sprzęt mógł być niebezpieczny, tak samo jak

dzikość wstępująca nagle w niektórych klientów. Nawet jeśli partnerka była maso, to przecież w jakimś momencie klient powinien odłożyć pejcz czy metalowy łańcuch, trzeba wreszcie zdjąć z haków wiszącą na nich kobietę. Wszystkie miały zawsze pod ręką przyciski antynapadowe. W części prawego skrzydła urządzono świat oparty na trylogii Larssona *Millennium*. Nie mogła tego czytać. Jego okrucieństwo przyprawiało Adelę o dreszcz wstrętu, choć doceniała styl. Trzy dziewczyny ucharakteryzowane na Lisbeth Salander, wytatuowaną mścicielkę, cieszyły się takim powodzeniem, że na spotkanie trzeba było się zapisywać miesiąc wcześniej. Zabawy w seryjnych morderców także miały zagorzałych amatorów i należały do ulubionych rozkoszy. Pochlapane nie keczupem, lecz świeżą krwią zwierząt, kobiety-ofiary udawały martwe, by zaspokoić chore apetyty. Do wykonania ponurego makijażu zatrudniano najlepsze siły z telewizji i teatru. Pracowali u nich znani wizażyści, stylistki z dyplomami, fachowcy od efektów specjalnych, reżyserzy ustawiający makabryczne sceny. Były też odmienne gusta, rozkosze polegające na sentymentalnym odbieraniu cnoty, na wprowadzaniu w wyuzdane życie seksualne niewinnych, nieświadomych dziewcząt. Musiały udawać, że nigdy dotąd nie widziały obnażonego kutasa. Zastanawiały oczy, krzyczały, broniły się, chciały uciekać, jednak drzwi były zamknięte. Miały stałych klientów, tylko co pewien czas należało niewinne uczennice wymienić na nowe, bo te się już opatrzyły. Chętnych nigdy nie brakowało.

Za niezbyt wygórowaną sumę można było przebywać w tym zmysłowym świecie przez wiele godzin. Przybytek był czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu. Nie była to przyjemność dla biedaków, dla splukanych do cna czy żyjących z zasiłku, ani też dla bezdomnych. Jednak każdy, kto miał solidną, stałą pracę, mógł przynajmniej raz w miesiącu skorzystać z usług. Cena prostych świadczeń była na kieszeń nawet tych ze średnią pensją. Bywało, że klienci uzależniali się od rozkoszy jak od narkotyków.

Adela zwykle opuszczała swoje biuro przy okazji służbowych wyjazdów. Gdy przechodziła przez halę odlotów, z rozwianą fryzurą, w rozpiętym trenczu Burberry, z jedną dużą torbą podróżną Hermesa, ludzie patrzyli na nią z zainteresowaniem, zazdrością, a nawet niekiedy z nienawiścią. Chodziła zawsze z gołą głową, ponieważ grzały ją bujne, nietknięte farbą rude włosy. Codziennie wieczorem szcztokowała je długo, aż lśniły jak mosiężne druciki. Miała trzydzieści sześć lat, wyglądała młodziej, choć jak dotąd nie robiła jeszcze nic z piersiami, brzuchem czy twarzą, nie wypełniała nawet ust silikonem. Miała pełne wargi o naturalnej czerwieni. Należała do kobiet bardzo zadbanych, chodziła na masaże, bywała w salonach SPA, co cztery dni czesała ją fryzjerka, raz w tygodniu robiła manicure w salonie, co dwa tygodnie pedicure. Miała świadomość przemijania, ale nie czuła na karku zgniłego oddechu czasu. Uważała, że najlepsza jest terażniejszość i starała się ją wykorzystać co do sekundy.

Wciąż była samotna. Singielka z wyboru. Nie miała ochoty zmieniać swojego statusu, nie brakowało jej męża ani dzieci. Gdyby zapragnęła seksu, miała na miejscu pociągających młodych mężczyzn, było sporo dorabiających studentów. Zerkali na nią, zaczepiali, lecz ona uśmiechała się tylko i mówiła, że nie można jej wynająć. Może to ironia losu, ale seks nie pociągał jej w najmniejszym stopniu, choć męskie zainteresowanie sprawiało jej przyjemność. Gdy przyszła do pracy, chciała się zmienić, na początku podglądała na monitorach różne pokoje. Starła się podniecić, miała wszak do dyspozycji cały wachlarz usług i możliwości. Nic jednak nie działało, nie czuła mrowienia, skurczów, nic... Obrzydzenia także nie. Może działo się tak ze względu na doświadczenia z dzieciństwa i wczesnej młodości, trudno, pogodziła się ze swym chłodem, wydawało jej się, że skończyła z pieprzeniem raz na zawsze. Zresztą w ten sposób była

najodpowiedniejszą osobą do pracy w miejscu pokus, które czyhały za każdą ścianą, splecione ciała, jęki, spazmy, okrzyki, kuśły obrazami na monitorach.

Nikt ze znajomych nie wiedział, gdzie pracuje, nikt też nie pytał jej, czy ma kogoś ani też kiedy wreszcie pojawi się na świecie pociecha. Wiele jej przyjaciółek było w podobnej sytuacji. Nie lubiły pytań i nie były wścibskie. Samotne, rozwiedzione, żyjące luźno. Po Adeli nie było widać ciężkiej, wielogodzinnej orki przy obliczeniach czy konstruowaniu budżetu. Wyglądała bardzo młodo, jak niepracująca żona multimilionera albo gwiazda telewizji, stąd pewnie brała się niechęć w spojrzeniach. W ciągu kilkunastu lat od momentu wyjazdu, wyrwania się z domu, zmieniła się tak bardzo, że nie poznałaby jej własna matka. Zwłaszcza ona.

Odkąd znalazła tę pracę, prowadziła uregulowany tryb życia. Doceniała i szanowała swoje zajęcie. Uważała to miejsce za bardzo nowoczesne także pod względem architektonicznym. Całość zaprojektowało małżeństwo wziętych architektów. Specjalnie wybrano parę, żeby reprezentowane były obie płcie. Chodziło o to, by rozszerzyć target, zachęcić do korzystania z tego przybytku także kobiety. Część budynków miała charakter prostych kamiennych domów, z małymi oknami, których dachy pokrywały trawniki, mchy i kwiaty. Inne wyglądały jak przeszklone pawilony wystawowe, były zbudowane z lekkiego, twardego jak stal tworzywa. W przestronnych wnętrzach wisiały obrazy znanych malarzy, pośrodku wznosiły się lub zwisały z sufitów instalacje artystyczne. Zamówiono kopię *Piramidy zwierząt* Katarzyny Kozyry, zakupiono rzeźbę Mitoraja i kilka abakanów. Do oglądania zamiast kolorowych pism były albumy ze sztuką erotyczną i pisma ekonomiczne. Można było także słuchać koncertów.

Strzelisty budynek pośrodku obiektu był wysoki jak gotycka katedra, tyle że wykonano go ze szkła, marmuru i metali. Przed nim niezamordowanie wytryskiwała w niebo falliczna fontanna, symbol energii tego miejsca. Adela, idąc do firmy, codziennie przechodziła obok tego kolosa. Tylko raz wjechała z szefem na najwyższe piętro, gdzie znajdowało się kasyno. Ruletka, poker, gry, obstawianie wyścigów, zawodów sportowych, głównie boksu, ale także wyborów, można było również zagrać na giełdzie, byli nawet maklerzy. Na wszystko załatwiono koncesje. Niżej znajdowały się sale kinowe, gdzie wyświetlano hard porno dla amatorów; soft porno, przeznaczone dla samotnych kobiet oraz dla par, także małżeństw, można było obejrzeć na szóstym piętrze. Na pozostałych piętrach mieściły się apartamenty, w których urządzano tematyczne orgie w przebraniach z epoki starożytnego Rzymu, z okresu panowania Ludwika XIV, z czasów komuny w Związku Radzieckim, hawajskie, chłopskie oraz różne inne wieloosobowe party typu „każdy z każdym”, które Adela nazywała algorytmem. Ulica prowadząca do tego miejsca miała nazwę Ślepych luster, bo spotykali się tu miłośnicy modnych obecnie wampirów. Sprowadzono więc specjalne lustra, które nie pokazują odbicia. Ludzie stali przed nimi, nie rozumiejąc, dlaczego nie widzą siebie, niektórzy byli naprawdę zaniepokojeni. Można było zaopatrzyć się w białe kły i zacząć zabawę w kąsanie.

Nie była to z pewnością tradycyjna dzielnica czerwonych latarni i okien z nagimi kobietami, które, gdy nadchodził klient, odkładały robótkę z kolorowej włóczki i zmysłowo się przeciągały, profesjonalistki w starym stylu były już na wymarciu. Tutaj, po wejściu do środka podchodziło się do elektronicznej makiety, szukając tego, po co się przyszło, lub siadało przed terminalem, by znaleźć coś specjalnego. Na klientów czekały hostessy w strojach konduktorek, króliczków, w biznesowych kostiumach albo skąpo odziane tancerki oraz młodzi, eleganccy chłopcy. Personel posługiwał się zwrotem: „W czym mogę pomóc?”, uprzykrzającym ludziom

zakupy w sklepach, co Adela starała się zwalczać, jednak pranie mózgu na szkoleniach robiło swoje. Fachowe siły kierowały nowicjuszy tam, dokąd prowadziły ich preferencje. Każdy, kto pragnął naprawdę urozmaiconych rozrywek, kupował kartę magnetyczną. Była to wejściówka do „przybytku rozkoszy”, jak pretensjonalnie określano to miejsce w niepozornym folderze. Można było nabyć kilka różnych karnetów, na rozmaite usługi, w zależności od potrzeb i zamożności. Niektórzy mieli rabaty, a nawet stały abonament. Jeśli pragnęło się seksu, jakiego dotąd tu nie oferowano, trzeba było z wyprzedzeniem złożyć specjalne zamówienie. Prawie wszystko było dozwolone. W ofercie były nawet zwierzęta, ale tylko jako niemi świadkowie lub wypchane eksponaty. Była też kaplica, w której, miotając przekleństwa pod adresem Boga, zaspokajali się bluźniercy i spowiadały się grzesznice, czekając, aż przystojny ksiądz wyjdzie z konfesjonału i pokaże przed ołtarzem, co potrafi. Nie było jak dotąd żadnej sprawy o obrazę uczuć religijnych. Przestępstwa seksualne w tej dzielnicy właściwie się nie zdarzały. Ich liczba spadła także w całym mieście, bo różni popaprańcy, zdrowo odchyleni od normy, przychodzili tutaj, by się wyszaleć i eksplodować.

Adela musiała polecieć do Paryża. Szybko spakowała torbę i taksówką dojechała bez problemów na lotnisko. W mieście było dziś luźno i cicho, żadnych protestów, gwizdków, trąbek, smrodu palenia opon. Wyjątkowy spokój. Szybka odprawa, nikt nie wyglądał na terrorystę, nie było sygnału o podłożonej bombie. Latała klasą biznesową. Takie było życzenie szefa. Miała sporo miejsca i nie musiała znosić bliskiej obecności sąsiadów.

W Paryżu, dawnej „stolicy cywilizowanego świata”, kraju markiza de Sade zatrzymywała się zawsze w tym samym, pięknie położonym hotelu w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego. Hotel był dobry, ale nowoczesna, wyłożona drewnem winda, pożał się Boże. Trzeszczała jak drzwi starej szafy w domu ciotki. Wspomnienia najczęściej dopadały Adelę w snach, a najdotkliwiej w hotelach. Tam, gdzie była sama ze sobą. Teraz Adela prawie poczuła zapach naftaliny i perfum buchający z wiszących tam od stu lat ciuchów. Czasami jako dziewczynka przebierała się w suknie ciotki. Gdy skończyła dwanaście lat, miała już metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, a więc była wyższa niż ona. Szafę wypełniały ciemne suknie, od szarych przez granatowe do czarnych, których było najwięcej, bo ciotka była w wiecznej żałobie po swoim mężu. Po prawdzie wuj nawet za życia często wyglądał jak martwy. Gdy złożono go do trumny, leżał spokojnie, w czarnym garniturze i białej koszuli, ułożony wygodnie, z rękami złożonymi na piersiach, prawie tak samo jak na kanapie przed telewizorem. Wówczas także milczał, podczas gdy ciotka omawiała pałace sprawy rodzinne. Dla niej wszystko było pałace, ciąża, śmierć, ćpanie pociotków, puszczanie się tej czy owej kuzynki, a nawet menu wigilijne, mimo że od wieków było takie samo. Matka Adeli była jej bliźniaczą siostrą, mogły tak gadać godzinami.

Wuj milcząco przymykał oczy, wydawało się, że drzemie, ożywiał się tylko wtedy, gdy wychodził się pobawić z dziewczynkami w pokoju dziecinnym. Sadzał sobie ukochane córeczki bliźniaczki na kolanach, rżąc jak koń, albo sapiąc, ścisnął je między udami, udając pociąg. Adela była jego ulubienicą, nazywał ją małą rozkoszną kobietką. Pamięta, jak kiedyś, gdy miała może z sześć lat, zeskoczyła z jego kolan i pobiegła do ciotki spiskującej z matką, krzycząc, że wuj ją opluł. Obie kobiety uznały, że dziecko kłamie, bo wuj, jako człowiek niezwykle wprost kulturalny, nigdy przenigdy nie oplułby nikogo. Nie uwierzyły nawet wtedy, gdy pokazała mokrą sukienkę. Był dobrym mężem i ojcem, spędzającym wiele czasu z dziećmi. Oczywiście nie dochodziło do gwałtu, zabawy kończyły się na dotykaniu śliskim paluchem. Gdy umarł, Adela się ucieszyła, że wreszcie będą mogły się bawić normalnie, bez asysty obleśnego wuja, nie

rozumiała łkającej ciotki i kuzynek. Kochały tatusia, był dla nich dobry, pieścił tak przyjemnie i dawał za każdą pieszczotę czekoladkę z galaretką.

Tu, gdzie pracowała, tacy jak wuj mogli zabawiać się z chińskimi laleczkami. Jedna z sal miała charakter pokoiku dziecięcego. Napis na drzwiach głosił, że jest to pokój dziecięcy. Białe-różowe łóżko, białe meble, zasłony w kwiatki, zabawki w kątach, a na ekranie wielkiego ściennego telewizora non stop wyświetlano erotyczne kreskówki. Zwierzątka pieprzyły się na wszelkie sposoby, nie przestrzegając praw zoologii, wielkie dobermany rozsadały swoimi członkami myszy, przekraczając granice gatunków i prawdopodobieństwa. Na kanapce i na łóżeczkach leżały naturalnej wielkości lalki, w krótkich koszulkach lub sukienkach w groszki, w białych podkolanówkach i bucikach z paseczkiem, niektóre z lizakami w małych usteczkach. Chłopcy mieli krótkie spodenki i sznurowane trzewiki w dawnym stylu. Dzieci wykonano w Chinach z taką dbałością, że pewien hydraulik, wezwany do przetkania toalety, zdjął buty i siedł przez sypialnię na palcach, by nie zbudzić śpiącej w łóżeczku małej dziewczynki. Nie wołały „mama”, jak tradycyjne lale, lecz wykrzykiwały sprośne wyrazy. W taki sposób udało się obejść ustawę o zakazie tego rodzaju zabaw z dziećmi. Poprzedni właściciel przemycił kilkoro żywych kukulatków, zresztą za zgodą rodziców pazernych na forszę. Sprawa wypełzała na światło dzienne, nabrała rozgłosu. Dostał wyrok, co prawda, w zawieszeniu, lecz musiał odejść z branży. Nowy właściciel poradził sobie z tym problemem, sprowadzając lalki.

Od niedawna „miłośnicy dzieci” mogli oglądać przy tym filmy z prawdziwymi dziećmi, na które uzyskano pozwolenie. Ostatnio na teren ośrodka weszli (bowiem) badacze, socjologowie i psychologowie, którzy uwijali się, prowadząc szeroko zakrojone eksperymenty. Uważano, że takie usługi skanalizują chore pożądaniami, mówiono nawet o misji ratowania prawdziwych dzieci przed pedofilami, a kobiet przed gwałtami i seryjnymi mordercami.

Kiedy skończyła spotkania, poszła do hotelowej restauracji. Jadła świetną sałatkę marokańską i popijała wino polecone przez właściciela. Wdała się z nim w rozmowę, wiedział o roztrzęsionej windzie, to nie jest niebezpieczne, a ma urok staroci, mówił, gruchając francuskim „er”. To liny trzeszczą, ale proszę mi wierzyć madame, że są mocne!

Firma wymagała od niej nieustających zabiegów o klienta, wysyłania setek maili, sprawdzania stron internetowych, szukania nazwisk kontrahentów na listach dłużników. Odbywała dziesiątki spotkań, manipulowała tak, żeby zdobyć pieniądze, wielkie pieniądze na rozbudowę. Uwodziła sponsorów, była w tym dobra, potrafiła odgrywać osobę, z jaką pragnęła zawierać umowy. „Dawanie ciała”, jak nazywała tego rodzaju zabiegi, męczyło ją jednak i powodowało czasami śmiertelne zmęczenie.

Dobrze, że tu są oddzielne boksy, pomyślała. Zapadła się w miękką kanapę, przy małym stoliku, na pięterku tej hotelowej restauracji. Było w niej więcej kelnerów niż jedzących ostrygi, kiełki, krewetki i inną ekologiczną żywność. Kilka osób z międzynarodowego towarzystwa piło przed albo po orgii, nie wiadomo, bo wszyscy mieli głód w oczach. Widziała mężczyzn zmasakrowanych po kilkunastu aktach, którzy patrzyli na nią z pożądaniem tylko dlatego, że była oddzielona ścianką, kompletnie ubrana i całkowicie nieosiągalna. Kilka kobiet jedzących z apetytem sałatkę z szyjek rakowych lub zmysłowo ogryzających żabie udko lustrowało się wzrokiem. Siebie wzajemnie i Adelę. Na szczęście nie wolno było przysiąść się do nikogo bez wyraźnej zachęty i ustalenia tego przez kelnera. Kelnerzy byli młodymi dorabiającymi ludźmi,

przeważnie studentami lub sportowcami. Musieli wyróżniać się urodą, mieć dobrą budowę, pociągający wygląd. Dobrze ostrzyżeni, z widoczną muskulaturą. Przechodzili szkolenia, uczyli się szybko, niektórzy mieli wrodzony dar podniecania kobiet i mężczyzn. Oni także byli do wzięcia. Zupełnie jak u nas, pomyślała. Już, zaraz. Na miejscu. Widziała dłonie pieszczące się pod stolikami, bose stopy kobiet szukające oznak pożądania siedzących w rozkroku mężczyzn. Pewna kobieta, udając, że coś jej spadło, pochyliła się pod stołem, a wtedy jeden z mężczyzn odrzucił głowę do tyłu. Jego twarz wykrzywił grymas. Te same sztuczki. W Dzielnicy Rozpusty było pod tym względem podobnie. Europa jest jedna, widziałem to z samolotu, ktoś to kiedyś tak ujął. Załatwiła już wszystko, odbyła służbowe spotkania, teraz popijała wino małymi łykami, miało cierpki, trochę żelazisty smak krwi. Kochała takie momenty, jak ten, gdy była sama ze sobą. Przymknęła oczy, rozkoszując się wolnym czasem.

Podczas tamtych pamiętnych wakacji nad morzem, po śmierci ojca, Adela postanowiła dokonać skoku na bank ze sławą i zostać znaną aktorką. Taki sam pomysł miała większość piętnastolatek z jej klasy. Aktorką albo modelką, to się liczyło. Z reklam na ścianach wieżowców gwiazdy oślepiały patrzących białymi zębami, widocznymi w rozchylnych metrowych wargach. Z rozpiętych bluzek wylaniały się wzgórza piersi. To były prawdziwe gwiazdy, świecące mocnym blaskiem setek świateł, to one były przyczyną westchnień, a nie te wiszące gdzieś w górze, zamazane smogiem, ledwo widoczne na miejskim niebie. Gwiazda, zanim stanie się gwiazdą, musi zostać odkryta, wiele z tych mrugających w pogodne noce na czarnym niebie istniało tysiące, miliony lat, zanim ktoś je odkrył i nazwał. Tak długie czekanie nie wchodziło w grę. Trzeba było działać już, teraz. Gwiazdy co pewien czas spadały i gasły. Te, którym nie udało się zdobyć trwałej sławy, lądowały na śmietniku podobnych sobie, upadały coraz niżej, w końcu mogły liczyć co najwyżej na rolę w reklamie środków na przeczyszczenie. Można było z tego żyć, ale niestety, złoty blask zniknął, czar pryskał.

Adela nie zdradzała nikomu swoich zamiarów. Udawała, że to nie dla niej, że jest mądrzejsza, skończy studia, zostanie uczoną. Miała świetne stopnie z przedmiotów ścisłych, była tak przekonująca, że wszyscy jej wierzyli. Zostanie drugą Marią Curie. Wtedy zrozumiała, że już jest aktorką, nie musi studiować, zgrywać się, potrafi okłamać każdego. Stała się wytrawną oszustką. Jednak wkrótce dotarło do niej, że tylko kiepskie aktorstwo polega na oszukiwaniu. Wybitni aktorzy nie oszukują. Nie miała talentu, pieprzona matka miała pieprzoną rację, chociaż nie powinna tak dotkliwie uświadamiać tego młodej dziewczynie, tak jej gnoić.

To był czas krążenia dziewczyn i chłopców wokół siebie. Zakochiwania się. Wpadania na siebie, by stracić głowę. Czas przypadków uznawanych za ingerencję sił wyższych. Adela stale poznawała kogoś nowego, kogoś, kto się w niej zakochiwał. Ona oddawała mu miłość, ćwicząc się w grze. Wyrażane przez nią uczucia były jak prawdziwe, aromat zgodny czy nawet identyczny z naturalnym, jak piszą na olejkach do ciast. Wanilina pachnąca wanilią w tym miłosnym cieście była oszustwem doskonałym. Gdy dochodziło do pocałunków, Adela uciekała, nie cierpiała zapachu z cudzych ust, czyjejś słodkawej śliny, która mieszała się z jej śliną. Języka długiego i twardego poruszającego się w jej ustach, dotykającego podniebienia. Miała ochotę wymiotować. Koleżanki uczyły się całowania z językiem, trenowały ze sobą, podniecało je to, były wilgotne wszędzie, dotykały się, próbowały nawzajem swego smaku, namawiały Adelę, żeby otworzyła usta i zamknęła oczy. To było przygotowanie do późniejszego robienia loda czy laski, jak mówiono. Uczyły się, liżąc lody albo wkładając banana tak głęboko, jak się dało, oczy zachodziły im łzami, krztusiły się, śmiały i przechwalały, że ich chłopak bije banana na głowę.

Próbowała dotykać dziewczyn, głaskać ich duże piersi. Trochę się wstydziła, bo sama miała wtedy małe, z wystającymi brodawkami, jak dzwonki w starych kamienicach. Dała się namówić, próbowanie z dziewczynami było miłsze niż całowanie się z chłopakami, ale też jej nie podniecało.

Wcześniej, gdy miała czternaście lat, w klimacie bliskości, jaki matka mimo wszystko potrafiła wytworzyć, zwierzyła się jej, że zostanie aktorką.

– Nie jesteś piękna, nie masz dobrego głosu, jesteś drewniana – powtarzała matka, jej słowa przypominały uderzenia młotkiem, który miał ostatecznie wybić aktorstwo z głowy Adeli.

– Czy aktorki muszą być piękne? – pytała Adela.

– Muszą mieć w sobie to coś, czego ty nie masz – odpowiadała matka. – Chyba że dostają rolę za coś innego... – Zamilkła, a po chwili dodała, że jak Adela będzie starsza, to się dowie.

Adela uważnie obserwowała aktorki. Spozregła, że są galaretowate. Ich piękno też było przeważnie udawane. Ona wiedziała, że ma to, co trzeba, choć nikt inny tego nie widział. Roztargnione spojrzenia przechodniów nie zatrzymywały się na jej bladej twarzy. Wówczas jeszcze nikt nie oglądał się za nią na ulicy. Wiedziała, że to musi się zmienić, nad tym trzeba pracować. Sądziła wtedy, że cudza uwaga będzie jej zawsze potrzebna. Nauka w szkole szła jej dobrze, jednak zmiana siebie samej nie była prosta. Nie wiedziała, od czego zacząć, jak się gruntownie zmieniać pod czujnym okiem matki. Chciała rozpocząć nowe życie, niezależne, tajemnicze, bujne. Matka nie może się niczego domyślać. Adela musiała więc prowadzić podwójne życie! Tak samo zresztą jak matka, która była kobietą z wybujałym temperamentem. Schorowany mąż już nie mógł jej zaspokoić. Córka wiedziała, co się dzieje w pokoju matki, gdy odurzony morfiną ojciec zasypiał. Drzwi zawsze były uchylone, matka chciała słyszeć, czy chory jej nie woła. Chociaż zduszone jęki, plaskanie ciał zagłuszały wszystko inne. Adela patrzyła i słuchała pełna obrzydzenia. Jednak stała tam dość długo, wstydząc się podsłuchiwania. Chciała wiedzieć, co w tym jest takiego pociągającego, że matka traci głowę. Gdy miała dość, szła do śpiącego taty, siadała na brzegu łóżka i trzymała go za rękę.

Nigdy nie odczuwała takiej bliskości i takiej rozpaczki jak wtedy, gdy dotarło do niej, że on odchodzi. Którejś nocy, z ręką w jej dłoni, zasnął tak mocno, że już się nie obudził. Była przy nim przez wszystkie wieczory. Także wtedy. Zamiast matki. Usłyszała jego ostatni oddech, wydech już bez wdechu, jak westchnienie. Nie udało się go wskrzesić, choć błagała, żeby został jeszcze choć trochę. Od tamtej pory musiała radzić sobie sama, skazana na matkę. I na siebie.

Kto wie, czy nie uwierzyłaby matce gadającej wciąż, że nie jest ani piękna, ani też nie ma „tego czegoś”, gdyby nie pewien człowiek spotkany na plaży podczas tamtych pamiętnych wakacji po śmierci ojca. Był dla niej bardzo ważny, chociaż nie dlatego, że był znany, ale dlatego, że zobaczył w niej to, czego nikt inny nie widział. Nie mogła się opalać, miała bardzo delikatną, białą skórę, jak zwykle rudowłosi, choć bez piegów. Po słońcu pojawiały się na niej czerwone plamy. Kryła się więc w koszu, patrząc na morze, gdy inne dziewczyny skwierczały, obracając się co jakiś czas z brzucha na plecy, potem kolejno na boki. Nagle ktoś zasłonił jej widok. Pochylił się i zajrzał do środka kosza. Stał tak przez dłuższą chwilę, potem ukląkł i objął jej kolana. Udawała, że śpi. Patrzył w jej twarz. Siedziała nieporuszona. Położył się na piasku

u jej stóp. Słońce wchodziło powoli do morza, by wziąć wieczorną kąpiel. Włożył dłoń pomiędzy jej uda. Czas, jak się w takich przypadkach mówi, stanął w miejscu, choć była to przesada, bo plaża opustoszała, morze pociemniało, a na niebie ciemnym jak morze pojawił się księżyc. Przewrócony kosz posłużył za kołyskę. Koleżanki z klasy odchodziły niechętnie, z ociąganiem, odwracały się i patrzyły, jak to się skończy. Wiedziały, kim jest ten niewysoki pan z wydatnym nosem. Światowa sława. Kto by pomyślał: takie nic, ruda Adela, co on w niej widzi... mogła się założyć, że tak mówią.

Panowało powszechne przekonanie, że aktorki muszą przejść przez wiele łóżek: scenarzystów, reżyserów, dramaturgów. Zależy, jaką rolę chciały dostać. Niektóre wychodziły za mąż za takich facetów, za dyrektorów teatrów. W każdym razie każda z dziewcząt była na to gotowa, wiedziała, że by zostać aktorką albo chociaż modelką, żeby się zaczepić w branży, będzie musiała z kimś się bzykać. To głupie, idiotyczne, myślała Adela, jeśli wszystkie się pieprzą, wychodzi na to, że mają równe szanse, a więc decydować musi coś innego. Zresztą aktorstwo przestało ją już interesować.

Usłyszała szept. Gdy zanurzył palce w jej bujnych, rudych włosach, zrozumiała, że może mieć wszystko. Jego zainteresowanie, choć to zbyt mało powiedziane, była to jakaś żarłoczna zachłanność, pomieszana z czułością, z zachwytem nad młodością, czystością i niewinnością Adeli, sprawiło jej wielką satysfakcję. Był o wiele starszy od niej, brzydki i mały. Pokurcz. Nie zwróciłby niczyjej uwagi, gdyby się nie stał „kimś”, jak mówiono o takich ludziach. Starał się hamować, powściągać, ale nie na wiele to się zdało. Nie potrafił.

To, co się działo, przyspieszyło narodziny tożsamości Adeli, zupełnie jakby wyszła z morza, drżąc z chłodu i ze wzruszenia. Leżał na niej oparty na łokciach. Nic nie ważył, był jak unoszące się marzenie tych wszystkich dziewczyn z jej klasy, ze wszystkich szkół na całym świecie. Ikona tych, które zrobiłyby wszystko, żeby na nie spojrzeć, polecił komu trzeba, dał choćby rolę. Targał jej gęste włosy, gładził małe piersi, lekko przygryzał, opadał na nią i wznosił się znów, patrząc w niebo. Nosem muskał brodawki, poznając mapę jej ciała. To trwało i trwało. Czekał na nią, chciał, żeby poczuła to samo co on, w tej ogromnej ciemnej przestrzeni nieba, piasku i morza, jakby to działo się jeszcze przed stworzeniem świata, przed oddzieleniem nieba od wody, przed wyłonieniem się ziemi. Adela tak mniej więcej to pamięta, tak to chyba czuła, choć już wtedy była przyziemną realistką, ale była także młodą, wrażliwą dziewczyną, trochę nieopierzoną świtezianką, z ballady recytowanej na lekcji polskiego.

Nagle kosmiczna magma się rozdzieliła i stała na powrót niebem, piaskiem, wodą, pamięcią słońca i realnym puciołowatym księżycem. Adela się głośno zaśmiała, zacisnęła drobne pięści i uniosła je w stronę nieba. Zrozumiała. Na piasku zostały ciemne, lepkie ślady krwi. Zdjął białą koszulę i otulił nią Adelę. Był wzruszony i przerażony, nawet nie przypuszczał, że to jest możliwe, nie myślał, nie sądził, że ona jest jeszcze...

Z klasy Adeli żadna nie została aktorką. Co ładniejszym udało się podłapać jakiegoś trzeciorzędnego reżyserka, kotłowały się z nim, ale nic więcej z tego nie wynikało. Większość dała sobie spokój, pracują jako nauczycielki, są także dwie lekarki, sprzedawczynie, sprzątaczkę, fryzjerka, jedna została sędzią. W gazetach pojawia się czasami nazwisko którejś z nich, jedna z nauczycielek została wiceministrem, pani doktor dostała nagrodę, a fryzjerka prowadzi popularny salon dla VIP-ów. Na razie nie ma ich w nekrologach, na to jeszcze za wcześnie, są

przecież dopiero przed czterdziestką, jak dotąd tylko jedna zginęła w wypadku. Gdy Adela jeździła na coroczne szkolne spotkania, była na bieżąco. Od kilku lat już się z nimi nie spotyka. Nie znosi pytań, nie ma ochoty odpowiadać, choć mogłaby odegrać wszystko, czego od niej oczekują, czego się spodziewają.

Nie spotkała się już nigdy z tamtym, bardzo jej bliskim mężczyzną. Tego wieczora poszli razem na kolację, mówił o tym, jak teraz się zmieni życie Adeli i jego także. Dokąd pojedą, w co powinna się ubierać, co studiować, jak wyzwolić się spod władzy matki. Bo o tym też rozmawiali. Pojadę do niej z tobą, gdy skończysz wakacje. Kupił jej długą czerwoną różę. Piła wino, ludzie się im przyglądali, co chwilę ktoś podchodził, prosząc go o autograf. A on niecierpliwie gryzmołał swoje znane nazwisko, całował opuszki palców Adeli. Podziwiał dłonie. Oberwała płatki świeżej róży i ułożyła z nich swoje własne tajemnicze, zamknięte terytorium. Potem zebrała je w chusteczkę i schowała do kieszonki.

– Pięknie organizujesz przestrzeń – powiedział. I było to ostatnie zdanie, jakie zapamiętała. Chciał się z nią spotkać nazajutrz. Następnego dnia rano zaniósł do Grand Hotelu przy plaży kopertę, w której były różane płatki. Policzyła je i podzieliła dokładnie. Po połowie. Sprawiedliwie. Na szczęście ich liczba była parzysta. Napisała nazwisko, poprosiła recepcjonistkę, żeby mu przekazała kopertę. Nie żałowała swojej decyzji. Nigdy.

Czyżbym się pomyliła? Czyżbym się aż tak pomyliła? Czy mogła się aż tak mylić, w takiej ważnej sprawie? Ile razy można pytać siebie o to samo? Czy mogła przynajmniej spróbować? Dopiero później zrozumiała, że wiele rzeczy wynikało z jej inności, pulsującej w ciele i w myślach. Najważniejsza była dla niej wolność, która dobijała się, domagała się swoich praw. Niełatwo powiedzieć sobie: tak, jestem inna niż one wszystkie. Chcę czegoś innego niż one. Dziewczyny w szkole chciały mężów, dzieci. Adela nie pragnęła nikogo. Chciała niezależności i ją miała.

Wybrałam samotność czy ona mnie wybrała? – myśli. Nawet jeśli myliłam się kiedyś, teraz powinnam wiedzieć, że ta sprawa jest już zamknięta. Nie ma miejsca na pomyłki. A może jednak, może trzeba było spróbować? Jak to było, no dalej, przypomnij sobie, znajdź klucz, nie leń się, mówi do niej pieprzone superego, jej natrętny psychoanalityk. Superego, nadzorca z batem. Surowy jak matka. Tak, jak matka, bo to ona zaszczepiła w Adeli niepokój, utwierdzała w przekonaniu, że jest do niczego, spowodowała uczuciową chwiejność. Na szczęście tylko do czasu. Do najważniejszego momentu w życiu. Cezura podobna do tej określającej lata przed naszą erą i lata nowej ery. Po powrocie z wakacji Adela wróciła do szkoły. Potem dostała się na studia. Spakowała torbę, wówczas nie od Hermesa, zwykłą wytartą walizę, stary, nikomu niepotrzebny przedmiot, leżący beczynn timer na pawlaczu. Wrzuciła do niej kilka swoich rzeczy i wyjechała z domu, zostawiając matce list z jednym zdaniem: NIGDY DO CIEBIE NIE WRÓCĘ.

A teraz jest w tym mieście, w którym on mieszka. Ma czas, ulice są wieczorem gwarne, pełne ludzi, chodzi się po nich z przyjemnością, jest bezpiecznie. Adela wyszła na spacer. Znała tę ulicę. Nogi same ją tam zaniósł, była w tym mieście wiele razy, lecz nigdy nie szukała tego człowieka, nie czuła tęsknoty. Zobaczyła niewysokiego starszego mężczyznę wychodzącego z bramy pięknej secesyjnej kamienicy. To miasto nie było zburzone, pomyślała ze smutkiem. Zatęskniła za swoim miastem z brzydkimi blokowiskami, za swoją zbudowaną od podstaw

Dzielnicą Rozpusty, za Lolitką. Mężczyzna zbliżał się do niej, miał ufarbowane włosy, ubrany był w dres, sportowe buty. Poruszał się truchtem jak młody biegacz. Biegł za swoją młodością, ciągle jej szukał, gonił, ale młodość była szybsza, umykała przed nim. Miał szczupłą sylwetkę starszego faceta w dobrej kondycji, chociaż ze śmiercią jak z psem przy nodze. Gdy spostrzegł Adelę, zwolnił, zatrzymał się na chwilę, popatrzył na nią uważnie, długo. Tak, to on, ikony są rozpoznawalne, nawet gdy się zestarzeją i przefarbują. Jego twarz nie była zachłanna, żarłoczna jak wtedy. Spokojna twarz sytego, znużonego człowieka, który, jak najbardziej znużona rzeka, dociera powoli do swojego morza. Kto napisał ten wiersz? Kto złożył te piękne słowa: „Nawet najbardziej znużona rzeka dociera w końcu do morza”? Nie pamiętała. Osborne? Wróć i sprawdzę, postanowiła. Na chwilę zapomniała, gdzie jest, kogo widzi.

– Kogoś mi przypominasz, chyba się znamy? – mówił piękną francuszczyzną, z lekkim zaśpiewem.

– Och, ja oczywiście znam pana z fotografii, ale osobiście nigdy się nie zetknęliśmy – odpowiedziała po angielsku, błogosławiąc swój akcent, ale i talent do nauki języków.

Gdyby odpowiedziała po polsku, gdyby przypomniwała morze, piasek, krew... Nie wolno o tym mówić. Nie wolno otwierać drzwi do sejfu z drogocennym obrazem. Niech tam zostanie. Nie musi go sprzedawać. Stać ją na to. Skłoniła się lekko i odeszła. Ogarnęła ją radość, świadomość, że się nie pomyliła. Dokonała właściwego wyboru. On zatrzymał się jeszcze, jakby na coś czekał. Ona przystanęła przy sklepie z eleganckimi ciuchami. Uśmiechnęła się, rue Montaigne, tu jest wszystko, co najlepsze, a przynajmniej kiedyś było, kupiła tu kilka lat temu żakiet u Diora. Teraz już takich rzeczy się nie nosi, pomyślała i nie oglądając się za siebie, poszła dalej.

Wojciech Kuczok MOMENTY

Ma na imię Piotr, nie znosi zdrobnień. Tylko Ewie pozwala się nazywać Pietruszką. Tylko w głosie Ewy słyszy czułość; innych ruga za formy poufałe: „Piotruś” go pomniejsza. Tak mówiła matka, kręcąc głową i załamując ręce, kiedy coś zbroił; ojciec piotrusiował przewencyjnie.

Ewy nigdy w domu nie nazwano Ewunią, ba, nie bardzo potrafi sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek powiedziano do niej „córeczko”.

Piotr lubił być czesany, już od najmłodszych lat to go najbardziej uspokajało. Nikt go już nie czesze; rodzice nie wrócą do domu. Zmarli na raki. Ojciec dużo wcześniej, kilka lat po wyprowadzce, na nowotwór wszystkiego (dowiedzieli się o jego chorobie, kiedy już miał tyle przerzutów, że trudno było określić, co mu dolega najbardziej). Matka nie tak dawno, powiedzmy, że było to przedwczoraj, czyli w minionej dekadzie. Piotr jeszcze całkiem często mierzy się z napadowym płaczem z powodu jej śmierci. Tak, wreszcie umie płakać, nauczył go psycholog.

Piotr już jest dorosły i łysy. Wyłysiał po pogrzebie matki. To trwało parę tygodni; coraz więcej włosów zostawało na grzebieniu, potem wystarczyło je przygładzić – wypadły pod najślabszym pociągnięciem. Dokładnie tak straciła włosy matka po terapii. Lekarz stwierdził, że Piotr wyłysiał na tle nerwowym. Psycholog powiedział, że Piotr nie dopuszcza do siebie żałoby ze strachu przed rozpaczą, więc organizm tak niezdrowo reaguje. Ewa już go nie może czesać, ale codziennie całuje go w głowę, nazywając swoją łysą pietruszką. Ewa jest niższa; żeby dać się pocałować, Piotr musi się pochylić albo uklęknąć. Schylony może zajrzeć Ewie w dekolt; kiedy przykłęka, może przytulić twarz do jej biustu.

Ewa jest domatorką, rzadko miewa gości. Ubiera się swobodnie, w wygodne sukienki, nie używa stanika, nie ma przed kim się wstydzić, jej piersi swobodnie brykają pod luźnym materiałem, kiedy żwawo krząta się po domu. Dom jest duży, roboty dość – w tej rodzinie kobiety nigdy nie zarabiały, utrzymywali je mężczyźni. Ewa nie narzeka, skończyła dwa fakultety po to, żeby dobrze się ze sobą czuć w chwilach wolnych, żeby się ze sobą nie nudzić, żeby wiedzieć, co czytać, czego słuchać i czemu się baczenie przyglądać przed, po i w trakcie krzątania. Ewa nie rozumie, o co tyle hałasu z tym równouprawnieniem – Pietruszka dobrze zarabia i oddaje jej pensję, tak jak tata oddawał mamie.

Mama akurat prawie wcale się nie krzątała; mieli od tego służącą, a kiedy ojciec się wyprowadził z pensją, Ewa przejęła obowiązki gosposi. Ojciec odszedł z miłości do matki, twierdzi Ewa, choć papa nie zdążył się rozmówić z dziećmi, nie wytłumaczył niczego w liście, po prostu któregoś dnia nie wytrzymał. Bez trudu dostał rozwód z orzeczeniem winy małżonki. Zbyt długo się uśmiechał na zawołanie; pewnego dnia zrozumiał, że wymuszony uśmiech zastygł na jego twarzy, że ten sztuczny, sardoniczny przyrósł do niego, choć on sam zapomniał już, kiedy mu było do śmiechu. Ewa akurat pamięta, kiedy ojciec śmiał się po raz ostatni: przez uchylone drzwi pokoju widziała, jak matka prowadzi go z łazienki do sypialni, ciągnąc za sterzącą pałkę jak psa na smyczy.

Piotr też kiedyś widział, jak mama w ten sam sposób ciągnie za sobą dwóch okresowych wujków. Nie było w tym nic szczególnego; kiedy tata wyjeżdżał w ważnych sprawach służbowych, mamę zawsze odwiedzali jacyś panowie. Piotruś wołał wtedy zostać u siebie w pokoju, żeby nie musieć nazywać ich wujkami, wiedział też, że jego obecność mogłaby ich krępować. Raz przecież zdarzyło się, że nieproszony wszedł do sypialni matki i dopiero po dłuższej chwili zdołał wyodrębnić ją w układzie ciał. Wujkowie się zawstydzili, poszli sobie, by już nigdy nie wrócić, a matka poważnie się wściekła. Piotr usłyszał wtedy z jej ust zdanie, które z czasem puchło w nim boleśnie, uwierało go coraz bardziej, przerywało sny, nie pozwalało mu się polubić. Matka powiedziała: „Miało cię nie być!”.

Poza domem należy do niego mówić „panie Piotrze”, sam bardzo tego pilnuje. Najbardziej się zżyma, kiedy komuś się wymknie forma „panie Piotrusiu” – boi się, że w ten sposób wychodzi na jaw jego najskrytsza tajemnica, w mig wychwytuje sarkazm, nie wierzy, że nazwano go tak przez przypadek. Piotr pracuje w dziale przestępstw gospodarczych; w godzinach pracy jego ulubione przymiotniki to „nieprzejednany”, „srogi”, „nieprzekupny”. Ma podwładnych, miewa humory, nigdy nie chadza z kumplami na piwo (raz poszedł, ale kiedy padło pytanie: „Piotrek, a czemu ty ciągle z Ewą mieszkasz?”, po prostu założył kapelusz, płaszcz i wyszedł). Chadza sam, do Babilonu; popołudniami nie ma tam zbyt wielu mężczyzn. Zamawia małe piwo za dwadzieścia złotych, zajmuje miejsce z dobrym widokiem na rurę i odpędza nadgorliwe dziewczęta; nie chce, żeby się dosiadały, chce sobie popatrzeć.

Tańczą tylko dla niego, zmieniają się co piosenkę, wszystkie zdołane w ideał młodych piersi i nogi długie a giętkie. Piotr patrzy, potem dopija piwo i idzie za wybraną tancerką. Znają go, wiedzą, że nie należy do kłopotliwych klientów, nie jest z tych, co to wykorzystują każdą minutę z opłaconej godziny i posuwają je jak automaty, dla kurażu mamrocząc pod nosem przekleństwa. Piotra interesują tylko piersi. Rozbiera się, zwija w kłębek, dziewczyna musi wtedy usiąść na łóżku i podać mu pierś; Piotr ssie. Czasem poprosi, żeby go pogłaskać albo zanucić coś w rodzaju kołysanki bez słów. To jest najlepszy lokal w mieście, szefstwo utrzymuje stałą rotację dziewczyn, żeby znudzona klientela nie wybrała konkurencji. Czasem trafiają tu do pracy karmiące matki; Piotr wtedy pije ich mleko.

Ewa też pozwala mu dotykać piersi, ale Piotr nigdy nie wie, kiedy to nastąpi; nie ma kontroli nad jej zachciankami. Pewne są tylko wycieczki; Ewa bardzo lubi piesze wędrówki, Piotr nigdy nie może za nią nadążyć. Ewa nigdy nie przytyła, zachowała świetną sylwetkę i kondycję, za to Piotr obrósł tłuszczem, dostaje zadyszki, nawet wchodząc po schodach, a co dopiero w górach. Ewa ma swoje sposoby, żeby Piotr trzymał tempo. Dostają mu się górskie premie. Jeśli nie wlecze się zbyt wolno i dogania ją w porę na szlaku, Ewa podnosi koszulkę i pozwala zlizać sobie pot z piersi. Jej piersi są słone. Piersi ładacznic też stają się słone od potu, jeśli wcześniej zatańczą na rurze; Piotr zabrania im się myć, sam też nie korzysta z prysznicy, przychodzi do burdelu czysty, żeby nie tracić czasu na kąpiel (czas to pieniądz, zwłaszcza kiedy płaci się za godzinę trzy stówy).

Podczas odbierania górskiej premii nie wolno mu być nadgorliwym, nie może się zbyt rozochocić, Ewa go wtedy karci: przez kolejne dni, a nawet tygodnie pokazuje mu się zapięta po szyję, w spodniach i koszulkach, nie woła go z wanny, żeby jej umył plecy, nie całuje w łysinę i milczy, podając posiłki. Ale Piotr już się nauczył ukrywać swoje popędy. Wie, że im mniej

emocji okaże, tym więcej może ugrać. Udając, że nie jest podniecony, że mu nie zależy, prowokuje Ewę do tego, by zechciała zboczyć z utartej ścieżki gdzieś w przełajowe ostępy, by rozpiąć mu spodnie i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Ewa wyjmując mu członka i masturbuje go, delikatnie dotykając swoich sutków. Mówi wtedy: „Co to za dyndus, Pietruszka? Już cię nie podniecam?”, a on musi milczeć z godnością, bo wtedy być może Ewa weźmie jego penisa do ust. A kiedy już tak się stanie, nie wolno mu się poruszyć, bo może zostać wypluty. Ewa obciąża mu sprawnie, wkłada go sobie aż po migdałki, sprawdza swoje możliwości, być może kiedyś będzie mogła nimi zaimponować innemu mężczyźnie, tymczasem jednak testuje na Piotrze głębokość swojego gardła. Nigdy nie pozwala mu skończyć, straciłby wtedy siły do dalszej wędrówki.

* * *

Raz przytrafiło się: coś zaszeleściło w trawie, turystka zboczyła na siku. Piotr spuścił się Ewie w usta dokładnie wtedy, kiedy kobieta lunęła w paprocie. Ewa sprawnie połknęła nasienie, ale była śmiertelnie obrażona, przez długi czas musiał sobie sam robić kanapki do pracy. Ewa nie chce wiedzieć o tym, jak Piotr radzi sobie z tymi sprawami poza domem. Domyśla się, że to nieuniknione; nie może mu zabronić spotykania się z innymi kobietami. Sama wie, że pod jednym względem żadna jej nie dorówna: Ewa jest dziewicą.

Po którejś kąpieli, niedługo po feralnej wycieczce, zawołała Piotra do łazienki, stanęła w rozkroku nad wanną, kazała mu się rozebrać i ułożyć pod sobą, a potem trysnęła na niego, mówiąc: „Masz, skoro tak cię to podnieca”. Podnieciło go głównie to, że po raz pierwszy mógł spojrzeć na srom Ewy z takiej perspektywy. Jej mocz pachniał dojrzałymi szparagami.

Matka nadużywała; owszem, miewała lepsze i gorsze okresy, ale zawsze piła. Kiedy piła stanowczo za dużo, miała kaca i całymi dniami nie wychodziła z łóżka, wtedy był z nią spokój, życie rodzinne przebiegało harmonijnie. Za czasów ojca i gosposi dzieciaki nie miały wstępu do sypialni matki, kiedy pomieszkiwał w niej kac; po odejściu ojca to Ewa musiała zadbać o barszczyk, mokre ręczniki i alkaprim. Właśnie po dniach kacowych matka miała szczególną skłonność do popadania w roztkliwienie. Zdarzało się jej wtedy niespodziewanie spojrzeć czulej (to znaczy z czułym krytycyzmem) na Ewę zmywającą podłogę lub wieszającą firanki i spróbować zmyć/rozwiesić lepiej (nigdy się jej to nie udawało, Ewa i tak musiała potem poprawiać, ale matka przy pracach domowych stanowiła niezwykle widok, więc lubiła jej się przyglądać).

Piotr chętnie zostaje w biurze po godzinach, kiedy przychodzą sprzątaczkę; udaje wtedy, że ma sporo roboty, siedzi nad papierami i nalega, by sprzątaczkę sobie nie przeszkadzała, kiedy dotrze do biurka, on się odsunie. Udaje, że przegląda ważne papiery, ale tak naprawdę jest wtedy cały oddany przyjemności; nieważne, czy to starsza, czy młodsza, zgrabna czy grubawa (przychodzą na zmiany). Kiedy kobieta przy nim odkurza/ściera/zmywa, przechodzą go ciarki, włosy na rękach stają dęba, łapie szczękoscisk.

Grubawa lubi stękać, jej oddech wypełnia całe pomieszczenie, co jakiś czas podnosi się, żeby wyprostować kręgosłup, mamrocze wtedy po nosem skargi na los garbaty (gdyby nie Piotr, pewnie śpiewałaby na całe gardło i gadała do siebie). Zgrabna chce być obserwowana, wydaje jej

się, że Piotr kątem oka spoziera na jej nogi i pupę w obcisłych spodniach, jak również półprzezroczystą bluzkę, pod którą, i owszem, wyraźnie widać symetrię jej słusznego biustu. Zgrabna nie może wiedzieć, że biustonosz jest dla Piotra najbardziej asekualnym przedmiotem; nie może wiedzieć, że przyjemność, jaką mu sprawia, nie wynika z jej uwodzicielskiej pozy, lecz z samego aktu sprzątanania. Stara zalatuje starczym potem. Sama na wstępie uchyla okno. W swojej profesji jest bez dwóch zdań bezkonkurencyjna, sprząta dokładnie i cierpliwie, by nie rzec – gorliwie, ściera kurze „miejsce wedle miejsca”, pasek po pasku (dokładnie tak robiła to zawsze Ewa) i byłby Piotr dzięki niej w siódmym niebie fetyszyzmu, gdyby nie starczy smród potu, którego w żaden sposób nie da się zlikwidować.

Młoda jest cicha i nieśmiała, ale bez przerwy ktoś do niej wydzwania na komórkę – a to syn, a to córka, a to mąż. Młoda najwyraźniej jest jedną z tych żonmatek-niezbędek, bo co chwila przerywa sprzątanie i wychodzi z biura tylko po to, żeby za drzwiami powiedzieć, że nie może rozmawiać, bo jest w pracy. Nigdy nie przyjdzie jej do głowy po prostu wyłączyć telefon; mogłaby wszakże wzbudzić podejrzenia, mąż ma nadpobudliwą wyobraźnię. Piotr najbardziej nie lubi tej młodej, nie może się skupić na jej sprzątaniu, to jest jak stosunek przerywany, dlatego na jej zmianach najczęściej wychodzi.

Któregoś dnia wściekł się i wychodząc, trzasnął tę młodą w dupę. Nie żeby w zemście za wszystkie telefony, nie żeby w jakiejś szczególnej intencji, raczej tak za samo istnienie, za tę właśnie cichość/niemrawość/ wierność/uległość/lojalność/bezgrzeszność. Walnął ją z liścia w tyłek, licząc na to, że młoda wreszcie się ocknie, wstanie z podłogi i instynktownie da mu w pysk. Zemdląca z wrażenia. Piotr był poważnie zaniepokojony, że dostała zawału, nagle uświadomił sobie, że takie żonmatki-niezbędkie we wnętrzach swoich domostw potrafią znieść najgorsze tortury, ale poza domem mają odporność ryjówek, serca pękają im ze strachu, jeśli się przy nich głośniej chrząknie. Oto więc omdlała młoda sprzątaczką stała się dla Piotra nie lada kłopotem, Piotr jeszcze nigdy nikogo osobiście nie cucił. Zaczął nią potrząsać, policzkować, skropił ją nawet wodą z wiadra, ale ocknęła się dopiero na dźwięk dzwonka telefonu.

Och, nawet martwa odebrałaby telefon od męża. „Nie mogę gadać, jestem w pracy, wszystko w porządku, zagrzej sobie zupę, zapalki są na prawej półce, grzanki w miseczce na kredensie, wyjąłeś pranie, kochanie, nie, to proszę, wyjmij i wywieś, niedługo przyjdę, no buźka, pa”. Ocknęła się, wstała, przyglądała szmatki i jak gdyby nigdy nic wróciła do roboty. Zwolniła się dopiero po kilku tygodniach, dla niepoznaki, kiedy znalazła rzeczywiście lepiej płatne zajęcie, żeby uniknąć podejrzeń męża. No bo niby z jakiego powodu nagle zwalnia się z tak świetnego miejsca (tak powiedziałby mąż). Czyżby coś się stało, czyżby ktoś ją zaczął molestować, czyżby dała się dotknąć jakiemuś fagasowi, na pewno tak właśnie było, przecież ona nie umie stawiać oporu (tak powiedziałby mąż). Na pewno z tą swoją pokorną minką pozwalała sobie wkładać tam łapy, na pewno ze strachu pozwoliła się wygrzmocić na biurku, bo ma naturę kurwy (tak mówi mąż), tylko jemu udało się ją poskromić, ale widać nie na zawsze, widać nie na długo (tak mówi mąż, kiedy bije).

A zatem Piotrowi najlepiej przy grubawej udaje się cofnąć do czasu, w którym mama sprzątała jego pokój przed świętami i zmywała okna (szybko się zniechęcała). Stawała wtedy na taborecie, opierając jedną nogę o parapet, a Piotr schylał się w poszukiwaniu zaginionego żołnierzyka (z czasem po prostu sturliwał mu się ołówki/pieniążki) i spoglądał w górę, na matczyne poślądki w za dużych majtkach, spod których wyzierała tajemniczo kędzierzawa

ciemność.

Ewa jest niższa, drobniejsza od matki, ma majtki ściśle przylegające do pupy, jej pośladki bardziej się napinają, musi stawać na palcach, żeby sięgnąć karnisza i zmienić firanki.

Od kiedy Piotr pogrzebał matkę/wyłysiał, przyglądanie się sprzątajacej kobiecie zastępuje mu niedostępną przyjemność bycia czesany.

Piotr prowadzi niepewnie; choć już minęło trochę czasu, od kiedy zaczął odróżniać pedał gazu od hamulca i sprzęgła (wcześniej wcale się tym nie interesował, prędzej wygrałby w trzy karty, niż odgadł, który pedał trzeba docisnąć, żeby przyspieszyć). Jeździ nerwowo, często zamyśla się i staje się nieuważny, choć kiedy tylko dojeżdża do pracy, kiedy tylko przekracza gmach urzędu, wkracza w świat swoich ulubionych rzeczowników, takich jak: „rzetelność”, „wiarygodność”, oraz, a jakże, „pewność”. Piotr woli siedzieć obok kierowcy, zwłaszcza jeśli to Ewa. Kiedy jeżdżą na wycieczki, zawsze prowadzi Ewa; jeśli jest w dobrym humorze, pozwala mu pieścić swoje piersi, lubi, kiedy Piotr podnosi jej bluzkę i obnaża biust. Ewa śmieje się wtedy do zaskoczonych kierowców nadjeżdżających z naprzeciwka, to ją podnieca. Czasem prosi Pietruszkę, żeby przytrzymał kierownicę i sama zdejmuje wszystko, co ma na sobie. Dalej prowadzi topless; każe mu mocno pieścić piersi. Kiedy jest w bardzo dobrym humorze, prowadzi jedną ręką, drugą masturbując Piotra. W aucie pozwala mu skończyć, wszak forsowną wędrówkę mają już za sobą.

Piotr jeździ autostradą rzadko, nigdy nie wie, ile trzeba zapłacić w budce; za każdym razem opłata jest wyższa. Rodzice mówili, że starość zaczyna się wtedy, kiedy nie potrafisz zapamiętać, ile lat mają twoje dzieci; czego tylko się nauczysz, to się okazuje nieaktualne. Piotr ma ścisły umysł, radzi sobie z wartościami zmieniającymi się w jednostajnym, logicznym rytmie, z wiekiem dzieci nie miałby problemów, ma za to kłopot z opłatą za przejazd, ta zmienia się arytmicznie i nielogicznie. Piotr mniema, że jest opłatą wyspekulowaną, ma poczucie, że jest okradany i że powinno się tę opłatę oprotestować, ale przecież jeździ tak rzadko, niech inni robią raban; skądinąd inni też myślą o innych, bo przy każdym okienku jest spory ogonek, choć to nie godziny szczytu. Piotr ustawia się, podjeżdża do punktu opłat, sprawdza kwotę, podaje banknot.

Z budki wystaje ręka, odbiera banknot; Piotr widzi dłoń. Kobięcą. Długie palce, ekstrawaganckie tipsy, skóra wypielęgnowana, nabalsamowana, na serdecznym pierścioneckim gustowny i kosztowny. Dłoń znika w budce; Piotr wychyla się, by zobaczyć twarz. Właścicielką dłoni jest kobieta niemłoda. Wiekiem wciąż jeszcze przynależy do świata ludzi, którzy wszystko mają przed sobą, z całą pewnością nie można jej uznać nawet za osobę w wieku średnim, a jednak jest kobietą niemłoda – młodość się jej nie trzyma. Zmęczenie i stres, haracz za codzienność, uczyniły z młodej dziewczyny zmęczoną kobietę o niewyspanych oczach. Na domiar złego nie została obdarowana przez los urodą jednoznaczna, trzeba uczciwie przyznać, że należy do kobiet nieefektywnych, takich twarzy się nie zapamiętuje, zwłaszcza jeśli pracują w budce przy autostradzie. Oddaje Piotrowi resztę – jej dłoń zdaje się należeć do kogo innego; Piotr celowo odbiera monety tak, żeby móc jej dotknąć, delikatnie przesuwając palcami po jej palcach, jakże gładkich, ciepłych, przyjemnych w dotyku. Piotr na chwilę przedłuża kontakt dwóch dłoni; kobieta nie protestuje, Piotr jeszcze raz podnosi wzrok i widzi to, co niemożliwe – najbardziej efektywna dłoń świata należy do najmniej efektywnej kobiety. Już ktoś tam trąbi, trzeba jechać dalej.

Najmniej efektowna kobieta świata uśmiecha się, bo odniosła kolejny tryumf tego dnia, tego tygodnia, tego miesiąca, a zaraz odniesie kolejny i kolejny. Nikt nigdy nie podnosił wzroku z samochodu, dopóki nie zainwestowała kilku swoich wypłat w pielęgnację dłoni, tylko prawej, tej, którą podaje pieniądze, na tę jedną było ją stać. Może kiedyś uzbiera na całą resztę, może zacznie od twarzy – na razie wystarczy jej to, że wreszcie wszyscy bez wyjątku, mężczyźni i kobiety, wręczający jej opłatę za autostradę, podnoszą wzrok i spoglądają na nią z zaciekawieniem. Przestała być automatem do wydawania reszty, teraz jest oglądana przez setki, tysiące oczu, raz za razem. Wierzy, że znajdzie się ktoś, kto raz dotknięty jej dłonią będzie chciał, żeby go dotykała zawsze, i zjedzie za bramką na parking przy stacji, i przyjdzie do niej, zapuka do budki i poprosi o dłoń, a nawet o rękę. A potem będzie ją stać na to, by zadbać o młodość, może nawet będzie musiała znowu pokazywać dowód przy kupowaniu alkoholu w osiedlowym sklepie, ach, gdzie tam, przecież już nie będzie mieszkała na osiedlu, bo ten, kto poprosi ją o dłoń (rękę), zabierze ją ze sobą i nie będzie zmuszał do schodzenia po wódkę w zimne dni, wszystko się zmieni, tymczasem znowu trzeba pobrać opłatę, któż tam siedzi, młody mężczyzna, a jakże, zauważa jej dłoń, podnosi wzrok, by spojrzeć w oczy.

Matka miała delikatne dłonie; Ewa ma spracowane. Piotr ukradkiem przygląda się jej dłoniom, kiedy Ewa smaruje masło na równo ukrojonych pajdach. Makijażu też nie używa, nie kryje kurzych łapek, podoba się sobie, więc podoba się Piotrowi. Ewa jest piękna jak chleb. Zauważa go, prosi, żeby pomógł jej naciągnąć prześcieradła. Jej szarpnięcia są mocne, Piotr nie zawsze umie utrzymać pościel w rękach, uśmiecha się wtedy przepraszająco. Ewa jest od niego silniejsza fizycznie, zawsze potrafiła go rozłożyć na łopatki. Piotr, od kiedy pamięta, marzy o tym, żeby osiąść Ewę, ale wie, że droga do spełnienia jest długa i wymaga cierpliwości; gdyby przyszło mu do głowy wziąć ją siłą, potrafiłaby się obronić. Piotr boi się bólu i porzucenia. Będzie czekał. Będzie robił wszystko, żeby być coraz bliżej.

Piotr parkuje na stacji nieopodal punktu opłat. Idzie do budki, puka.

Najbardziej nieefektowna kobieta świata jest zbyt zawstydzona, żeby ośmielić się podnieść wzrok, czerwieni się tym bardziej, im usilniej Piotr zaprasza ją na kawę. Nie może więc widzieć, że on też spogląda w dół, że patrzy na jej dłoń, reszta go nie interesuje. Kobieta zgadza się; godzinę później zgadza się także na to, by za opłatę równą jej tygodniówce doprowadzić Piotra do wytrysku, oczywiście wyłącznie z użyciem dłoni. Kiedy już siada obok niego w samochodzie i rozpina mu rozporek, zdobywa się na sarkazm, dzięki któremu będzie mogła sobie spojrzeć w oczy. „Wszystko jedno, którą ręką ci to zrobię?”, pyta.

Ewa sprawdza, czy Piotr się porządnie ogolił, gładzi go dłonią wokół ust; Piotr wie, do czego zmierza. Jest czysta, więc jej srom nie ma smaku; język Piotra wytrwale penetruje każdy centymetr intymności, od łechtaczki po ujście pochwy. Czasem zasysa jej wargi, Ewa wtedy mocniej zaciska uda na jego szyi; kiedy dochodzi, Piotr musi wytrzymać żelazny uścisk z nadzieją, że nie zdąży się udusić. Jeśli wytrzyma, chwilę później Ewa go przytuli, ciepłą dłonią opatuli boleśnie stwardniały członek, i sprawi mu ulgę. Nakierowuje go tak, by sperma nie zbryzgała pościeli, wszystko łąduje na jej brzuchu i piersiach – potem przywiera do Piotra i zasypiają w zapachu suszonych grzybów. Kiedyś zdarzyło im się to przed wyjściem do teatru, Ewa w pośpiechu nie zdążyła zmyć z siebie wszystkich śladów po Piotrze – ze śmiechem obierał ją potem w drodze. Zasuszone nasienie schodziło z jej szyi jak spalony słońcem naskórek.

Nauczyli się dbać o pozory; chodzą do kościoła, osobno, a jeśli na tę samą mszę, to w oddaleniu, nie siadają razem w ławce, sprawiają wrażenie wiecznie ze sobą skłóconych. Dzięki temu są bezpieczni. Kościelna szeptanka bez trudu opanowuje miasto; ludzie gadają, że Piotr i Ewa to nieszczęśnicy, nie mogą sobie nikogo znaleźć, mieszkają razem i za to się nienawidzą. Uchodzą za dobrych katolików. Przyjmują komunię, ale nie połykają opłatka – świetnie potrafią przenieść go na suchym podniebieniu do ławki i niby to zasłaniając twarz rękami złożonymi do modlitwy, wyjąć komunikant z ust. Nie są wierzący, ale przesądni – na wszelki wypadek nie wyrzucają opłatków byle gdzie, w domu jest specjalna waza na ciało Chrystusa. U spowiedzi nawet nie muszą szczególnie kłamać – ksiądz lubi szczegóły, Ewa tak długo opowiada mu o nieczystych myślach, że kolejka rośnie, chrząknięcia zniecierpliwionych odbijają się od ścian, trzeba więc odpukać zaocznie resztę grzechów. Ksiądz tylko upewnia się, czy Ewa żyje w poszanowaniu czystości, wystarcza mu gorliwe zapewnienie, że wciąż nie straciła cnoty; Piotra nawet niespecjalnie chce mu się słuchać, wszak ksiądz jest heterykiem (jedynym na probostwie).

Nie wykluczają istnienia Boga, ale są przekonani, że Kościół nie ma z nim nic wspólnego. Ewa nawet sympatyzuje z Jezusem, tym rewolucjonistą o hippisowskiej twarzy; kiedyś w przyływie dobrego humoru wytatuowała sobie na ramieniu Pantokratora. Nie znosi za to wizerunków frasobliwych, a także krucyfiksów, twierdzi, że to perwersyjne okrucieństwo kładzie się cieniem na całym chrześcijaństwie, naznaczonym wiekami sromotnych przemilczeń, lęków i umartwień. Piotr ma mniej czasu na religijne rozterki, wie tylko, że od strony prawnej są zagrożeni, pięć lat więzienia za udowodniony incest byłoby dla Piotra wyrokiem śmierci, pięć lat to byłoby ponad tysiąc osiemset dni i nocy bez kontaktu z Ewą. Piotr kupuje nawet ultraprawicowe szmatławce, czym każdego dnia cieszy oko kioskarki i umacnia ich kamuflaż (w mieście powiadają, że kioskarka wie o ludziach wszystko).

Piotr urodził się osiem lat po Ewie; od kiedy pamięta, zawsze sypiali w jednym łóżku. To ona przytulała go w nocy i odpędzała koszmary – matka bardzo się kochała, nie zawsze z ojcem, zawsze trudno było zasnąć. Piotr i Ewa przytulali się wtedy mocno i dzielili rozpaczą. Piotr, słysząc nasilające się pojękiwania matki, nie mógł zrozumieć, dlaczego miłość przysparza tylu boleści, co takiego jest w zbliżeniu dwojga dorosłych, że muszą tak cierpieć. Piotr słyszał, że matka krzyczy z bólu, który zadaje jej ojciec, ale z jakiejś niezrozumiałej przyczyny ten ból jest konieczny, ta przemoc jest w jakiś sekretny sposób niezbędna do tego, by mama i tata byli razem. Siostra mu wytłumaczyła, że oboje, Piotr i Ewa, z tej właśnie przemocy się zrodzili, że myli się, oceniając jęki matki jako wyraz cierpienia, próbowała go też przekonać, że matka wtedy właśnie czuje największą, niewyobrażalną dla dzieci przyjemność.

Ewa, słuchając niedźwiedzich pomruków ojca, które z minuty na minutę zmierzały ku nutom najwyższym, przypominała sobie wuja Krzysztofa, taternika, z którego opowieści najbardziej zapadła jej w pamięć ta o piorunach na grani Hrubego. Wuj Krzysztof powiedział, że kiedy piorun uderza tuż obok, najpierw słychać dźwięk, który od najniższego tonu przechodzi przez całą skalę i w najwyższym punkcie przeradza się w grzmot. Ojciec był jak piorun; kiedy uprawiał seks z matką, kończył zawsze jako kontratenor wokalizą orgazmu. Ewa wtedy przyciskała do siebie Pietruszkę najmocniej i przysięgała, że brata matce nie odda.

Ewa wie, że póki zachowa cnotę, nic im nie grozi. Jedno badanie wystarczy, by odeprzeć oskarżenie.

Zygmunt Miłoszewski IDEALNY DZIEŃ LATA

Sieciówki to obciach. Nie zrozumcie mnie źle, wszyscy z nich korzystają, nikogo nie osądzam, ale to jednak obciach, a w moim środowisku i – przede wszystkim! – w moim zawodzie, obciach razy milion. To jakby Picasso zamawiał sobie portrety na ulicy, a Mozart słuchał Radia Zet. Po prostu nie wypada. A korzystanie z sieciówek w tym mieście to już nawet nie tyle obciach, ile zbrodnia. Okej, to może nie jest Nowy Jork, ale można popróbować specjałów z wielu stron świata i na pewno ze wszystkich zakątków naszego – jak to się teraz poprawnie mówi – Eurowschodu. „Beropa” przed wyborami mało komu przechodzi przez gardło. Uwierzcie, wiem, co mówię. Chodziłem, próbowałem, jestem na tyle rozpoznawalny, że w wielu miejscach goszczono mnie po królewsku, zgarniano ze stolika kartę i informowano, że menu jest dla plebsu, a na specjalnych gości czekają specjalności zakładu. Zapraszamy szanownego pana do łoży, w pas się kłaniamy uniżenie, może aperitif na koszt firmy, bla, bla, bla.

Brzmi fajnie? Wierzcie mi, tylko pierwsze dziesięć razy. Za jedenastym czujecie się jak spragniony wędrowiec na pustyni, którego chcą karmić diamentami. Z gościnności, a jakże. Wyobraźcie sobie, że wchodzicie do knajpy, chcecie zamówić schabowego, dewolaja czy kielbasę z grilla, a tutaj kelner teatralnie drze kartę i szepce, że suflet z płetwy grzbietowej jesiotra właśnie dochodzi w piwnicy, za chwilę będzie gotowy, proszę za mną, po drodze niech szanowny pan spróbuje koktajlu z pięciu najbardziej zagrożonych wyginięciem roślin i tatarą z misia koala, jednego z trzech ostatnich żyjących. To znaczy teraz są tylko dwa, he, he. Powiecie mu, że macie ochotę na kaszankę i sprajta? No właśnie. To znaczy czasami odmawiałem. Boże, co się wtedy działo. Jak to, nie chce pan spróbować? Ale dlaczego? Jesteśmy bardzo dumni, to nasza chluba, duma i chwała. Pan nie może odmówić! Nie tego, no naprawdę. Panie Antonie... Jak przechodzą na płaczliwe „panie Antonie” to koniec, potem już tylko wściekłość i groźby. Niby menedżerowie, a zachowują się, jakbym odrzucił ich córkę, obraził rodzinę, pamięć przodków sprofanował. Rozumiecie teraz, dlaczego nie chciałem iść do wypróbowanego lokalu? Ani testować jednego z nowych? Zaraz by się zaczęła celebra, bieganie, a potem obrażone miny. Zawsze są obrażone miny.

Dlatego zjechałem z obwodnicy do CockPitu. Miałem słabość do tej najstarszej sieci w Beropie, pasował mi ich konserwatywny charakter i to, że jako jedynym udało im się utrzymać heteroseksualną ofertę skierowaną wyłącznie do mężczyzn. Trzymali się mimo protestów i licznych pozwów o dyskryminację; kilka razy o mało ich nie zamknęli, a działacze niezliczonych mniejszości seksualnych okupowali CockPity regularnie co kilka miesięcy. No i wystrój w stylu XX-wiecznego science fiction. To też nie było bez znaczenia. Boże, stare SF; biedni frajerzy ze swoimi statkami kosmicznymi, sztuczną inteligencją, cybernetyką i bioetyką, rozważający w ponurych powieściach, ile będzie w człowieku człowieka, a ile maszyny. Żaden nie przewidział w swoich pensjonarskich wizjach, że jedynym naprawdę powszechnie stosowanym implantem będzie implant kutasa, żeby wszyscy mogli się pieprzyć do grobowej deski.

Przejechałem pod bramą w kształcie długiego stożka niby-rakiety kosmicznej (jakże subtelne) z napisem „Some like it hot!” i przez chwilę wahałem się, czy nie zaparkować i nie

skorzystać z łoży, ale w końcu podjechałem do okienka drive-thru.

– Czym mogę służyć?

– Wieśqwik B, albo nie, wieśqwik D. – Nagle nabrałem absurdalnej ochoty na kołyszący się cyc.

– W zestawie z dylejem?

– Tak, poproszę.

– W tym tygodniu za dziesięć beuro powiększamy zestaw o grę wstępną lub masaż karku, jeśli pańskie auto jest przystosowane. Jest pan zainteresowany?

Masażem nawet byłem, ale zegar na szybie twierdził, że powinienem być zainteresowany jedynie powrotem do gabinetu. Jak najszybszym.

– Odrobina relaksu za pół ceny. A na dodatek doładujemy kartę stałego klienta podwójną liczbą punktów. Skusi się pan?

– Nie, dziękuję.

– Oczywiście. Należy się osiemdziesiąt dziewięć beuro, proszę zaparkować na miejscu parkingowym dwanaście, zamówienie zostanie zrealizowane w ciągu trzech minut. Dziękujemy i zapraszamy ponownie. Kosmicznego orgazmu!

– Dzięki – burknąłem, ponieważ to ich zawołanie zawsze wydawało mi się głupie i pretensjonalne. Przez lata tak się wkręciłem, że w końcu dostałem jakiejś alergii. „Kosmiczny orgazm” brzmiało jak widelec pocierający widelec albo styropian szorujący po szkle. Nagle zaczynały mnie boleć wszystkie zęby.

Zaparkowałem we właściwym boksie, wbrew sobie myśląc o czekającej w domu pracy, pewnie przez gapienie się na zegar. Wiedziałem już, że czeka na mnie kolejne zlecenie od grubcia Halsmana, który był moim najlepszym klientem, ale którego obsesji szczerze nienawidziłem i niestety, coraz trudniej było mi to ukryć. W ogóle zauważyłem, że nienawiść, pogarda i agresywne znużenie towarzyszyły mi zbyt często, przestałem je zauważać, tak samo jak nie zauważa się koloru własnych oczu albo kształtu nosa. Niepokojące, jak się na zimno zastanowić. Myślałem nawet, czy...

– Pochwalony! – zaświergoliła dziewczyna, otwierając drzwi od strony pasażera.

Skrzywiłem się w myślach. Największą wadą sieciówek było to, że jak już jakiś marketingowy półmózg wpadł na pomysł, który wydawał mu się zabawny, to nie było wyjątków od jego stosowania. Wieśqwiki na przykład zawsze zaczynały się od jakiegoś ludowego powiedzonka. Żenada.

Ale dziewczyna, która weszła do środka razem z firmowym uśmiechem, imieniem Jagna,

skąpą wariacją na temat stroju krakowskiego i zapachem siana (tak, wiem, tak samo autentycznym jak odór lasu w toalecie, ale lepsze to niż olejowo-kurzowy smród miasta) sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Trochę utyta, ale to już był w tej sieci standard. Reklamowali ten produkt jako „dorodne i krzepkie”, a gdzie się znajdzie w dzisiejszych czasach dziewczynę dorodną i krzepką? Mogły być wychudzone albo otluszczone, a te drugie znacznie lepiej symulowały krzepkość. Już chyba wszystkie kabarety to obśmiały. „Wchodzi pilot do kokpitu, a tam już nie ma miejsca” i tak dalej. Uśmiechnąłem się, ustawiłem fotel w pozycji „seks” i pozwoliłem, aby otulił mnie zapach siana, ciepłe fałdy ciała i w końcu jednorazowa lateksowa wkładka dopochwowa. Było przyjemnie.

Próbowałem bawić się trochę jej piersiami, ale odkąd pomyślałem o Halsmanie, ciężko mi było się skoncentrować, czekająca w domu korespondencja lepiła się do myśli jak wata cukrowa i nawet przeszło mi przez głowę, żeby skończyć jak najszybciej. W końcu by się nie obraziła, na tym ta usługa polega, że nikt się nie obraża, co nie? Ale było przyjemnie i kiedy Jagna wzrokiem spytała o dyleja, postanowiłem wykorzystać swoje pół godziny do końca. Pocałowała mnie, rozgryzając jednocześnie kapsułkę, poczułem w ustach znajomy musztardowy smak i kiedy po chwili Jagna przyspieszyła, a ja o mało co jej nie przegoniłem, dylej zadziałał, przedłużając rozkoszną fazę tuż przed „kosmicznym orgazmem” (w ludowych pornostrojach, co to był jednak za bezsens) z mgnienia oka do rozkosznego kwadransu. Brakowało trochę fantazji, brakowało otoczki, brakowało fabularnego tła, brakowało historii, której częścią ten orgazm być powinien – ale i tak było fajnie. Sieciówka, wiadomo.

Jak zwykle myślałem o niej.

Tylko to cholerne D przeszkadzało, jak jakieś ogony normalnie. Co mnie podkuśliło?

Poczta była zawałona listami od grubcia Halsmana. Listami, nagraniami, filmami, brakowało tylko, żeby mi wiadomości zaczął żyłką ryć na czole. Ruchem dłoni przesuwalem kolejne wiadomości po ekranie, coraz szybciej, coraz mniej zainteresowany ich treścią. Przy tej zatytułowanej „WAŻNE”, mimowolnie zwolniłem i przeczytałem nagłówek: „Zaczęła jeść owoce morza (a nigdy ich nie lubiła)”. Zważyłem i wyłączyłem konsolę. Jakie to miało, do diabła, znaczenie, czy Elena zaczęła jeść owoce morza, czy nie? Co ten bogaty kretyń sobie wyobraża? Że niby jak ja mam to uwzględnić? Zbudować scenę w hiszpańskiej knajpie? W akwarium? W sklepie, przy dziale z mrożonkami? Dialog do tego dopisać? Jaki?

„Och, Rolfie, chyba kupię trochę tych mrożonych krewetek”.

„Masz na nie ochotę?”

„Mam na nie straszną ochotę...”

„Jak straszną?”

„Och, nie mów tak, zrobiłam się cała mokra. I teraz mi zimno, bo tak zawiewa od tych mrożonek”.

„Och, pozwól, że cię rozgrzeję, najdroższa, połóż się na tej górze krewetek...”

Normalnie jak w pornosie sprzed stu lat, jeszcze mu to powinienem, kurwa, nagrać na płytę DVD.

Odchyliłem się na krzesło i westchnąłem teatralnie, jak gdyby ktoś mógł mnie usłyszeć. Westchnąłem raz jeszcze i pomyślałem, że marnuję czas. Marnuję czas na rozmyślenia i wyzłośliwiania, a przecież wiedziałem, że i tak to zrobię. Jak zawsze. Nie byłoby mojego życia, nie byłoby tej willi i nie byłoby najważniejszego, gdyby nie grubcio Halsman i jemu podobni. A najgorsze było to, że ta kasta była jak rodzina. Jeśli obrażę Halsmana, jeśli odrzucę zlecenie, dam upust wypełniającej mnie po brzegi pogardzie – to będzie koniec. Koniec zleceń, koniec willi, koniec najważniejszego.

Dlatego wziąłem dwa głębokie oddechy, włączyłem ekspres do kawy i odpaliłem konsolę. Pogrupowałem wiadomości od Halsmana tematycznie i zacząłem robić notatki do nowego veeda, jednocześnie ściągając poszczególne modele z poprzedniego. Opętanemu swoją obsesją grubciowi mogło się wydawać, że Elena codziennie jest inna, w rzeczywistości zmiany były niezauważalne. Nowa bluzka, ciut inna fryzura, kilo w jedną albo drugą stronę. Ot, dobrze utrzymana czterdziestolatka, mogła się podobać, jeśli ktoś lubił lekko obrażone laski, obnoszące się ze swoją kobiecością na granicy wulgarności. Ja nie lubiłem.

Włączyła mi się rutyna i pracowałem systematycznie, jak zwykle zaczynając od spraw najmniej istotnych, i co chwila robiąc krótkie przerwy na uzalanie się nad własnym losem. Nie powinieneś narzekać, opieprzyłem się w końcu po którymś z kolei interludium na wewnętrzną beksę. Przynajmniej nie chce ci się rzygać. To prawda, przynajmniej nie chciało mi się rzygać. To znaczy teraz i tak chciało mi się rzygać mniej niż kiedyś, uodporniłem się. Profesorowie na politechnice ostrzegali, że to najgorsza robota, jak mycie trupów, jak nakładanie makijażu na ofiary wypadków drogowych, że będę miał dość, że to mnie zmieni, że będę się brzydził siebie i innych. Ha, ha, dobre sobie. Dziś wiem, że nie mieli racji. Nie mieli racji, bo uczyli mnie, zanim zrobiłem doktorat i zanim weszła w życie „ustawa o niektórych metodach terapii zaburzeń na tle seksualnym”, po której każda najpodlejsza, najbardziej brudna fantazja mogła stać się rzeczywistością. Tak, dawni profesorowie oszaleliby, gdyby zobaczyli, co dziś wychodzi z mojego veeda. Zwyczajnie oszaleliby, naprawdę wierzę, że by się wyłączyli, że ich wrażliwość by tego nie zniosła. Spotkałem się kiedyś z taką reakcją.

Na tle wszystkiego, czym się zajmowałem w swojej karierze, Halsman był niewinny jak... – zaśmiałem się głośno do własnych myśli, bo w tych czasach nawet nie było wzorca niewinności, do którego można by porównać Halsmana. Samotny śmiech w ogromnym, pustym pomieszczeniu zabrzmiał nieprzyjemnie, demonicznie. Przestałem się śmiać, ale przez chwilę towarzyszyło mi jeszcze echo mojego – jak to zawsze nazywała – małpiego jazgotu. Upiorny dźwięk.

Szaleniec. Szaleniec przy konsoli, w ciemnej, prawie pustej i prawie martwej rezydencji. Znów zachciało mi się śmiać, ale tym razem zduśliłem to w sobie.

I zabrałem się do pracy.

Nie minęła godzina, a model Eleny miałem z grubsza gotowy, złośliwie pogłębiłem jej

kurze łapki przy oczach, niech Halsman wie, że czas mija, może to go wyleczy. Rolfigo przeniosłem z poprzedniego veeda, dziad się nie zmienił ani na jotę od półtora roku. Parę postaci na drugi plan. Dłuższą chwilę zastanawiałem się nad scenerią. Naprawdę kusiły mnie te krewetki w supermarkecie. Ostatni klienci przy kasach, bohaterowie chowają się gdzieś w dziale z ubraniami, czekają, aż wszyscy wyjdą, aż pogasną światła, nieliczni pracownicy kręcą się między regałami, rozkładając towar i zmywając podłogę. A oni przemykają pomiędzy majonezami, ona trzyma szpilki w dłoni. Do krewetek, byleby do krewetek. Taa, kusząca wizja, kampowa taka trochę, jak z pornola świadomego własnej formy, ale jak na Halsmana zbyt groteskowa. Halsman musi mieć realistycznie, zwyczajnie, wiarygodnie. Co oczywiście nie oznacza, że nie mogę się z nim – a raczej nim – zabawić. Wyciągnąłem z odpowiedniego katalogu model orientalnej knajpy przy Barbakanie, tej samej, gdzie grubcio swojego czasu oświadczył się Elenie. I gdzie przyjęła jego oświadczyzny. Zerknąłem na schemat, proste. Postanowiłem, że w ramach żartu, którego nikt nigdy nie zobaczy i nie doceni, dorzucę na każdy stół dodatkową solniczkę. A propos sypania soli w otwarte rany.

Znowu się zaśmiałem jak szaleniec i znowu przestraszyłem samego siebie. Naprawdę, muszę skończyć z tym zwyczajem.

Wakacje dłużyły się niemiłosiernie. Czy można w ogóle tak powiedzieć? Jeśli nie pada? Jeśli za towarzystwo mamy jedynie ukochanego mężczyznę? Jeśli światem przedstawionym nie jest szare, przerośnięte, gargantuiczne miasto, które dawno zatraciło wszelkie cechy ludzkiej siedziby? Jeśli z tarasu domu na skarpie widać jezioro, małą wyspę i wieżę kościoła na wsi po drugiej stronie? Jeśli zamiast wiatru słyszać rytmiczny jęk sprężyn trampoliny? Który półtorej godziny temu, kiedy zaczynały zabawę, był wesołym skrzypieniem i symbolem dziecięcego nieokielznania. Aż zamienił się w torturę i symbol dziecięcej okupacji.

Westchnęła i odłożyła książkę.

– Nie chcecie iść nad jezioro? – krzyknęła w stronę ogrodu.

Skrzypienie ustało.

– Chcemy!

– Ja z nimi nie pójdę, dopóki nie skończę z tą poręczą!

Tak, to by było na tyle, jeśli chodzi o ukochanego mężczyznę. Westchnęła teatralnie, żeby usłyszeli ją absolutnie wszyscy, z sąsiadami włącznie.

– Poskaczcie sobie jeszcze trochę, jak tata skończy, to pójdziemy.

Ostatniego słowa nikt nie usłyszał, dźwięki zginęły, pokonane przez jęklive skrzypienie.

Wakacje dłużyły się niemiłosiernie. Czy można w ogóle tak powiedzieć? Spojrzała w niebo. Nawet nie padało. Kolejny idealny dzień idealnego lata.

[conv.add.p1ELENA.p2ROLF]

p1 „Nie rozumiem, o co ci chodzi”.

p2 „O to, że jemy kolację w miejscu, gdzie zaczął się twój szczęśliwy związek. Poprzedni szczęśliwy związek”.

p1 „Mają tu najlepsze krewetki w mieście”.

p2 „Nie lubisz owoców morza”.

p1 „Morza tak, a morza nie. Nie mów mi, co lubię”.

p2 „Nie mówię. Dziwię się”.

p1 „Znałam takiego, co się dziwił. Śmieszne, w tej samej knajpie go widywałam. Myślisz, że to jakiś lokal zdziwionych i zaskoczonych?”

p2 „Bardzo zabawne”.

p1 „Spytaj. Może dostaniesz rabat”.

p2 „Spadaj”.

p1 „Czekaj, ja się spytam. Też się wczoraj zdziwiłam. Bardzo się zdziwiłam, kiedy zadzwoniła Jola, że cię widzi na kawie. Zdziwiłam się, bo przecież minutę wcześniej dzwoniłeś, że pracujecie nad nowym kominem do przetwórnicy na Rugii...”

Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Zawód Rolfa, czule zwanego przez wszystkich Rolfim, był tak absurdalny, że siadała mi wena za każdym razem, kiedy musiałem się jakoś do niego odnieść. Tak, to nie żart. Rolfi naprawdę pracował w firmie budującej i serwisującej kominy, a w tejże firmie miał wąską działkę: kominy do przetwórnicy ryb. Nie pytajcie mnie, czym się różni komin przetwórnicy ryb od komina rzeźni. I nie pytajcie mnie, dlaczego ustawiona laska, żona jednego z najbogatszych Beropejczyków – która na dodatek nie cierpi owoców morza – zostawia męża dla faceta, który cały czas siedzi nad morzem, buduje kominy i wpierdziela ryby trzy razy dziennie. Naprawdę, nie pytajcie.

Rozumiem, że Halsman też nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie i nie dowierzał, gdy przysłała kartkę z Kołobrzegu, że nie ma już żadnego „my”, na razie, smutny baranie. Tylko nie rozumiem, dlaczego się po głupiej dupie nie otrząsnął i nie znalazł modelu młodszego o piętnaście lat, który piecze golonkę i ciasto z wiśniami jednocześnie w jednym piekarniku, wolną ręką zapinając pas do pończoch. Zapytałem go kiedyś, nie myślcie sobie. Kręcił trochę, w końcu powiedział, że go podnieca. Naprawdę, nie żartuję. W świecie qwikishopów i veedów, gdzie każdy może zrealizować dowolną fantazję, de facto sypiając z każdym i ze wszystkim, jego podnieca jedynie przechodząca laska, z którą spędził dekadę. Było to w pewien sposób rozczulające.

Żeby on chciał z nią tylko sypiać, jeszcze pół biedy. Nie, on musiał być zawsze

elementem fabuły, jakiejś skomplikowanej konfiguracji ze swoją byłą w najbardziej aktualnej postaci. Opłacał ludzi, żeby codziennie dostarczali mu jej zdjęcia i filmy w nowych ciuchach, nowych fryzurach, nowej biżuterii (akurat ta się nie zmieniała, rozumiecie, kominy w przetwórnicy to nie jest superdochodowy biznes). Dostarczał mi je i zamawiał veedy, z których byłem najbardziej znany. Obszerne, fabularne, idealnie naśladowujące rzeczywistość. Zależało mu na codzienności Eleny, na wiarygodności takiego zwyczajnego życia, do tego stopnia, że sam seks zdawał się czasami tylko dodatkiem. Miewałem wrażenie, że grubcio Halsman dodaje fantazje erotyczne z konieczności, bo wie, że w końcu o to chodzi w veedach. Poza tym miałem swoją, dość plugawą w istocie, renomę specjalisty od urzeczywistniania wszystkiego. Głupio byłoby tego nie wykorzystać, co nie? I tak siedziałem w Halsmanie i Elenie od lat. Elena i jej najlepsza przyjaciółka. Elena i przygoda w delegacji. Elena i pierwszy dzień w nowej pracy. Elena na zakupach. Elena na randce z Rolfem. Elena na romantycznym wyjeździe. Elena choruje. Elena się kąpie. Elena się ubiera. Albo tak jak teraz – Elena kłóci się z Rolfem w mitycznej knajpie jej i Halsmana. Kłóci się, kłóci, ale spokojnie, Halsman, pomyślałem, w tym samym veedzie się pogodzą. Szybko, gwałtownie, wygłodniałe. Najpierw w nieczynnej latem szatni. Potem na parkingu. W samochodzie. I w domu, kiedy przeżyje coś tak intensywnego, jak nigdy wcześniej. Ba, nie przypuszczała, że takie doznanie istnieje. Będiesz miał karę za swoją szajbę, smutny baranie.

Szukałem w katalogu odpowiednio nastrojowego wyposażenia szatni, kiedy gwałtownie rozpiął się alarm. Już? Późno, cholera. Przeciągnąłem się tak, że usłyszałem trzaski w ścięgnach i poszedłem przygotować kąpiel. W moim życiu rytuały to podstawa.

Co za koszmarny dźwięk. Nie dałoby rady tego jakoś naoliwić? Nasmarować? Westchnęła i odłożyła książkę.

– Nie chcecie się wykąpać? – krzyknęła w stronę ogrodu.

Skrzypienie ustalo.

– Chcemy!

– Ja z nimi nie pójdę, dopóki nie skończę z tą bramą do garażu!

Nieużyty jak każdy chłop. Weźmie śrubokręt i myśli, że jest zwolniony ze wszystkiego. Poszłaby z nimi sama, ale słońce rozleniwilo ją niemilosierdzie. Co za dzień.

* * *

Wracając do konsoli, pamiętałem, żeby sprawdzić certyfikat Halsmana. Oczywiście był, ale musiał zostać ślad, że sprawdziłem, prawo nie pozwalało mi założyć, że jest. Prawo, dobre sobie. Żadne restrykcje nie były tak często obchodzone, jak te dotyczące tworzenia i użytkowania veedów. Na przykład nie wolno było tworzyć veedów z prawdziwymi osobami, dziećmi, zwierzętami, lista wykluczeń zawierała szereg pozycji, dotyczących głównie spraw religijnych i rasowych. Chyba że. No właśnie, w każdym prawie jest jakieś „chyba że”. W przypadku Halsmana wystarczyło zaświadczenie od biegłego seksuologa, stwierdzające, że veedy z byłą

żoną są mu niezbędne, aby przepracować rozstanie. Słyszycie, jak to brzmi? No właśnie, jak niewyobrażalne pierdu-pierdu, dostępne od ręki za stosowną sumkę. Potrzebna też była zgoda Eleny i Rolfy na wykorzystanie wizerunku. Negocjacje chwilę trwały, ale Halsmana stać, a oni, rozumiecie, kominy w przetwórnich rybnych. Zgoda kosztowała go podobno pozostawienie byłej żonie nadmorskiej daczki. Wiele veedów w niej wyreżyserowałem.

Nie chciało mi się wracać do rozmowy przy stole, więc skończyłem szatnię. Wydała mi się nadto sterylna, brakowało w niej czegoś ekstra, jakiegoś gadżetu, najlepiej o potencjalnym zastosowaniu erotycznym, albo przynajmniej podprogowym charakterze, delikatne symbole są w veedach szalenie istotne, kluczowe czasami. W końcu dodałem wielki, stary wieszak, którego wygięte ramiona, wypolerowane na lśniąco przez tysiące płaszczy i szalików, wyglądały jak pęczek drewnianych kutasów. To znaczy wyglądały tak dla kogoś, komu tylko jedno w głowie. A czy kto inny sięgał po veedy? No właśnie.

Żenujące, czasami miałem wrażenie, że moja praca polega na tym, żeby zobaczyć drugorzędne cechy płciowe w najbardziej codziennych i niewinnych przedmiotach.

Dzwonek. Odruchowo odebrałem połączenie. Niestety. Zmęczenie.

– Nie – powiedziałem.

– Proszę posłuchać, to wyjątkowa sytuacja...

– Nie. Dobrze pan wie, że zrobiłem więcej niż ktokolwiek inny. Po tym wszystkim dzwonię do mnie to coś więcej niż nieprzyzwoitość. Bardzo proszę uszanować moją decyzję. Zwłaszcza że są inni, w większości zresztą wyszkoleni przeze mnie.

– Tak, wiem, ale ówczesny rezultat... nigdy później... a jesteśmy teraz pod ścianą, na pewno pan czytał, pomyśleliśmy...

– Źle pomyśleliście. Do widzenia.

Zerwałem połączenie i zablokowałem rozmowy. Mdlilo mnie. Sam widok tego faceta i jego cielejącej mordy, przeproszające brzmienie wysokiego głosu, wystarczyły, żeby żółć podeszła mi do gardła. Wstałem. Musiałem postać kilka minut w oknie, żeby się uspokoić.

Jeśli bogowie chcą nas ukarać, wysłuchują naszych modlitw. Tak się mówi, prawda? Moich wysłuchali na politechnice, kiedy wszystko było jeszcze niewinne, ot, zabawa jak gry komputerowe, może trochę bardziej usankcjonowana, bo jednak było już kilka lat po badaniach Borishki. W tym czasie jego eksperymenty zostały wielokrotnie z sukcesem powtórzone i udowodniono bez wątpliwości, że stary satyr, z którego naukowy świat wyśmiewał się przez dziesięciolecia, miał rację. Istniał bezpośredni związek między pornografią a prowadzącymi do przemocy zaburzeniami seksualnymi. Związek zupełnie inny, niż wszyscy do tej pory wierzyli. W świecie wszechobecnej erotyki, dziwnych klubów, prostytucyjnego podziemia, handlu żywym towarem, coraz częstszych i dziwniejszych przestępstw na tle – taka wiadomość była wstrząsająca. Udowodniono, że obcowanie z pornografią zmniejsza napięcie seksualne, a tym samym skłonność do przemocy, agresji i poszukiwania wrażeń. Szokująca teoria okazała się

prawdziwa: powszechnie pornografia była lekiem na zło świata. Mówcie co chcecie, to zamierzchła historia, ale ja zawsze będę zdania, że obłąkańcza kasa pornobiznesu nie była bez znaczenia i bez niej ta teoria nie stałaby się tak szybko obowiązująca. Powstały departamenty pornografii w ministerstwach zdrowia, potem osobne ministerstwa. Rządy „dla kontroli i bezpieczeństwa” upaństwowiły przemysł erotyczny, tworząc najbardziej dochodową w większości krajów, obok alkoholu i papierosów, dziedzinę narodowej gospodarki.

Pornografia stała się oficjalnie doktryną zachodniej cywilizacji. Obok fast foodów pojawiły się qwikishopy, dziwki stały się celebrytkami (że niby jakaś odmiana, he, he), a opatentowanie veedów doprowadziło do tego, że w ciągu kilku lat powstała nowa dziedzina rozrywki, na pograniczu informatyki, farmaceutyki i show-biznesu. Wtedy już byłem na studiach doktoranckich. Młody zdolny. Młody geniusz. Inżynier marzeń. Demiurg mokrych snów. Władca fantazji. Ta, różnie mnie nazywali.

I wtedy po raz pierwszy pojawił się Cielęca Morda, facet był wtedy młodszy – jak i ja – o dwadzieścia lat. Urzędniczna ze swoim planem naprawy świata. Z ogromnymi funduszami, ze sponsorami, którzy ukradli już tyle, że chcieli teraz sfinansować jakąś zmianę. Potrzebny im był tylko młody zdolny naukowiec, chcący dokonać tej zmiany. Z wielkimi planami i marzeniami, spragniony rewolucji, ale potrzebujący też kasy na codzienne, rozkręcające się życie. Na dom, na młodą żonę, na planowaną gromadkę dzieci, które przecież powinny bawić się w ogrodzie, a nie w trującym piekle, w jakie zamieniły się wszystkie miasta. Kasa była ogromna. Więc się zgodziłem, chociaż Cielęca Morda mi się nie podobał. Nigdy nie przeszliśmy na ty.

Moja willa była zbudowana na niewielkim sztucznym wzgórzu, które usypano, żeby bogacze mieli z okien ładny widok. Patrzyłem na rozciągające się poniżej miasto i pomyślałem, że bardzo go nie lubię. O tej porze nocy było sięgającym po horyzont morzem ciemnobursztynowych świateł, każdy z tych świetlnych punktów oznaczał człowieka, może kilku. Co robią? Pieprzą się albo chcą się pieprzyć, albo wyobrażają sobie, że się pieprzą, albo maszyna wyobraża sobie za nich, że się pieprzą. Kwintesencja ludzkości. Rzygać się chce.

Spojrzałem niechętnie na konsolę.

Veedy tworzone dla grubcia Halsmana były trudne z jednego powodu – był jedynie obserwatorem, nigdy uczestnikiem. Naprawdę. Dlatego brałem od niego taką kasę i dlatego on mi ją chętnie płacił – bo nikt inny by mu tego nie zrobił. Omamieni marketingowymi bzdetami użytkownicy zwykle nie zdawali sobie z tego sprawy, ale sekret veeda tkwił nie w jego elektronicznych bebechach, tylko w różnych śmiesznych ludzkich gruczołach, wydzielających różne śmieszne hormony. Technicznie to rodzaj wcale nieskomplikowanej wirtualnej rzeczywistości. Okulary z ekranami 3D, słuchawki, odoromat, w droższej wersji kombinezon sensoryczny, w tańszej – rękawiczki i pubicator. Obudowane w bełkoty, że niby kosmiczna technologia, ale tak naprawdę chodziło o hormony. Pobudzenie seksualne powoduje wzrost poziomu dopaminy i serotoniny, które wygładzają obraz świata, sprawiają, że wszystko wydaje się bardziej atrakcyjne, bardziej prawdziwe, bardziej godne uwagi. I – co odkryli autorzy patentu na Virtual Erotic Electronic Device – zawiesza niewiarę. Gdybyśmy na tym samym sprzęcie oglądali film o architekturze renesansowej, byłby to film o architekturze renesansowej. A film erotyczny zamienia się w rzeczywistość. Oszukany hormonami mózg wariuje i veed z realistycznej animacji zamienia się w rodzaj halucynacji, narkotykowego tripu. Ale dotyczy to

tylko i wyłącznie erotyki.

Co ciekawe, w pewnej chwili nafaszerowany własnymi narkotykami mózg przejmuje kontrolę i veed nie jest już ani filmem, ani sztucznym światem, jest raczej rodzajem podpowiedzi, z których korzysta umysł, żeby stworzyć własną wizję. Z doświadczeń wynikało, że dla odbiorców ten sam veed mógł wyglądać za każdym razem inaczej. Różnice były drobne, ale były.

Dlatego veedy dla Halsmana były trudne. Po pierwsze, jako obserwator, a nie uczestnik gry zmierzającej do zbliżenia, był znacznie bardziej krytyczny i wyczulony na błędy, których inni, opętani żądzą, nawet by nie zauważyli. Po drugie, chcąc przedłużyć iluzję, trzeba było utrzymywać go w stanie ciągłego napięcia seksualnego za pomocą nieoczywistych gestów, symboli, skojarzeń, żeby pobudzać układ limbiczny i zachęcać go do wyprodukowaniu paru kropelek „hormonu szczęścia”. Było to trudne, ale nie niewykonalne. Emocje i hormony można pobudzać na wiele sposobów, są na ten temat teorie, są pewne doświadczenia – sam je przeprowadzam – które pozwalają przypuszczać, że odbiorcę da się wprowadzić w trans nie tylko za pomocą erotyki. Problem jest z finansowaniem. Nikt nie wyłożył kasy na badania nad, na przykład, pejzażowymi odpowiednikami veedów, skoro seks oznacza bimbaliiony zysków ot tak, na pstryknięcie palcami.

Cielęca Morda przyszedł do mnie wtedy z ułamkiem tych bimbaliionów. I z planem. Planem wyeliminowania przestępczości seksualnej. Takiej prawdziwej, jak za dawnych lat, brudnej i przerażającej. Specjalny program zakładał stworzenie veedów, które kanalizowałyby popęd jednostek zaburzonych i stopniowo wyprowadzały je w sfery normalności. Przestępcy mieli dostać do wyboru: eksperymentalna veedoterapia, oddział zamknięty albo więzienie. Było o tym głośno. Bardzo głośno. I gdyby się nie udało, ukrzyżowaliby nas za to, co wyszło z mojej konsoli i co zapewne było najbardziej obrzydliwymi pornolami w dziejach ludzkości. Ale się udało. Ale był sukces. Sława. Pieniądze.

I nawet jakimś cudem udało mi się pozostać przy zdrowych zmysłach. Bo wtedy miałem Ewę.

Ewy już nie było, kiedy Cielęca Morda znowu się odezwał. Z jeszcze bardziej chorym i odrażającym pomysłem. Ale bez Ewy było mi wszystko jedno. Zgodziłem się. Złamany, nieobecny, w depresji, balansujący na krawędzi samobójstwa, zgodziłem się na wszystko.

Poszukiwali kogoś. Mniejsza o szczegóły, nazwijmy go Hannibalem Lecterem przestępstw seksualnych. Wyobraźcie sobie najgorsze, co możecie sobie wyobrazić, pomnóżcie przez sto i podnieście do trzeciej potęgi. I ciągle będziecie daleko. Gość zdecydowanie nie miał zamiaru zgłosić się na żadną terapię, szalał sobie w najlepsze na Śląsku, bezczelny i nieuchwytny. Zapytajcie mnie, czy byłby taki bez tego świata, bez tego wszystkiego, bez seksu dostępnego na każdym rogu rzekomo w celach terapeutycznych. Odpowiem: wątpię. Bardzo wątpię.

Ale był. I działał. I robił rzeczy straszne. Cielęca Morda wpadł więc na odrażający pomysł: wyreżyserować veeda na podstawie jego zbrodni, pokazać dobremu profilerowi i sprawdzić, czy na podstawie tych przeżyć stworzy lepszy portret psychologiczny.

Nie zrobił. Zwariował. Do dziś robi pod siebie w zakładzie gdzieś pod Monachium. To właśnie ten przypadek, o którym wspominałem.

Wtedy Cielęca Morda wyciągnął plan B. Powinien raczej nazywać się H jak chory albo S jak superpobjebany. Plan B zakładał pokazanie veeda jakiemuś okiełznanemu i zresocjalizowanemu zwyrodnialcowi w nadziei, że chory umysł lepiej zrozumie chory umysł i po takim seansie nasz oswojony zboczek będzie w stanie coś opowiedzieć o koledze po fachu. Głupie, ale w sumie czym ryzykowaliśmy? Morda sam jest moim zdaniem zaburzony, ja nie czułem nic i było mi wszystko jedno, zwyrodnialca, sterapeutyzowanego czy nie, i tak wszyscy mieli w dupie.

Spróbowaliśmy.

Nie było lekko. Musiałem odtworzyć nie jedną, ale kilka zbrodni. Tym razem nie pytajcie. Gdzieś czytałem, że ludzie, którzy przeszli przez Auschwitz, nigdy nie chcieli o tym opowiadać. Ja też nie chcę. Nie chcę wracać do tych wspomnień, nie chcę sobie przypominać i wyobrażać. Ale zrobiłem to. Bo wierzyłem, że działam w słusznej sprawie. Ale też trochę dlatego, żeby pokazać, że mogę i potrafię.

I udało się. Naprawdę. Razem z Mordą dowiedzieliśmy się tyle, że go znaleźli. Zwyrodnialec powiedział, jak tamten mieszka, gdzie pracuje, co robi w wolnym czasie (poza, no, wiadomo), co lubi i czego nie lubi. Dwa tygodnie i nasz Hannibal Erector był za kratkami.

Wielki sukces. Opinia publiczna nigdy nie poznała szczegółów. Bez względu na cel, bez względu na fakt, że przecież to tylko fikcja, że veedy to kreacja – nie wybaczyliby nam. Rozumiem. Sam sobie nie wybaczyłem. Ale są ludzie, którzy się dowiedzieli. I którym to nie przeszkadza. I którzy płacą mi mnóstwo pieniędzy, żebym tworzył im, nazwijmy to, bardzo niecodzienne przygody.

Cóż robić. Ja naprawdę bardzo, ale to bardzo potrzebuję pieniędzy.

Znowu pikanie. Szlag by trafił taki wieczór, miałem pracować, a gówno zrobiłem. Może później. Teraz czas na wieczorne przewijanie i mycie zębów. Teoretycznie mogłaby to robić opiekunka Ewy, ale uparłem się, żeby niektóre czynności wykonywać samemu. Codziennie, bez wyjątków. Zablokowałem konsolę i poszedłem do pokoju śpiącej królowny. Spała w swojej „szklanej trumnie”, tak naprawdę specjalnym pojemniku z tworzywa sztucznego, który utrzymywał optymalne warunki i pozwalał Ewie trwać w sposób – chyba – dość komfortowy. System zapobiegających odleżynom pasów sprawiał wrażenie, że lewituje w swojej kapsule. Włosy, których nie pozwalałem obciąć, wisiały i falowały pod wpływem wymuszonej cyrkulacji powietrza. Nauczyłem się czerpać ukojenie z tego widoku.

Tak, wiem, chcecie mnie spytać, co się stało. Otóż nie, nie padła ofiarą szalonego psychopaty, jakiegoś maniaka seksualnego, nic takiego fabularnego, co by tutaj budowało ładną kłamrę. Maniacy seksualni siedzą dziś w domach podczepieni do veeda i płacą grzecznie akcyzę za korzystanie z państwowej pornografii. Nie ściągają już cudzych żon w ciemnych zaułkach. Nie, Ewa zakrzuszyła się tofu. Tofu, rozumiecie? Zawsze uważałem, że pieprzony wegetarianizm jest

szkodliwy, a to był ostateczny, koronny dowód.

Zakrzuszyła się, a zanim przyjechali, mózg za długo był pozbawiony tlenu, śpiączka, historia dość standardowa. Banalna wręcz. Stać mnie na wydawanie fortuny, żeby ją trzymać w tej szklanej trumnie, to trzymam, sam nie wiem, dlaczego. Oczywiście mamie siebie, że zawsze jest nadzieja, zgromadziłem informacje o wszystkich przypadkach, kiedy chorym mózg się regenerował i budzili się po dwudziestu latach. Ale nie jestem głupi. Wiem, że nie ma szans. I że miliony ludzi na świecie czytają codziennie te same wycinki, licząc na cud. Ale nie każdego stać na szklaną trumnę, ha!

Wyszczotkowałem Ewie włosy, umyłem zęby, przewinałem. Staralem się, żeby te czynności nie były automatyczne, żeby znaczyły. Dlatego zawsze myślałem o tym, co robię, mówiłem jej o tym i opowiadałem, czym zajmowałem się przez cały dzień. Oczywiście zmyślałem. Są rzeczy, o których nie opowiada się żonie w śpiączce. Na przykład, że przez kilka godzin tworzyło się piętrową, wielowatkową fantazję erotyczną dla klienta, który ma nie po kolei i który nie może usnąć, dopóki nie zobaczy, jak jego była żona przeżywa orgazm w szatni knajpy z owocami morza.

Czy różniłem się od Halsmana? On, który trzyma nieobecną żonę w veedach, udając, że ciągle jest przy nim. Nawet jeśli „przy nim” ma oznaczać coś tak brudnego i skarłałego. I ja, który trzymam nieobecną żonę w szklanej trumnie. Zmuszając ją do wegetacji, udając, że cały czas jest przy mnie.

Oczywiście jest nadzieja. Właściwie nie powinienem tego mówić, żeby nie zapeszyć, ale co tam. Ludziom w śpiączce mózg czasami się regeneruje, wspominałem, prawda? To znaczy nie tyle regeneruje, ile deleguje zadania w inne rejony, mniejsza o szczegóły. Ale do tej regeneracji potrzebuje bodźców. Impulsów. Jakiegokolwiek aktywności, która zmusiłaby go do szukania rozwiązań. Rozumiecie już, prawda? Połowa fortuny idzie na trumnę, a połowa na doskonalenie konsoli, na coraz lepsze, coraz bardziej realistyczne veedy dla Ewy. Nie, nie zwariowałem. Nie karmię jej żadnymi fantazjami erotycznymi. Przeciwnie, pokazuję jej, jak mogłoby wyglądać nasze życie, jakie mogłoby być wspaniałe, jakie spokojne, jakie idealne. Tworzę zwyczajne dni. Z małymi radościami i małymi smutkami, ze szczęściem dzielonym na dwa. Bo przecież nie ma innego szczęścia, prawda? Pokazuję, ile tu na nią czeka wspaniałych chwil. Wystarczy, że się obudzi.

Wakacje dłużyły się niemiłosiernie. Czy można w ogóle tak powiedzieć? Myśl wydała jej się niewłaściwa i roześmiała się nagle do siebie. Zasłoniła komicznie usta, ale szum wiertarki i jęk sprężyn od trampoliny skutecznie zagłuszył jej chichot. O Boże, co za dzień, tak piękny, że aż nieprawdopodobny. Czula się trochę tak, jakby za długo spała i zmęczyła się swoim snem. Śmieszna myśl. Może powinna wydrzeć się w niebogłosość? Może uszczypnąć? Zwlec się w końcu z leżaka i włożyć głowę pod zimną wodę? Zabawne. Ale nawet jeśli śpi – głupio się obudzić z takiego dnia. Nie mogła sobie wyobrazić lepszego, bardziej niż ten idealnego dnia lata.

Grażyna Plebanek

WWW.FUCKCLUB.COM

1.

– Tylko bigos!

Emilia poderwała głowę. Siedząca naprzeciw niej Buka miała wdzięk fortecy, który działał na mężczyzn podświadomie pragnących zdobyć sąsiadkę z wałkiem. W jej domu zbierały się żony polskich ekspatów, bezrobotne, których status nie wynikał z zawodowej bezczynności, tylko ze stanowisk mężów. Mężczyzn co rano łykały żarłoczne firmy; wieczorami wracali wypłuci, a kobiety podsuwały im ciepłe kolacje i opowiadały o postępach dzieci oraz potyczkach ze sprzątaczkami. Te ostatnie stanowiły inną kastę Polek, ich mężowie klęli na budowach lub na bezrobociu, którego nie nobilitowała praca żon.

– ...bigos jest najlepszy – kontynuowała Buka – ale boję się aromatu.

Emilia pokiwała głową. W tym domu należało zgadzać się ze wszystkim, co powiedziała gospodyni, albo wybiec pod pretekstem, że zostawiło się w domu włączone żelazko.

– Chyba smrodu – mruknęła Natalia.

– Niemcy też gotują kapustę i nikt im tego nie wytyka – zaprotestowała Buka. – Skoro mamy krzewić polskość, musimy ścierpieć, że będzie u nas pachniało jak u Niemca.

– Jak u dozorczy – sprostowała Natalia.

Emilia dla niepoznaki wpatrzyła się w Bukę. Już w podstawówce opracowała metodę gapienia się na nauczycielkę, by móc zajrzeć w siebie. Teraz pomyślała, że musi zerwać ze swoim kochankiem. Od miesięcy zsuwała się po równi pochyłej zdrady. Głos z wnętrza (w sumie srogi) ostrzegał przed utratą reputacji, nie tyle jej własnej, ile męża. Dotarła do punktu, w którym jej zwierzęce potrzeby zaczęły się rozjeżdżać z życiowymi zasadami. Poczula ból, gdzieś nad pępkiem; tak ostatnio reagowało jej ciało, ostro, fizycznie. Gięło siłę woli niczym żelazny pręt, miękkie w rękach cyrkowego siłacza. Jej ciało jakiś czas temu ogłuchło na głos rozumu – i ożyło.

Emilia myślała, że to dlatego, że się zakochała. Nie umiała inaczej nazwać naglącej potrzeby, która kazała jej nocą wstawać z taką częstotliwością, jakby nabawiła się zapalenia pęcherza, po to tylko, by sprawdzić, czy nie przyszedł SMS od kochanka. A jednak ból wynikający z tego, co nazywała miłością, dał jej popalić bardziej niż bezradne wyciskanie z siebie kropelek moczu lekko zabarwionych krwią.

Kochanek przejął berło „tego jedyne” od jej nieświadomego niczego męża. Pozbawił ją apetytu na jedzenie, picie, logiczne myślenie i dał momenty ekstazy, gdy czuła, że unosi się nad łóżkiem, pokojem, miastem, a z góry diabelsko się śmieje. Przysięgał, że są swymi połówkami

(w SMS-ach, gdzie nie chciało mu się pisać polskich znaków, była jego „polowka”. Emilii przeszkadzało skojarzenie z rozkładanym łóżkiem, które jej mama ścieliła gościom, martwiąc się, by sprężyny nie pokłuły ich nocą w tyłki).

Gdy kochanek zerznął jej znajomą, Emilia popadła w miłosną żalobę. A on, pod koniec skropionej łzami rozmowy, wsunął jej rękę pod spódnicę (idąc z nim zerwać, włożyła pończochy i stringi), po czym zwinnie wprowadził środkowy palec do cipki. Tłoczył jak prasa dojrzałe winogrona, aż pękła z cichym syknięciem i poprosiła o więcej. Ukląkł przed nią w pozie pokutnika i wziął w obroty jej lechtaczkę. Odsuwała jego niewierną twarz, odpychała usta obciążające dolne wargi z czułością cielaczka.

Z zerwania nic nie wyszło. Zazdrość wyzerająca środek zdawała się nie mieć wpływu na działania Emilii, teraz marionetki w rękach namiętności. Szła do niego, gdy tego żądał, poddawała się pieszczotom, zginała kark przed jego zachciankami. Chciał, żeby go wzięła w usta – proszę bardzo,ssała mu członka, dopóki nie spęczniał, przybierając kształt podługowatej żarówki „Osram”. Chciał ją posuwać od tyłu – wypinała się, pośladki skośnie w górę, tułów podparty na łokciach w wiernopoddańczym pokłonie. Dźgał ją, biodra klaskały o jej pupę, członek wysuwał się z pochwy mokry jak zawodnik płynący delfinem i znów nurkował głodny soku, który produkowała dla niego z pszczelą pracowitością.

Wracała z tych spotkań upojona. Dobę później wspomnienia bladły, a ciało znów domagało się dziennej porcji seksu – bardzo konkretnej, tylko z tym mężczyzną, z nikim innym, jakby był ciężową zachcianką w kształcie kiszzonego ogórka. Ponieważ nie mogli widywać się co dzień, z euforii pobzykaniowej spadała na dno wyrzutów sumienia. Chciała ukorzyć się przed mężem, wdziac pokutny fartuszek i tańcować w nim po kuchni jak niemiecka pani domu. Dopadał ją podwójny ból – zdradzającej i zdradzonej. Rozłupywał duszę jak kochanek ciało, gdy rznął ją z dwóch końców, z członkiem w jej ustach i palcami w pochwie. Drżała, gdy wtykał swe wypustki w jej otwory i gdy myślała o tym dobę później, półprzytomna z poczucia winy. „To przecież wielkie uczucie – szeptała do siebie – co można na to poradzić?”. Jednocześnie miała wrażenie, że w jej wnętrzu bulgocze coś jeszcze. Coś ciemnego i gęstego. Może nie wyglądało jak pożywna zupa, ale w podobny sposób miało jej pomóc. Nie wiedziała, jak podziela na nią mikstura wyrzutów sumienia, orgazmów i upokorzenia, ale była gotowa przyjąć każdą dawkę. Emilia desperacko potrzebowała antybiotyku – przeciw tak zwanej miłości.

– Chcesz powiedzieć, że bigos to zły pomysł? – głos Buki przebił się lodowatą szpicą przez kołdrę jej rozmyślań.

Palce Emilii powędrowały do rudego kosmyka i umieściły go skrupulatnie za uchem. Gdy rzeczywistość przedstawiała być bezpieczna, ona uładzała siebie. Przynajmniej coś zależało od niej.

– A ty, Emilia, co o tym myślisz? – Buka i Natalia spojrzały na nią pytająco.

– O bigosie? – głos Emilii lekko zadrzał. Jak to się działo, że silna wola innych kruszyła jej własną? – Mniem, mniem.

Natalia spojrzała w okno, a jej mina, będąca jedynym komentarzem do wypowiedzi

Emilii, mówiła: „Gdybyśmy siedziały w więzieniu, byłabyś suką Buki”.

– Świetnie – ćwierknęła Buka i przerzuciła kartkę notesu, który trzymała na kolanach. Sprawa bigosu została zamknięta. Zabytkowy zegar, który Buka przytargała z Polski rok temu, gdy jej mąż dostał pracę za granicą, wybił dwunastą. Emilia pomyślała, że wszyscy gdzieś pracują albo idą na lunch, by potem wrócić do pracy. A one siedzą tu, mogąc pójść z powrotem tylko do własnych domów. Poczowała się jak własna babcia na znienawidzonej emeryturze. Jediną myśl, która mogłaby ją ożywić, tę o kochanku, odsunęła jako zbyt bolesną.

– Następnie mamy book club. – Buka przyglądała włosy związane gumką, z której wystawało coś w rodzaju blond kabanosa.

– Tylko nie Jane Austen – jęknęła Natalia, która szła dziś w zwarcie. Emilia przypisała jej stan napięciu przedmiesiączkowemu, tyle że Natalia okresów nie miała, bo zamontowała sobie spiralkę, która uwolniła ją od miesięcznych krwawień, wpadek i humorów.

– Nie podoba ci się proza dziewiętnastego wieku? – ton Buki zapowiadał podstęp grunwaldzki.

– Nie o to chodzi, że mi się nie podoba – fuknęła Natalia, którą zdaniem Emilii spiralka pozbawiła nie tylko dolegliwości, ale i instynktu samozachowawczego. – Tylko o to, żebyśmy same nie były dziewiętnastowieczne. Spójrzcie na siebie! Siedzicie w tym salonie jak w dawnym buduarze, gadacie o gotowaniu, klubie książki, może jeszcze wyszywanki będziecie robić?

– Zrzutka na kordonek i tamborki to kolejny punkt programu – wycodziła Buka, zamykając wymownie notes.

– Moja mama by się załamała. – Natalia wstała z głębokiej sofy, która więziła siedzących, dopóki nie wyczołgali się z niej za pomocą serii upokarzających ruchów.

– Twoja mama? – wymknęło się Emilii.

– Tak, moja mama, moja pracująca całe życie mama, którą dzięki temu było stać na to, żeby rozwieść się z ojcem, kiedy zaczął ją bić. I moja pracująca babcia, która nienawidziła gotowania, za to miała lepsze kwalifikacje zawodowe od swojego szefa, tyle że on miał lepsze pochodzenie, bo chłopskie.

– O czym ty mówisz? – Buka wlepiła oczy w krążącą po pokoju Natalię, która zatrzymała się i ogarnęła je panoramicznym wzrokiem kandydata na prezydenta.

– Mówię o tym, że absurdalnie wysokie pensje mężów zrobiły z nas utrzymanki. Ale zachowajmy trochę godności i nie wchodźmy całkiem w buty naszych praprababek. One nie miały wyboru.

Emilii wydawało się, że cisza skropiła się w litery: „c”, „o” oraz tłusty znak zapytania.

– Jeśli już book club, to w internecie. – Natalia pochyliła się nieco do przodu, dodając

swej postawie perswazyjności. – Gotowanie? W sieci. Z filmami na youtube, z interakcją, żeby ludzie nas poczuli, mogli się z nami połączyć.

Cisza numer dwa była podszyta implozją. Buka otworzyła usta. „Muszę zerwać z kochankiem!”, krzyknęło coś w Emilii. Poderwała się i rzuciła:

– Ja... na chwilę do toalety...

Mina Natalii zaklasyfikowała ją do zdrajczyń, a twarz Buki... nie, tego nawet nie dało się ubrać w słowa!

Emilia wypadła na korytarz, usiłując sobie przypomnieć, gdzie w tym przepastnym domu znajduje się kibel. Buka i jej mąż wynajęli dla czteroosobowej rodziny budynek, w jakim w powojennej Warszawie zainstalowałyby się kilkudziesięciu „dzikich”: cztery poziomy, taras, balkon i ogród, nie licząc piwniczki na wina, które pan domu nagle zaczął kolekcjonować.

W zabytkowej ubikacji Emilia sprawdziła komórkę, z którą nie rozstawała się od czasu, gdy się zakochała. Jej intensywny kochanek zostawił swoim zwyczajem kilka wiadomości, jedną bardziej podniecającą od drugiej. Kiedyś Emilia traciła przy ich odczytywaniu głowę, teraz zastanawiała się, kiedy on ma czas, by wysyłać dziennie dziesiątki SMS-ów do niej, do jej koleżanki (przysięgał, że z nią wszystko skończone, ale Emilia mu nie wierzyła) i do innych kobiet, o których co rusz przypadkiem się dowiadywała. Znow przybiła ją bolesna konstatacja: był chujem, a ona wciąż go chciała. Była uzależniona!

Nienawidząc sama siebie, odpisała. Natychmiast odpowiedział. Zadowolona, że przynajmniej akurat nikogo nie rżnie (ręce miał wolne, skoro napisał SMS-a), odpowiedziała tym entuzjastyczniej. Potem on jej, znow ona jemu – i oto stała w toalecie Buki, podniecona, z majtkami wilgotnymi od soku.

– Muszę z nim zerwać – powiedziała do pożyłkowanego stylowo lustra, po czym spuściła wodę, wilgotne majtki wsadziła do kieszeni spódnicy i ruszyła z powrotem przez wielki dom. Już miała zejść na parter, gdy jej uwagę przykuł kiwający się na boki ogon. Lotto, pies Buki, dog arlekin o aroganckim wyrazie pyska, stał z nosem przyklejonym do szpary w drzwiach. Zazwyczaj podchodził do kobiet, patrząc im prosto w oczy, po czym nieoczekiwanie wsadzał im pysk między nogi, tak szybko, że nikt nie miał szansy temu zapobiec, tym bardziej goście, którzy się tego spodziewali, dlatego Buka zwykle trzymała go w zamkniętym pokoju (dom był dostatecznie duży, by pies dostał swój).

Emilia odruchowo obciągnęła spódnicę, ale Lotto nie był nią zainteresowany. Jego ogon kiwał się miarowo, a z gardła wydobywał się niski dźwięk. W pierwszej chwili Emilia zamierzała zbiec na dół, ale ciekawość zwyciężyła – podeszła do przymkniętych drzwi, zza których dochodziły szept. Nie mogły to być dzieci Buki, bo razem z dziećmi jej i Natalii wyjechały tego ranka na pięciodniową szkolną wycieczkę. Emilia zobaczyła, że dziurka od klucza, która w tych drzwiach znajdowała się wyjątkowo nisko, jest tak naprawdę dziurą, bo wyjęto z niej cały zamek. Schyliła się i zajrzała do środka.

Zobaczyła ciemne, kręcone włosy, miarowy ruch głowy kobiety i bielejący nad nią

brzuch. Emilii nie udało się dostrzec twarzy mężczyzny, więc opadła na czworaka i zajrzała przez dziurkę. Omal nie krzyknęła – to był Karol, mąż Buki! Rękoma obejmował głowę klęczącej przed nim kobiety, a wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że znajduje się u progu błogostanu. W tym momencie Lotto zaskowyczał głucho; spłoszony pan domu wyjął członka z ust kobiety.

– To tylko pies – uspokoiła go po francusku. Emilia poznała Brazylijkę, manikiurzystkę. Buka zapraszała ją, by panie, omówiwszy punkty programu, mogły się zrelaksować: sprzątaczką wносиła kawę i ciasteczka, a manikiurzystka swój przenośny stolik. W okrągłym obrazie, jaki tworzył otwór po wyjętym z drzwi zamku, Emilia mogła podziwiać urodę Brazylijki: szczupłą w talii, z rozłożystą pupą w kształcie jabłka i krągłymi, jędrnymi piersiami, w których chyba nie było implantów. Długie, czarne włosy przysłaniały oliwkową skórę pleców i ramion.

Emilia poczuła, że znów robi się wilgotna. Karol ponownie wsunął członka w pełne usta Brazylijki. Ta ssała jego przyrodzenie z wprawą i czułością, skubała jądra smukłymi palcami i obejmowała wargami, lekko obciążając do dołu. Członek Karola, choć zdawał się dzielić jego skłonność do nadwagi, miał wdzięk dzięki ładnie uformowanej główce.

– Ma gazelle – jęknął Karol, a dziewczyna wstała, wzięła go delikatnie za penis i zaprowadziła do leżącego w kącie materaca. – Nie, bo będę miał psie klaki na ubraniu – zaprotestował, ale ona już ułożyła się na plecach i wsunęła pod biodra zwinięty pled. Rozłożyła szeroko nogi, ukazując mięsiste, połyskujące wilgocią wargi. Cieniutki pasek włosów ciągnął się od nich w górę, jak kreska wykrzyknika. Karol złapał tę geometryczną grzywkę zębami, lekko potarł ją, po czym ukląkł między śniadymi udami dziewczyny i z metodyczną powolnością wsunął członka do norki Gazelki. W połowie znieruchomiał, aż dziewczyna poruszyła lekko biodrami. Wyglądało to tak, jakby jej wargi mlasnęły, a pochwa coś przełknęła – i rzeczywiście – członek Karola zagłębił się w niej po korzeń.

Emilii wydawało się, że majtki, mokre i ciepłe, przylepiają jej się do cipki. Nie odrywając wzroku od kopulującej pary, rozkoszowała się tym uczuciem, a nawet zaczęła lekko poruszać biodrami, by zaczęły ją obcierać. Z podniecenia paliły ją uszy i mrowiły stopy. Po drugiej stronie dziurki Gazelka leżała na brzuchu, pod który podłożyła zrolowany pled. Karol pompował ją szybkimi ruchami, aż wygięła się i zaczęła szybko oddychać. Widząc rozgorączkowanie Brazylijki, Emilia poczuła tak wielkie podniecenie, że wysunęła język i też zaczęła dyszeć.

– Lotto! – dobiegł z dołu niewyraźny głos Buki. – Lotto, gdzie jesteś?

Karol, głuchy na wszystko, zapamiętał, że piłował pupę Brazylijki. Dziewczyna wygięła się z jękiem, a Emilia, półprzytomna z podniecenia, po drugiej stronie drzwi odpała gejerem orgazmu.

– Lotto! – głos Buki dochodził teraz z dołu schodów.

Emilia zerwała się z podłogi, omal nie potykając się o psa. Dopiero teraz się zorientowała, że majtki ma w kieszeni, że przecież je zdjęła... Lotto oblizywał się, gdy zniknęła w drzwiach łazienki.

– Długo cię nie było – Buka zlustrowała Emilię czujnym spojrzeniem, gdy ta stanęła na progu salonu. – Martwiłam się, czy Lotto cię nie przestraszył, wydawało mi się, że go słyszę, ale przecież zamknęłam go w pokoju przed waszym przyjściem. Kiedy ciebie nie było, wymyśliłyśmy, żeby nasze spotkania przenieść do sieci – oznajmiła Buka triumfalnie, podczas gdy Natalia wzniosła oczy do góry, słysząc liczbę mnogą. – No wiesz, żeby ludzie mogli nas poczuć...

– ...i się z nami połączyć – dokończyła Natalia.

– Tylko nie mamy pomysłu na nazwę. Bookclub, cookclub, to już jest ograne – skrzywiła się Buka i spojrzała pytająco na Emilię. – Jak powinnyśmy się nazwać?

– Fuckclub – usłyszała swój głos Emilia.

2.

Trzy miesiące później...

Natalia przejechała dłonią po łydce, poczuła sztywność dwudniowego zarostu i westchnęła z satysfakcją. Od wczoraj miała wolne, należało jej się po kwartale nieustającej pracy. Odłożyła na stolik trzymaną w ręku *Damę kameliową* Aleksandra Dumas. Podobał jej się pomysł z czerwonymi kwiatami, które paryska call-girl sprzed wieków przypinała do sukni przez kilka dni w miesiącu. W ten sposób wszyscy wiedzieli, że Dama Kameliowa nie pracuje, bo menstruuje. Natalia nie miała tego luksusu, spiralka pozbawiła ją lęku przed ciążą, ale i naturalnego wytchnienia dla ciała, które przynajmniej przez parę dni w miesiącu mogło popłakać czerwonymi łzami, w gruncie rzeczy łzami szczęścia, bo przecież było zdrowe i należało do siebie.

Natalia uniosła ramiona i przesunęła dłońmi po krótkich, ciemnych włosach, a potem po długim, pięknie umięśnionym ciele. Od czasu, gdy założyły z Emilią Fuckclub, życie nabrało takiego przyspieszenia, że musiała dodać sprzątacze etat niańki. Obie z Emilią powiedziały mężom, że prowadzą w sieci klub książki i gotowania, który cieszy się wielką popularnością. Ale prawdziwy sukces osiągnął trzeci człon ich działalności – prowadzonej anonimowo.

Fuckclub, zwany w skrócie FC, był kącikiem porad dla tych, którzy uprawiają seks lub chcą go uprawiać. Wszystko w formie pytań i odpowiedzi, czasem ekspresowych, czemu służyła zakładka „Pogotowie FC”, przy której jedna z nich zawsze dyżurowała, by odpowiedzieć na pytania wysyłane w nagłej potrzebie. Ostatnio dodały najnowszą zakładkę, skrzynkę kontaktową dla osób chętnych do wymiany erotycznej, wirtualno-werbalnej lub bezpośredniej.

Strona stała się przebojem internetowym. Twórczynie Fuckclubu starannie dobierały słowa, tworząc nowe podejście do seksu. Nie unikały sformułowań takich jak „wziąć sobie kochanka”, a słowo „kochanek” w ich serwisie straciło lekko wstydlive znaczenie tego, który pieprzy w ukryciu, zyskało natomiast odcień znaczeniowy kogoś, kto wie, jak się kochać i lubi to robić. Jak pisały na stronie, ich działalność była charytatywna i służyła trzem celom: krzewieniu oświaty seksualnej, zmniejszeniu stopnia frustracji użytkowników i zdjęciu z seksu aury cierpiętnictwa, którą narzucił mu wszechobecny model miłości romantycznej i monogamicznej.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy Natalia nie miała chwili dla siebie, tak pochłaniały ją dyżury przy „Pogotowiu FC”, wymyślanie nowych zakładów i rozmowy z kandydatami do „Armii FC” („FC Army”), jak nazwały tych, którzy ogłaszali się w skrzynce kontaktowej.

Natalia zdjęła stopy ze stolika i wstała, żeby zrobić sobie kawy. Nieustanne pisanie, mówienie i myślenie o seksie sprawiało, że najchętniej nie rozstawałaby się z członkiem. Podeszła do szafy, skąd zza sterty ubrań wyjęła potężne dildo. Usiadła na brzegu łóżka i rozsunęła uda. Wkładała sztucznego członka powoli, przyglądając się w lustrze, jak dolne wargi łykają go ze smakiem. Wstała i włączyła wibracje – sztuczny fiut kręcił się teraz w niej, powodując sensacje rozchodzące się po całym ciele. Rozejrzała się za majtkami, ale po chwili namysłu na gołe ciało włożyła dzinsowe szorty. Sztywny materiał przytrzymał wibrator, tak że nie mógł z niej wypaść. Natalia ruszyła do kuchni na nieco rozstawionych nogach, jak kowboj przed pojedynkiem, z członkiem wibrującym w cipce. Gdy słodziła kawę, wstrząsnął nią taki orgazm, że rozsypała cukier.

3.

Buka czasem myślała, że jej mąż wygląda, jakby stopy śmierdziały mu juniorkami (wiedziała, że w dzieciństwie obrywał od kolegów workami na kaptcie). Ich związek opierał się na starej zasadzie ekonomicznej – ona urodziła dzieci, on ich utrzymywał, ona gotowała, on sprowadzał kolegów z pracy, by mogła rządzić stadkiem ich żon. Pożycie nigdy nie było ich mocną stroną – po spłodzeniu dzieci Karol stracił zainteresowanie Buką, a ona nie zadbała, by pozbyć się pociążowych zwisów. Nie interesowało ją podobać się, teraz najważniejsze były dom i dzieci. Zajmowała się ich pielęgnacją, a potem edukacją, wnikając w szkolne struktury tak głęboko, jak pozwalała na to dyrektorka szkoły, którą najpierw cieszyła obecność hiperaktywnej matki, ale wkrótce zaczęło denerwować, że ta ciągle patrzy jej na ręce. Buka rzuciła się więc na gości – wynajęli dom, w którym mieściło się kilkanaście osób, kupili samochód wielkości czołgu, którym obwozili znajomych po okolicznych atrakcjach turystycznych. Kiedy już wszyscy zostali ugoszczeni, Buka wzięła się do nauki francuskiego. Ale i tego było jej mało. Wtedy wpadła na pomysł stworzenia koła kobiet.

Spotkania, na których obrabiano tematy obraźliwie nieistotne, przyciągały żony skołowane zmianą kraju i języka. Zwiedzione władczością Buki, potulnie zgadzały się na jej pomysły. Klub książki był fikcją – nikt nic nie czytał, zasłaniając się brakiem czasu – w zamian omawiano tematy zastępcze, tak zwane „życiowe”. W klubie gotowania dyskutowano o przepisach i kibicowano sprzątacze, która w tym czasie pełniła funkcję kucharki.

Dzięki tym zajęciom Buka poczuła się trochę spełniona. A teraz jej to zabrano! Wszystkiemu winne były te dwie, które odeszły, powodując schizmę w jej klubie – Natalia i bezwolna wydawałoby się Emilia. Nie dość, że założyły własne strony o gotowaniu i książkach, to – tego Buka była niemal na sto procent pewna – również tę obrzydliwą stronę o... o... – nie, tego słowa nawet nie mogła wymówić.

Buka była porządną kobietą i jako taka zamierzała skończyć. Jednak ostatnio na swej drodze napotkała poważne przeszkody. Jedną z nich okazała się łyżka cedzakowa z serii Neo firmy Tupperware. Inną ochla tejże firmy (również seria Neo). Ale najgorzej miała się sprawa

z trzepaczką – Boże, jak Bukę ta trzepaczka podniecała!

Wyprostowała się na krześle i wpatrzyła w komputer. Chowiała się do pokoju, zwanego gabinetem, by nie zostawać w kuchni sam na sam z diabelskimi sprzętami o działających na wyobraźnię uchwytach. Nawet ich nazwy miały w sobie coś szatańskiego: „Radelko”, „Rączka”, „Rolka”, wszystko to z serii „Finezja”. Buka nie mogła pojąć, co ją napadło, że tak ją kręcą przybory kuchenne. Żeby chociaż podniecała się na widok szlachetnych utensyliów, choćby kupionej na Kole srebrnej łyżki wazowej z delikatnym wzorem roślinnym. Ale gdzie tam! Podniecała ją plastikowa chochla.

Kontemplując porażkę, Buka jak zwykle winiła te zepsute diablice, Natalię i Emilię. Po raz chyba czterdziesty tego dnia (jak każdego innego) weszła na ich stronę internetową, by z poczuciem całkowitej klęski poczłapać do kuchni, wyjąć trzepaczkę o obłej, długiej rączce, owinać ją miękką, przezroczystą folią i niemal płacząc z poczucia winy, wsadzić ją sobie pod spódnicę. Spółkowanie z trzepaczką stało się jej narkotykiem i odbywało się w godzinach, w których organizowałyby lunchy, gdyby wszystkie zainteresowane nie przeszły na stronę tych zdrajczyń. Buka miała więc wolne przedpołudnia, które na próżno starała się zapełnić nauką niemieckiego. Nic nie wchodziło jej ostatnio do głowy. Tylko do cipki.

Tego wieczora Buka zostawiła niańkę z dziećmi i zrobiła coś, czego powinna całe życie żałować, tymczasem nawet się z tego nie wypowiadała (z trzepaczki też nie, szczerze mówiąc). Włożyła szpilki, pończochy i beżowy prochowiec (pod spodem była naga), po czym wsiadła do swojego SUV-a. Zaparkowała w centrum, na parkingu obok największej ulicy handlowej. Był wieczór, ulice pustoszały. Buka ruszyła przed siebie, niepewna, czy informacja, którą znalazła na stronie Fuckclubu, jest prawdziwa. Ale już otworzyła się przed nią ulica nierządu – najpierw z bramy wychynęła jedna prostytutka, potem druga, w tle mignął transwestyta o cerze w dziobach.

Słyszając zbliżające się kroki, Buka upuściła rękawiczkę i schyliła po nią tak, że rozcięcie w płaszczu ukazało jej nagą pupę. Ktoś za nią raptownie się zatrzymał. Po chwili zamamrotał w obcym języku, ujął ją pod łokieć i popchnął do najbliższej bramy. Nie pozwolił na siebie spojrzeć, tylko ustawił ją przodem do ściany, oparł jej ręce o mur, następnie wygiął jej biodra do tyłu i rozsunął poły płaszcza. Poczowała powiew powietrza na skórze i usłyszała dźwięk rozsuwanego rozporka. Czyjeś palce rozsunęły jej pośladki. Chciała odwrócić głowę, zobaczyć, kto to, ale przytrzymał ją za włosy, zmuszając, by patrzyła na ścianę. Wszedł w nią brutalnie, bez prezerwatywy. Nieduży, twardy, dość szorstki członek wciskał się w nią gwałtownie, aż jego właściciel się zasapał. Już miała się odwrócić, gdy przycisnął mocno biodra do jej pośladków i spuścił się z jękiem.

Coś zaszeleściło, wiatr smagnał połami jej płaszcza, zasłaniając uda, po których ściekała sperma. Buka rozprostowała dłoń – na ziemię sfrunęło trzydzieści euro.

– Jezus, Maria – wyszeptała. Odwróciła się, ale za nią nikogo już nie było.

4.

Natalia zjechała w dół strony – pytania na stronie www.fuckclub.com mnożyły się na jej

oczach, wciąż ich przybywało. Podjechała myszką w górę i przeczytała kilka pierwszych:

„Co zrobić, gdy mąż już mnie nie podnieca?

Co zrobić, gdy nie podnieca mnie już kochanek?

Czy to możliwe, że caryca Katarzyna kopulowała z koniem? Ale jak, ze stołka?

Mój ojciec mówi, że ladacznica to ktoś, kto dawał w Polsce pod ladą przed 1989, to prawda?

Można wkładać do pochwy przedmioty inne niż wibrator? Co robić, gdy nie chcą wyjść?

Gdyby doszło do stosunku z kucykiem, kogo należy pozwać o alimenty? A jeśli to dziki tarpan, to kogo? Leśniczego?”.

Natalia przymknęła oczy. Dyżurowała dziś przy „Pogotowiu FC”, Emilia pracowała w terenie. Obie czuły, że ilość pracy zaczyna je przerastać, musiały znaleźć kogoś do pomocy.

Dzwonek do drzwi oderwał ją od odpowiedzi na najprostsze pytanie (o konia i stołek). Spojrzała na zegarek – była północ. Jej mąż był w Wiedniu, dzieci w Polsce u teściów. Natalia przytknęła oko do wizjera, po czym niepewnie uchyliła drzwi.

Buka chwiejnie przestąpiła próg, a poproszona, by zdjęła płaszcz, stanęła w przedpokoju w samych tylko pończochach. Natalia krzyknęła – jej koleżanka nie miała nawet butów. Na pytanie, co się stało, Buka wyrzuciła z siebie kilka niezbornych zdań. Wynikało z nich, że ktoś ją posiadł, od tyłu, co gorsza, bez prezerwatywy. Karol odpadał (coś jak błysk rozbawienia w oczach). Na koniec Buka wyjęła z kieszeni trzydzieści euro i wcisnęła je w rękę Natalii. Po czym się rozplakała.

5.

Miesiąc później...

Natalia przetrząsnęła portmonetkę – jak zwykle nie miała przy sobie gotówki. Wsunęła rękę do kieszeni żakietu – żadnych monet. Ze złością uderzyła dłonią o parkometr. Karteczka, która wyfrunęła z kwadratowego dzioba, pozwalała jej stać tu za darmo przez piętnaście minut. W tak krótkim czasie jeszcze nikt nie odbył kompetentnego stosunku.

– Może mógłbym pani pomóc?

Obejrzała się. Mężczyzna był młodszy od niej, miał cerę Egipcjanina i ledwo dostrzegalny obcy akcent. Podawał jej kwitek, taki, jaki wypluł przed chwilą parkometr, tylko z czasem późniejszym o dwie godziny.

– Możemy się zamienić – uśmiechnął się.

– Naprawdę? Ale nie mam jak panu zapłacić, nie wzięłam gotówki – odparła Natalia.

Mężczyzna wskazał kwit na krótki postój, który wciąż trzymała.

– Mnie urzędza ten... szybki numerek – powiedział, a gdy się roześmiała, dorzucił szybko: – I kawa. Oczywiście, kiedy skończy się pani postój.

Natalia zerknęła na zegarek. Była na styk, jakoś przecisnęła się przez poranne korki, ale jeśli pozwoli się dłużej podrywać, straci cały zapas czasu.

– Ale ja tu będę dopiero... – zaczęła.

– O jedenastej dwadzieścia siedem – odczytał ze swojej kartki. Miał wdzięk szczeniaka i obiecująco długie palce. – Zaczekam na panią.

Gdy włożyła rękę do kieszeni, żeby wyjąć kluczyki, trafiła na zwitek banknotów. Trzydzieści euro, które wcisnęła jej Buka i za żadne skarby nie chciała ich wziąć z powrotem. Natalia oddzieliła dziesiątkę.

– Nie lubię być nikomu winna – powiedziała, podając mężczyźnie pieniądze. – Ale jeśli pan zgodzi się być moim dłużnikiem, możemy się spotkać.

Odeszła, stukając obcasami o brukową kostkę. Wiedziała, że za nią patrzył. Będzie tu na nią czekał (o jedenastej dwadzieścia siedem). Wmieszała się w tłum zmierzających do pracy. Pomyślała, że kobieca seksualność jest cudem – można codziennie uprawiać seks i wciąż mieć ochotę. Przedwczoraj spędziła noc z ciemnoskórym chłopakiem, który wyobrażał ją na swym wielkim rożnie tak, że zastanawiała się, czy nie wziąć dziś wolnego. Kiedy pokazał jej, czym dysponuje, zaczęła się obawiać, czy nie przebije jej na wylot, ale coś w środku krzyknęło w niej z uciechy. Była tak wilgotna, że gdy na nim usiadła, wchłonęła go do połowy, dopiero druga część poszła wolniej, bo nie przywykła do siadania na tak wielkich pałach. Kiedy w końcu miała go w sobie, przez chwilę bała się ruszać; widać był do tego przyzwyczajony, bo zaczął delikatnie unosić ją, najpierw o milimetry, potem centymetry, aż jej cipka zwęszyła rozkosz i zaczęła się na nim chciwie zaciskać. Wystarczyło, że potarł ją od środka przez kilka minut, a już oczy zasły jej mgłą. Gdy je otworzyła, zobaczyła jego białe zęby wyszczerzone w szerokim, zwycięskim uśmiechu. Bawił się z nią potem, jak kot z myszą, doprowadzał na granicę orgazmu, po czym cofał się i zostawiał błagającą o więcej. Ale nie pogrywał podle, doprowadził ją do szczytowania cztery razy. Co z tego, skoro po każdym miała ochotę na jeszcze! Dopiero kiedy w niej eksplodował, miała dość – wystrzelił jej w środek takim nabojem, że orgazm prawie pozbawił ją przytomności.

Stała pod elegancką kamienicą, weszła na pierwsze piętro i przekręciła klucz w drzwiach. Przekroczyła próg garsoniery, w chwili gdy słońce przebiło się przez zasłony z czerwonym nadrukiem „FC”.

6.

Dziewięć miesięcy później...

Buka siedziała przed komputerem. Podgląd kamery pokazywał zadbaną blondynkę z zaczezną fryzurą. Buka chrząknęła.

– Kiedy pierwszy raz zdarzyło mi się uprawiać seks bez prezerwatywy.... – zaczęła.

Kilka minut później odsłuchiwała nagranie. Jak to dobrze, że z właściwą sobie skrupulatnością zadbała o lekcje dykcji. Poszła też do stylistki, a co parę dni oddawała się w ręce fryzjerki, kosmetyczki i manikiurzystki. Buka włączyła program do montażu i po opracowaniu filmiku wrzuciła go na stronę Fuckclubu. Nauczyła się obsługiwać stronę, wgryzła się też w finanse, księgowość i promocję – gdy zaanektowała te działki, www.fuckclub.com zaczął przynosić zyski z reklam, wypączkowując w pupilka Buki – fundację o nazwie „SafeFuck”. Pracy zrobiło się tak dużo, że we trzy ledwo dawały sobie radę.

Odsunęła się od komputera, ale nie miała siły, żeby wstać i pójść do kuchni. Łyżki i chochle leżały zapomniane, ich właścicielka była zbyt zapracowana, by robić z nich użytek. Oprócz zarządzania finansami FC i pogadanek wideo, Buka nie stroniła od innych obowiązków. Założycielki FC dbały, by – jak w każdej szanującej się firmie – towar przez nie oferowany był dobrej jakości. Zanim polecily na stronie wolontariuszy chętnych do wymiany seksualnej, sprawdzały, z kim mają do czynienia.

Przez ostatnie tygodnie Buka poznała więcej mężczyzn i sposobów uprawiania miłości niż przez poprzednie dwadzieścia dwa lata (cnotę straciła przepisowo, jako osiemnastolatka). Po piekielnych sześciu miesiącach abstynencji, kiedy czekała, by zrobić testy i sprawdzić, czy klient w bramie jej nie zaraził, Buka, zdrowa i uzbrojona w wiedzę o seksualnym bezpieczeństwie, kochała się z chłopakami i mężczyznami, wysokimi i niskimi, białymi i czarnymi. Trafił jej się nawet jeden Indianin, chociaż już Hindusa skierowała do Emilii, podobnie jak Azjatów, do których zupełnie jej nie ciągnęło. Choć się nie umawiały, każda miała swoją specjalizację: Buka skłaniała się ku tradycji, Natalia testowała nie tylko heteryków, podczas gdy Emilia chętnie formowała trójki czy kilkusobowe orgie. Ponieważ jej zajęcia bywały intensywniejsze, ustaliły, że Emilii przysługiwać będzie dzień urlopu po każdej seksualnej imprezie. Buka wynegocjowała dwa dni wolne od stosunków na prowadzenie księgowości. Natalia pracowała we wszystkie dni robocze, ale pilnowała, by nie mieć więcej niż dwóch partnerów dziennie ze względu na męża, który również czasem zgłaszał swoje potrzeby.

Miały pełne ręce (sic!) roboty, dlatego postanowiły rozejrzeć się za posiłkami. Zaskoczył je odzew na ich puszczone pocztą pantoflową ogłoszenie – tylko dziś Buka miała pięć rozmów z kandydatkami na testujące w FC. Sądząc z CV, wszystkie były bezrobotne. I miały mężów w korporacjach.

7.

Emilia szła jasną ulicą. Dziewczyny z nagimi udami, młodzi mężczyźni w szortach – lato wisiało w powietrzu. Odetchnęła głęboko. Ponad rok temu szła tędy, ale nie widziała jej piękna, ba, nie widziała samej siebie. Zerknęła w szybę wystawową – włosy falujące w rytm jej kroków oddychały leniwie, obraz odbijał się w oczach mijających ją mężczyzn. Nic dziwnego, że Paweł, jej mąż, zakochał się w niej na nowo; zachwycała go jej przemiana, motyli stan po toczeniu się

przez życie w kokonie poczwarki. Emilia już nie pytała bezradnie, czy ją kocha. Przechodziła koło niego, a jemu wszystko się do niej wyrывało. Nie tylko jemu... Nie byłby mężczyzną, gdyby na widok podnieconych nią samców i jemu nie stawał.

Na wiadomość o Fuckclubie Paweł zobaczył w Emilii inną osobę. Wolną kobietę, tak powiedział. I sam stał się kimś innym. Powoli wykreślali słowo „zdrada” ze swojego słownika, i ze strony FC, bo ograniczało wolność tych, którzy chcieli i umieli z niej korzystać.

Emilia przyspieszyła. Roznosiło ją od środka coś wiosennego, ulga, że wreszcie jest wolna, że już nie wodzi podkrążonymi oczami za swym kochankiem, dręcząc się tym, z kim ją zdradza.

Skręciła w uliczkę prowadzącą do biura Fuckclubu, zerknęła na zegarek i przyspieszyła. Minęły czasy płątania się bez przydziału i desperackiego przedłużania zakupów w supermarkecie. Minęła sklep z oliwami, kwiaciarnię; przez szybę agencji nieruchomości mignął jej monitor komputera, w który wpatrywał się pracownik. Przystanęła, bo na ekranie zobaczyła ożywioną twarz Buki; w nowej fryzurze, zadbana, tłumaczyła coś z zapalem. Jej pogadanki wideo na temat bezpiecznego seksu ilustrowane przykładami z życia pomnożyły liczbę wejść na stronę Fuckclubu.

Kiedy Karol pierwszy raz zobaczył żonę występującą na swojej ulubionej stronie internetowej, zagulgotał na temat wartości, moralności, powinności i innych „-ści”. Traf chciał, że tego dnia na spotkaniu w domu Buki pojawiła się również Gazelka, którą Fuckclub zaprosił w charakterze konsultantki. Gdy Karol wpadł w szal, zraniony w dumie mężczyzny i głowy wzorowego stadła, Gazelka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i szcęknięła cążkami do paznokci. Od tego czasu Buka bez przeszkód kontynuowała swą misję.

Małżeństwo Natalii zawisło na włosku po ujawnieniu, kim są autorki Fuckclubu. Jej mąż z początku potraktował sprawę tradycyjnie, jako plamę na honorze. Natalia, przewidując rozwód, zaczęła szukać płatnej pracy, a wtedy w nim coś się zmieniło. Może wystraszył się, że ją straci? Przeliczył „za” i „przeciw”? Owszem, miała kochanków, była pożądana i pożądana. Jednocześnie go kochała, była świetną matką, przyjaciółką, dobrze się z nią rozmawiało i kochało. Więc skąd pomysł, że ma być jedyny w jej łóżku?

Gryź się tylko znajomymi, którzy go wyśmiewali, ale Natalia szybko sobie z nimi poradziła. Pewnego dnia przyszła do ich stołówki, podeszła do najbardziej zajadłego i zapytała: „Czy wiesz, co w ciągu dnia robi twoja żona?”.

Magdalena Tulli

CZERWONA SZMINKA

Zadzwoiła do mnie ni stąd, ni zowąd w połowie lutego, po bardzo, bardzo długim czasie. Nie odzywała się co najmniej przez trzy lata. I nagle zapragnęła pójść ze mną do kina.

– Na stary szwedzki film – powiedziała. – Do galerii handlowej. Przedtem popatrzymy sobie na ładne rzeczy, a potem zjemy coś dobrego.

Do galerii handlowej na stary film szwedzki? Przedtem sklepy, potem obiad? Poprzednim razem podobny program zajął nam cały dzień. Zapamiętałam drobną przykrość na sam koniec, więc chciałam powiedzieć jej, że nie idę. Po raz pierwszy w historii naszej znajomości. Ale to zawahanie trwało chwilę. Przez te wszystkie lata ona dzwoniła do mnie, ja do niej nigdy. Dlatego nie odmawiałam. I miałabym teraz odmówić przez jakiś drobiazg sprzed trzech lat?

– Przyjadę po ciebie samochodem – powiedziała mi. – Czekaj na dole, będę za pół godziny.

Spóźniła się. Zdążyłam zmarznąć, bo był to chłodny, wilgotny, szary koniec zimy. Kiedy już pomyślałam, że nie przyjedzie, przy krawężniku zatrzymał się samochód. Otworzyła mi przednie drzwi. Wsiadłam.

– Świetnie wyglądasz – powiedziała. Skłonność do podkrążonych oczu miała jeszcze przed maturą. Teraz było o wiele gorzej. Zerknęła w lusterko. – Nie przestrasz się. Żle sypiam.

Jechałyśmy powoli przez na wpół zamarznięte kałuże. Nagle się zatrzymała. Zaczęła grzebać w torbie, przeszukała schowki samochodu. Przeprosiła mnie: musi wrócić do domu po okulary.

– Masz je na nosie – zauważyłam. Ależ nie, nie chodziło jej o te, te są przyciemniane i nosi je tylko gdy prowadzi. Zawróciłyśmy i wjechałyśmy w wąskie uliczki z willową zabudową. Zostałam w samochodzie zaparkowanym pod jej pięknym domem. Wnętrza już widziałam, trzy lata temu. Wysiadła sama, trochę zawiedziona, że nie będzie mi ich znowu pokazywać. Zniknęła na dość długo. Kiedy wróciła, włożyła do schowka po mojej stronie ciemnozielony futerał z krokodyla.

– Te są do kina – powiedziała. – A do bliży musiały zostać na Marszałkowskiej. Wstąpimy tam. To będzie prawie po drodze.

Na Marszałkowskiej miała mieszkanie w pięknym przedwojennym budynku, na pierwszym piętrze, bywałam tam w czasach szkolnych. W podstawówce. W liceum nie byliśmy już przyjaciółkami. Tylko na fizyce i geografii siadałyśmy razem w ostatniej ławce i grałyśmy w okręty. Zawsze wygrywała. Mogłabym zacząć podejrzewać, że podgląda. Ale nie przyszło mi to do głowy. Ona zawsze wygrywała, a mnie się to wydawało czymś naturalnym. Dobrze pamiętam jej matkę. Na powitanie wystawiała głowę z kuchni, wołając: „Nie jesteście głodne,

dziewczynki?”. Kiedy umarła, widziałam nekrologi w gazecie. Ojciec też już nie żyje. Miał uroczysty państwowy pogrzeb.

– A gdzie ty właściwie mieszkasz? W willi czy na Marszałkowskiej? – spytałam.

Zastanawiała się, co powiedzieć.

– Mam kawalerkę na Ochocie. Tam najczęściej sypiam. Ze względu na ciszę. Ale mieszkać w niej nie mogę. Dostałabym klaustrofobii. W willi mam przestrzeń. I łóżko ze specjalnym materacem przeciwko bólom kręgosłupa. Tylko że tam się nie da spać.

– Dlaczego?

– Niskie tony.

– Pralka sąsiadów? Kolumny?

Spojrzała na mnie znad kierownicy, urażona: przecież nie mówimy o mieszkaniu w mrówkowcu.

– Wczoraj akurat było cicho, postanowiłam zostać i nawet na chwilę zasnęłam. To ruletka, nigdy nie wiesz, kiedy się zacznie i kiedy skończy. Nad ranem musiałam się poddać. Było zimno, śnieg z deszczem. Wsiadłam do samochodu i pojechałam spać na Ochotę.

Okropne, pomyślałam. I tego łóżka nie może sobie wstawić do kawalerki, bo pewnie jest za duże.

– A Marszałkowska? – spytałam.

– Marszałkowska! – zaśmiała się krótko. – Słysząc każdy tramwaj z osobna, każdy autobus, każdy samochód. Rozpoznaję marki po brzmieniu silnika. Jakbym to wszystko widziała. Jakby jechały mi przez środek sypialni. Nie cichną nawet o czwartej nad ranem.

Udzieliło mi się jej znużenie. Pani tylu pięknych nieruchomości – bez dachu nad głową. Na jej miejscu poszukałabym cichego mieszkania przy spokojnej ulicy.

– Szukam takiego mieszkania – zapewniła. – Nie od dzisiaj, wierz mi.

Cudem znalazłyśmy miejsce do parkowania. Ledwie zniknęła w bramie, jakiś ptak narobił na przednią szybę. Jeśli gołąb, to wyjątkowo duży. Plama była biało-różowo-szara z ciemnym akcentem i rozbudowaną linią brzegową. Jeszcze i to! – pomyślałam z tym samym zmęczeniem, najwyraźniej przejętym od niej. Tak jak w szkolnych czasach, w dorosłym życiu zawsze udzielało mi się jej zniecierpliwienie, jej nuda, jej frustracja. Ale podczas gdy ona poddawała się tym emocjom żywiołowo i niefrasobliwie, ja poczuwałam się do obowiązku układania pozytywnych relacji między nią a światem. Jakbym była odpowiedzialna za rzeczywistość i trochę się za nią wstydziła.

Mimo woli raz po raz spoglądałam na tę plamę, aż nagle ręka otworzyła drzwi, a ciało wysiadło z samochodu. Sięgnęłam do torby, wyjęłam jednorazowe chusteczki i zabrałam się do czyszczenia szyby. Pozostał tylko ledwie widoczny ślad linii brzegowej, która nie chciała zejść, bo zdążyła trochę przyschnąć. W porządku, pomyślałam, wystarczy. Pociągnęłam za klamkę – drzwi ani drgnęły. Zablokowały się. Przez chwilę szarpałam, coraz energiczniej, na próżno. Poddałam się. Zanim ona wróciła, zdążyłam znowu zmarznąć. Zmierzyła mnie ukradkowym spojrzeniem. Zastanawiała się, po co wysiadłam? Pomyślała, że chciałam uciec? Tylko nie zdążyłam?

– Coś ty zrobiła z tymi drzwiami? – spytała, szarpnąwszy parę razy za klamkę. Nic – chciałam powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle. Szarpnęłam klamkę po stronie pasażera.

– Lepiej zostaw – odezwała się stanowczo.

Czułam się winna i nieszczęśliwa. Oto najgorsze, co mogło mi się zdarzyć w tym samochodzie: niechący coś zepsułam. Po co czyściłam szybę, zamiast siedzieć spokojnie na swoim miejscu? – pomyślałam z rozpaczą. Machnęła pilotem kilka razy, przez chwilę dalej szarpała klamkę, potem machnęła jeszcze raz i jeszcze raz szarpnęła.

Drzwi ustąpiły, lecz nie doznałam żadnej ulgi, dalej miałam ten sam zamęt w głowie i w sercu.

Wrzuciła do schowka drugi futerał, też z krokodyla, ale biały.

Znowu jechałyśmy przez kałuże. Cienka warstwa lodu pękała pod kołami, chlapała woda.

– Zawsze zapominam cię spytać, jak się chowają dzieciaczki – powiedziała, wymijając autobus. To była prawda, zawsze zapominała mnie o to spytać. Pewnie dlatego, że nie miała własnych.

– W porządku. Starszy już studiuje, a młodsza uczy się do matury – odpowiedziałam.

– Ach... – westchnęła boleśnie i na chwilę zamilkła. Czas nie stoi w miejscu. Nawet dla niej. – Mąż ten sam?

Ten sam. Dla niej to trudne do wyobrażenia. Ona wychodziła za mąż trzy razy. Dwa rozwody i jeden pogrzeb, o którym dowiedziałam się z plotek. Po ostatnim ze swoich mężów odziedziczyła udziały w wielkiej sieci perfumerii. Z nich żyła. Bo z teatrem skończyła już dawno. U szczytu powodzenia, zaraz po trzydziestce. Zdążyła jeszcze zagrać główną rolę w głośnym filmie. Widziałam go. Podczas scen łóżkowych odruchowo odwracałam wzrok. Odrzuciła wszystkie następne propozycje. Więcej nie grała. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Zawsze zapominałam ją o to spytać.

Zaparkowała przed galerią handlową, zmieniła przyciemnione okulary na te do dali (zielony krokodyl), a potem wyjęła ze schowka trzecie (biały krokodyl). Przez chwilę miała na nosie dwie pary. Przez okulary do bliży przyjrzała się przedniej szybie, na której pozostał nieczytelny dla niej znak: zarys wyspy. Nie odezwała się, to była sprawa między nią a jej

samochodem. Wcisnęła przycisk i tłoki wyrzuciły porcję płynu do wycieraczek. Wycieraczki pracowały przez chwilę, jeżdżąc w prawo i w lewo. Potem znowu przyjrzała się szybie i z rezygnacją potrząsnęła głową.

– Możemy iść – powiedziała.

Parking był zamrożony. W połowie drogi zadzwonił telefon w jej torebce. Wyciągała go w pośpiechu. Pośliznęła się. Szybko chwyciłam ją pod łokieć, inaczej leżałaby jak długa. Skrzywiła się, wyrwała mi ramię. Telefon dalej dzwonił i nie była to żadna melodyjka, tylko zwyczajny przerywany sygnał, brzmiący dość natarczywie.

– Tak – powiedziała. – Nie, nie mogę. Jestem w kinie. Nie, sama. Dobrze. Spotkamy się wieczorem. Tak, na Marszałkowskiej.

Coś się zmieniło. Zauważyłam na jej twarzy promienny, z niczym się niedający pomylić odblask triumfu. Okoliczności nie były mi znane. Mogłam się tylko domyślać, że czekała na ten telefon, może od wielu dni.

A potem, nagle, zaczęła mówić o perfumach. O perfumach, które były hitem sezonu. Nazywały się Heart.

– To wiosenny zapach – powiedziała. – Mam dość zimy.

Heart, czerwony flakon z efektowną jedwabną kokardą przy zamknięciu. Zapamiętałam go dzięki reklamom.

Sieć perfumerii, w której odziedziczyła udziały, nie miała własnego sklepu w tym centrum handlowym.

– Chodź – pociągnęła mnie lekko za rękaw. – Zajrzymy do konkurencji.

Chce dobrać nowe perfumy do nowego romansu, pomyślałam. Umówiła się z kimś na wieczór i chce pachnieć tym wiosennym zapachem.

W perfumerii było tłoczno nawet jak na niedzielę. Ale perfumy Heart zobaczyłam z daleka, wyeksponowane na samym środku sklepu. Sięgnęła po tester i podsunęła mi pod nos nasączony zapachem pasek kartonu. Zapach wydał mi się banalny. Świeżość, owszem. Lekka słodycz i nuta cytrynowa. Krótko mówiąc – lemoniada. Sięgnęłam po perfumy, które stały obok, potem po następną. Te bardziej mi się podobały. Podsunęłam jej pasek kartonu.

– Nie, nie – powiedziała. – Nie nadają się.

Żadne się nie nadawały.

Po piątej, szóstej próbkę zapachy zmieszały mi się w coś chaotycznego i bez charakteru. Ona też chyba miała kłopot z nadmiarem wrażeń, bo nic nie kupiła. Wyszliśmy i prawie od razu poczułam aromat kawy – znak, że węch wrócił. Usiadliśmy przy stoliku, zamierzając zamówić

dwa małe espresso. Na tarasie kawiarni także był niedzielny tłok. Długo nie podchodził do nas nikt z obsługi.

– Teraz sprawdzimy, jak pachną twoje perfumy w drugim podejściu – powiedziałam, biorąc od niej pęk kartonowych pasków. Ale ona już nie była pewna, na którym pasku miała zapach Heart.

– Chyba na tym – powiedziała.

– Nie, to Acqua di Gioia. To Mademoiselle. A to? – Podsunęłam jej pod nos pasek pachnący trochę gorzko. – Nie pamiętam, żebyśmy to wąchały.

Oto zagadka. Zanim zamówiliśmy kawę, wróciłam na chwilę do perfumerii i odszukałam sprzedawczynię.

– Gorycz w drugim podejściu – powiedziałam. – Co to jest?

Powąchała pasek kartonu.

– Heart – odpowiedziała bez wahania.

Kiedy wróciłam do stolika, ona zdążyła już zapomnieć o perfumach. Siedziała jak na szpilkach.

– Idźmy gdzie indziej.

– Gdzie indziej będzie to samo, przecież jest niedziela. Zresztą czasu mamy dość.

Milczała ze wzrokiem wbitym w blat stolika.

– Słyszysz to? – spytała po chwili.

Było dość głośno, musiałabym być głucha, żeby nie słyszeć. Strzępy muzyki mieszały się z gwarem rozmów.

– Nie, nie. Posłuchaj uważnie.

W tym hałasie rzeczywiście kryło się coś jeszcze – cichutkie, nieustające, monotonne buczenie.

– To tylko dźwięki – powiedziałam. – Pewnie klimatyzacja. Albo jakieś urządzenia chłodnicze.

Spojrzała na mnie z wyrazem cierpienia w oczach. Potem szukałyśmy miejsca, gdzie tego nie będzie, żeby mogła wypić kawę w spokoju. Bo źle spała w nocy i koniecznie potrzebowała kawy, inaczej – powiedziała mi – zaśnie w kinie. Trafiliśmy na mały barek samoobsługowy. Sięgnęła po kartę kaw i herbat, potem zaczęła szukać okularów do blizy. Wyjęła z torby to, co

w niej miała. Położyła na stoliku dwa telefony, tłusty krem do twarzy i szminkę.

– Mogę? – spytałam i wzięłam szminkę do ręki. Ciemnoczerwona, oczywiście z górnej półki.

Dołożyła pogniecione papierki od czekoladowych batonów i stos kwitów z bankomatu, trzy pęki kluczy do mieszkań i dwa różne komplety kluczyków do samochodu, kombinerki, nóż żeglarski, a na końcu zielonego krokodyla. Biały krokodyl leżał na środku stołu, otwarty, pusty. Przypomniała sobie, że okulary musiały zostać gdzieś przy perfumach. Zgarnęła z powrotem cały ten bałagan. Tym razem to ona miała wrócić do perfumerii. Palto i torbę zostawiła na krześle.

– Zaraz będę – powiedziała. – Zamów tymczasem kawę.

Z tyłu wcale się nie zmieniła, wyglądała jak w czasach licealnych, nawet spodnie nosiła podobne. W szkole chłopcy krążyli wokół niej z daleka, jak planety wokół swojej gwiazdy – po elipsach. Obcinała ich bez litości. Nauczyciele odnosili się do niej z respektem, a przecież dawała dość powodów, żeby się na nią uwziąć. Była trudna, nie chciała się uczyć. Ani grać na fortepianie. Obijało mi się o uszy, że jest bardzo utalentowana, co jej wypominano, udzielając reprimend, które jednak brzmiały jak mimowolne hołdy. Do szkoły teatralnej dostała się bez trudu. Może dlatego, że jej ojciec był dziekanem wydziału aktorskiego. Ale pewnie nie tylko.

Stanęłam w króciutkiej kolejce po kawę, potem piłam ją przy stoliku, potem jeszcze przez kwadrans nudziłam się nad pustą filiżanką. Okulary się znalazły, ale kawa jej wystygła, więc odsunęła ją i przyniosła sobie świeżą, gorącą, a później jeszcze jedną – musiała być naprawdę strasznie niewyspana.

– Pamiętasz? – odezwałam się. – W liceum miałaś ciemnoczerwoną szminkę Heleny Rubinstein, taką samą jak teraz. Po lekcjach malowałaś sobie usta jeszcze w szatni. Dla tego studenta, co przyjeżdżał po ciebie na motocyklu.

Roześmiała się, ale nie podjęła tematu.

Chodziłam z chłopakiem z równoległej klasy. Patrzył na tę czerwoną szminkę jak urzeczony. Dowiedziałam się, czym jest bezsilność. Odbiła mi go od niechcenia, zwodziła go i trzymała na dystans. Oboje byliśmy nieszczęśliwi aż do samej matury.

Nie miała nastroju do wspominków.

– Muszę iść do łazienki – oświadczyła, wstając. Łazienka znajdowała się na końcu długiego korytarza, do którego wchodziło się z głównej alejki między ekskluzywną porcelaną a sprzętem do nurkowania. W tym korytarzu czekałam na nią znowu, obok wiała się długa kolejka, raz po raz ktoś wychodził. Ale ona weszła do środka i ślad po niej zginął.

– Nareszcie – ucieszyłam się, kiedy po długim czasie znowu mi się ukazała.

Potrząsnęła głową.

– To co tam robiłaś tak długo?

– Możesz tego nie zrozumieć – powiedziała udręczona. – Te przepierzenia są tak cienkie, że wszystko słycać. Tłum czeka przed wejściem, obok sika ją jakieś obce kobiety, ktoś próbuje wysadzić dziecko... Potrzebuję innej łazienki, bardziej kameralnej. Może będzie przy kinie.

Nacisnęłam klamkę drzwi oznaczonych tabliczką z wózkiem inwalidzkim.

– Proszę – powiedziałam. – Spróbuj tutaj.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością i zniknęła za tymi drzwiami. Znowu czekałam w nieskończoność. Przypomniało mi się, jak w młodszych klasach musiałam w szkolnej ubikacji trzymać dla niej drzwi, które nie miały zasuwki. Myśl, że ktoś zajrzy, kiedy ona będzie sikać, przerażała ją tak, że wołałaby męczyć się przez całą następną lekcję. „Babcia klozetowa!” – wołały na mnie wyrośnięte dziewczyny, które w łazience przypalały papierosy. Nie umiałabym im wytłumaczyć, dlaczego zgadzam się na to wszystko. Ale jak to możliwe, że nawet nie stawiałam warunków? A teraz? Co teraz robię?

Oddaliłam się od tych drzwi, wyszłam z korytarza, zatrzymałam się przed sklepem z porcelaną i oglądałam właśnie wystawę, kiedy złapała mnie za ramię.

– No, jesteś! – zawołała rozgniewana. – Czemu nie mogłaś poczekać?

– Czekałam tutaj – odpowiedziałam spokojnie.

– Myślałam, że już cię nie znajdę. Miałaś świetny pomysł i byłam taka zadowolona. Wygoda, spokój, cichutki Mozart z głośnika.

– Więc o co ci chodzi?

W jej spojrzeniu był wyrzut, ale nie zwyczajny wyrzut, na jaki stać zwyczajnego człowieka, tylko skondensowany wyrzut o morderczej sile, sama esencja wyrzutu. Dwaj rozwiedzeni mężowie i trzeci, który umarł, z pewnością znali to spojrzenie.

– O to, że zniknęłaś. Kiedy wyszłam, nigdzie cię nie było. Zostawiłaś mnie samą. Nie mogłam ci nawet powiedzieć, że miałaś doskonały pomysł. Po prostu mi uciekłaś!

Ale spojrzeć takim wzrokiem to dla niej żadna sztuka, przecież była kiedyś aktorką – przyszło mi do głowy i ni stąd, ni zowąd zachichotałam. Nie mogłyśmy się zgubić, obie miałyśmy telefony. Śmiałam się z morderczego wyrzutu w jej oczach, z drzwi bez zasuwki w szkolnej ubikacji i z siebie. Zamrugała powiekami – rzęsy zawsze miała wyjątkowo długie. Z początku nie wiedziała, jak się zachować. Co robić, kiedy tragiczny monolog rozbawi salę? Zejść ze sceny? Grać dalej, udając, że się tego nie słyszy? Zawiodłam ją jako publiczność. Ale potem i ona zaczęła się śmiać, i śmiałyśmy się razem jeszcze przez chwilę, jadąc w górę schodami ruchomymi. Patrzyli na nas ludzie, którzy zjeżdżali w dół. Widzieli dwie kobiety nie pierwszej młodości, przyjaciółki bawiące się świetnie na zakupach. Poddała się – pomyślałam. – Więcej mi tego nie robi.

Spóźniłyśmy się do kina, ale tylko o parę minut.

Gdy przez telefon zapowiedziała stary film szwedzki, nie wspomniała, że to będzie TEN film. Widziałyśmy go kiedyś razem, w innym świecie, sto lat temu, na wagarach.

Kupiła bilety i odsunęła banknot, który położyłam na kontuarze.

– Płaciłaś za kawę – powiedziała.

Weszłyśmy na widownię równocześnie z pielęgniarką, ona od strony ekranu, my z tyłu sali. Pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi.

– Jak się pani czuje, pani Vogler? – odezwała się.

– Gdzie siadamy? – spytałam szeptem.

Wskazała środkowe rzędy. Było prawie pusto. Zanim pielęgniarka wyznała, że nie wie, jak postępować z panią Vogler, zbuntowaną gwiazdą, usłyszałam obok siebie cichutkie, miarowe poświstywanie. Obróciłam się. Spała z przechyloną głową. Dwie kawy nie pomogły. Popatrzyłam na ekran. Był całkiem pusty, jeśli nie liczyć pacjentki i pielęgniarki, ale po chwili i one zniknęły. Obudziły mnie podniesione głosy. Ją także. Spojrzałyśmy nieprzytomnie na ekran, potem na siebie i znowu na ekran. Krótka scena kłótni właśnie się zakończyła. Przez jakiś czas oglądałyśmy razem czarno-białą, piaszczystą plażę. A potem znowu usłyszałam poświstywanie.

– A co właściwie tak nami wtedy wstrząsnęło, sto lat temu? – spytałam, kiedy usiadłyśmy w restauracji przy stoliku nakrytym białym obrusem. Było jeszcze więcej ludzi niż przedtem w kawiarence na dole. Okazało się jednak, że ona to przewidziała i zrobiła telefoniczną rezerwację.

– Wtedy? – odezwała się, w okularach na nosie przeglądając kartę dań. – Wtedy to było dla mnie objawienie. Dowiedziałam się, że jawny bunt jest możliwy. Że może być bezkarny. Tak, to chyba było to. Wezmę te tortellini ze szpinakiem. A na drugie... – przewróciła kartkę – pstrąga.

– Dla mnie tagliatelle z pesto – powiedziałam do kelnera. – I pstrąg.

– Do tego białe wino? – spytał. – Mogę polecić Queensland White, australijskie. Doskonale.

– Tak – kiwnęłam głową. Ona też kiwnęła głową, spojrzenie miała trochę roztargnione.

– A na deser? – spytał znowu.

– Odłóżmy to na później – powiedziała. – Nie wiemy, czy jeszcze damy radę.

Coś mi się przypomniało.

– Dlaczego właściwie wyszliśmy z tego sklepu bez perfum?

Uśmiechnęła się i sięgnęła do torby. Wyjęła z niej czerwony flakon z jedwabną kokardą, bez pudełka, co mnie zastanowiło. A przecież po wyjściu z perfumerii wszystko, co miała w torbie, wyłożyła na stolik w barze. I nie widziałam żadnego czerwonego flakonu. Kiedy wracała po okulary, torbę zostawiła na krześle. Ale było coś jeszcze dziwniejszego.

– Mogę zobaczyć?

Nie do wiary. Do butelki był przymocowany kawałek grubej przezroczystej taśmy, pozostałość po zabezpieczeniu. Samo zabezpieczenie zostało wyrwane ostrym narzędziem. Może nożem żeglarskim?

– Ukradłaś – szepnęłam.

Uśmiechnęła się znowu.

– Nie wspieram konkurencji.

Brzmiało prawie dobrze, ale to jeszcze nie była cała prawda.

– A po co nosisz ze sobą kombinerki? – spytałam. – Żeby kraść w sklepach z ciuchami?

– Podasz mi sól?

Soliła i soliła. Nie zje tego, pomyślałam. Albo zasoli się na śmierć.

Odstawiła solniczkę.

– Kombinerki przydają się do najróżniejszych rzeczy – wyjaśniła.

Trąciłyśmy się kieliszkami, ale ona nawet nie umoczyła ust. Wino nie było zresztą za dobre. Jeśli o tym wiedziała, czemu nie zamówiłyśmy innego? A jeśli w ogóle nie pije, po co udaje, że wszystko jest po staremu? Co prawda, nie mogłam sobie przypomnieć, jak to było trzy lata temu. Zamawialiśmy wino czy nie? W dawnych czasach nie wylewała za kołnierz, to akurat pamiętałam dobrze.

Pesto, zielone od bazylii, pachniało wspaniale i było piekielnie czosnkowe.

– Będiesz mnie potem wiozła samochodem – przypomniałam. – Wytrzymasz to?

Wzruszyła ramionami.

– Czosnek mi nie przeszkadza. Jak myślisz, dlaczego ten film już nie robi wrażenia?

– Kiedyś świat był młodszy, bardziej niewinny, łatwiej było nim wstrząsnąć.

Zaczęła się śmiać.

– Świat nigdy nie był niewinny.

– Więc dlaczego?

– To my byliśmy młodsze. Dwa razy młodsze od niej. Teraz jesteśmy od niej dwa razy starsze. Wiemy dwa razy więcej. Wiemy prawie wszystko. Mamy to wypisane na czole. Przejrzyj się w lusterku.

– I dlatego przespałaś prawie cały film.

– Ty też spałaś – powiedziała. – Myślałaś pewnie, że tego nie widzę. Nie skarzysz się na bezsenność. Mogłabym się założyć, że przez pół nocy klóciłaś się z mężem. Jesteście dobrym małżeństwem, ale czasem klóćcie się przez pół nocy, nie możecie przestać i każde z was ma ochotę wyskoczyć przez okno. Tak? A dzieci leżą w łóżkach, przerażone, i nasłuchują.

Tak. Klóciłam się z mężem przez pół nocy. Owszem, znam grozę rodzinnej idylli, zawsze okupionej setką zgniłych kompromisów. Ona nie szła na zgniłe kompromisy.

– Ty wolisz się rozwodzić – zauważyłam. – Rozwodzić się albo...

– Albo co? – spytała twardo.

Spuściłam wzrok.

– Albo zostać wdową – powiedziałam cicho, z biciem serca.

Roześmiała się znowu.

– Wymyśl coś lepszego – odpowiedziała.

Umilkłam. Nawinęłam na widelec przedostatnie pasmo makaronu, podniosłam do ust, przełknęłam. Nie wiedzieć czemu, stanęły mi przed oczami te drzwi bez zasuwki i wyrosnięte dziewczyny przypalające papierosy w łazience. Makaron uwiązał mi w gardle. Rozejrzałam się bezradnie i pociągnęłam łyk z kieliszka. I wtedy wymyśliłam coś lepszego.

– Piłaś – powiedziałam. – Dlatego nie pijesz. Bliski związek jest czymś, czego nie możesz wytrzymać bez alkoholu. Mnie to akurat wcale nie dziwi, kiedy wiem, że nawet żeby się wysikać, potrzebujesz specjalnych warunków. Uważaj, bo właśnie pakujesz się w nowy romans. Mam wrażenie, że żyjesz na tym świecie jak lalka z porcelany. Dziwne, że jeszcze się nie potłukłaś.

– Potłukłam się – spojrzała mi w oczy z nienawiścią. – Nie widzisz, że jestem cała posklejana klejem uniwersalnym?

Ktoś wszedł i uklonił się, mijając nasz stolik. Byłam pewna, że już go gdzieś widziałam. Może na ekranie, może na zdjęciach w kolorowej prasie. Odkłoniła mu się niedbale znad pustego talerza.

– Kto to? – spytałam.

– Ten? Aktor, miły dzieciak.

Kelner przyniósł nam pstrąga. Pstrąg też pięknie pachniał.

– Prosto z pogrzebu zawieźli mnie na detoks – powiedziała, kiedy się oddalił. O tym nie słyszałam. Z plotek wiedziałam tylko tyle, że mąż zapisał jej cały majątek, pomijając swoją byłą żonę i dzieci.

Czy można wsadzić kogoś do karetki, nie pytając o zgodę? Jak w operze mydlanej?

– Sanitariusze z prywatnej kliniki czekali na parkingu przed cmentarzem. Załatwił to w tajemnicy brat mojego męża. Mąż bardzo mnie kochał, jeśli chcesz wiedzieć. Na detoksie przez dziesięć dni chodziłam po ścianach. Odwyk trwał trzy miesiące. Do pierwszej wpadki wytrzymałam rok. I znowu trzy miesiące odwyku, ale już z własnej woli. Wróciłam do domu w zeszłym tygodniu.

Umierając, jeszcze organizował dla niej akcję ratunkową.

– „Mąż bardzo mnie kochał”! – powtórzyłam. – Jakie to typowe, jakie podobne do ciebie! Uważasz się za pępek świata i nie masz nic dla nikogo. Pamiętasz, jak odbiłaś mi...

Przerwała mi gwałtownie.

– O co ci chodzi? Przecież potem i tak za niego wyszłaś.

A gdybym spróbowała jej powiedzieć, że tamta zdrada, tamto kłamstwo i tamto cierpienie stało się częścią mojego małżeństwa? Dopiero by się śmiała. Na pewno nie umiałaby zliczyć wszystkich swoich zdrad i kłamstw, a przecież świat się od nich nie zawalił.

Tylko się strasznie postarzał.

Ukloniła nam się z daleka znana prezenterka telewizyjna, teraz chyba na emeryturze.

– A on? – spytałam.

– Kto?

– Facet, z którym się umówiłaś na wieczór. Powiesz mi, kim on jest?

– Nie – odpowiedziała, uśmiechając się do siebie.

Pomyślałam, że jestem dla niej czymś w rodzaju krzesła albo parasola, niczym więcej. Miałam do czynienia z potworem. Z zadowolonym potworem, szykującym się na przyjemny wieczór.

– Czekanie na telefon wyszło ci uszami. Byłam ci potrzebna tylko do tego, żebyś mogła odłączyć się od tego czekania, bo rozpadałaś się na kawałeczki. Ale znowu zrobiłaś się pewna siebie, kiedy jednak zadzwonił.

– No to co?

– Życzę ci, żeby z tego nic nie wyszło. Nienawidzę cię.

Zaległa cisza. Te słowa już padły, nie mogłam ich cofnąć, karta-stół. Ale ona nie była niewinną ofiarą. Pochyliła się nad talerzem i powoli grzebała w nim widelcem. Potem podniosła wzrok. Popatrzyła na mnie bardzo łagodnie.

Wstrząsnęłam nią, pomyślałam. Zrozumiała, że zapędziła się za daleko. Nie ma dzieci, mężowie odeszli. Siły do życia czerpie z przeszłości. A przeszłość to ja.

– Nie myślę, że z tego coś będzie – powiedziała. – To tak jak z perfumami. Trudno sobie odmówić, chociaż nie ma żadnej możliwości...

I może teraz wreszcie zaczniesz ze mną rozmawiać bez pozy.

Urwała. Lecz podjęła ten sam wątek w innym miejscu.

– Zgadza się, piłam. I brałam prochy. I mam zmiany w mózgu. Najbardziej brakuje mi zapachów. Podobno nigdy nie będę ich czuła. Słuch w porządku. Najlepiej słyszę dźwięki, których nie mogę znieść. Źle widzę, ale jeśli nie muszę, nie wkładam okularów. Rozmyty obraz wygląda lepiej. Prawie nie czuję smaku jedzenia. I na dodatek mam nadwrażliwą skórę. Każde dotknięcie to ból.

– Tak... – powiedziałam. – Tak...

– Ale mam coś – dorzuciła po chwili i błysnęła oczami – co inni dostają dopiero na łożu śmierci. Za późno, żeby mogli to docenić.

Kelner zabrał nasze talerze. Zamówiła jeszcze crème brulée i espresso. Ja zadowoliliłam się filiżanką herbaty, gorącej i gorzkiej. Piłam ją powoli.

– Co masz na myśli? – spytałam w końcu.

– Brak złudzeń – powiedziała, zajadając się deserem. – Zmysły kłamią. Świat, taki, jaki znamy, nie istnieje. Materia składa się prawie wyłącznie z pustki, w której błądzą jakieś tam cząstki. Ty pewnie myślisz, że filiżanka to filiżanka, stół to stół. Wyobrażasz sobie, że granica między tobą a mną jest czymś niesłychanie istotnym. Ale cały ten świat jest jak jeden wielki

obłok czegoś, czego prawie nie ma. I to coś, czego prawie nie ma, nieustannie przelewa się z przyszłości w przeszłość. Z niczego w nic.

Zmysły kłamią, pomyślałam, to zupełnie oczywiste.

Coś się zmieniło. Poczułam taki ból, jakby świat został mi nagle amputowany. A przecież nie przestał istnieć z chwili na chwilę. Nie było w tym nic nagłego. Taka jego natura. Nie ma co się dziwić, skoro powstał z niczego. Czy z niczego naprawdę może powstać coś? Jasne, że nie! W pewnym sensie – myślałam, tracąc grunt pod nogami – wcale nas nie ma. Oto życie, które dałam swoim dzieciom.

– Nie będziesz tego piła, prawda? – spytałam, sięgając drżącą ręką po jej kieliszek.

Pomachała na kelnera, żeby nam przyniósł rachunek.

– Razem czy osobno? – spytał.

– Osobno – powiedziałam.

– Ty, nie wygłupiaj się. Przecież wiem, że nie macie pieniędzy. – Uśmiechała się, pewna, że jej perfumy są lepsze od naszych etatów w budżetówce. Kelner też się uśmiechnął, dyskretnie. Tak samo jak trzy lata temu. Chociaż to był już inny kelner i inna restauracja.

Szczepan Twardoch

„A MARTYR FOR MY LOVE FOR YOU”

Kobieta w lustrze ma trzydzieści cztery lata, ma piegi i rude włosy, teraz mokre, i ma zmarszczki, piękne zmarszczki w kącikach ust i oczu. Od mówienia i od patrzenia, i od śmiania, i od mrużenia. Kobieta w lustrze ma trochę kaca, jest naga, ma drobne, niezbyt ładne piersi i ma brzuch. Każda kobieta jest brzuchem. Ja jestem brzuchem. Kobieta w lustrze jest chuda, ale ma grube, zbyt grube uda, ma brzuch płaski, na brzuchu jest luźna skóra i na tej luźnej skórze są rozstępy, poniżej jasna blizna po cesarskim cięciu, a jeszcze niżej pasek rudych, krótkich włosów, bo Piotrek tak woli.

Przeczytałam kiedyś o rozstępach na brzuchu, że są jak perły, perły macierzyństwa. Ale to nieprawda. Wtedy może to była prawda, ale teraz nie jest.

Odwracam się od kobiety w lustrze. Wchodzę do sypialni. Piotrek siedzi zgarbiony przy komputerze.

– No i jak się udało? – pyta, nie odwracając się od ekranu. Robi coś ważnego.

– Wychodzę. Muszę wyjść, to znaczy...

Nie kończę, bo nie wiem jak. Nie odważyłam się, oczywiście, nie mogłam się odważyć. Nie to chciałam powiedzieć. Teraz się odwraca. Rozczochrany, ciemnowłosy, ciemnobrody. Czasem ma tylko siny, gęsty cień na szczęce, a czasem ma brodę. Lubię, kiedy ma brodę. Zanim się odwrócił, nie rozumiał. Kiedy mnie widzi, rozumie. Ja naga. Tylko on zna mnie nagą. Naprawdę, tylko on. Kiedyś inni, ale tak dawno, piętnaście lat temu, to byłam inna ja i to jak nigdy. Tylko on zna mnie nagą, a teraz milczy. Zamknął komputer i milczy, i patrzy. Odwracam się, żeby na niego nie patrzeć, otwieram szafę, w lustrzanych drzwiach ta sama kobieta. Brzuch. Zakładam majtki, szybko, zapinam stanik, nie od kompletu, ale dobrze trzyma. Patrzy na mnie. Pończochy. Piotrek lubi pończochy, nie lubi rajstop, więc nie mam rajstop, tylko pończochy. Bluzka, spódnica, sweterek, jak leci, nie stroję się. Do łazienki wysuszyć włosy. Wiążę na karku. Nie maluję się. Piegi.

Mijam go znowu, patrzy na mnie, dłonie na zamkniętym komputerze. Nie pyta. Nie rozumie, niczego nie rozumie, bo nie może, ale nie pyta. Piotrek rzadko pyta. Z sypialni prosto do wyjścia, muszę iść prosto do wyjścia, nie mogę się zatrzymać, nie mogę wejść do pokoju Małej.

W przedpokoju biorę kluczyki, torebkę. Wychodzę, odpinam z tylnego siedzenia fotelik, nie zanoszę nawet do domu, zostawiam na podjeździe. Będzie zły, że nie zaniósł. Nie biorę kluczy od domu. Niczego nie biorę.

Wyjeżdżam. Piotrek jednak dzwoni. Wyłączam komórkę, okrutnie.

Wyjechałam, Wał Miedzeszyński, długo, powoli, w korku. Nie spieszę się.

I wraca wczoraj i ona. Włosy jak płynne złoto, tak mówi, że jeden facet napisał o niej, że ma włosy jak płynne złoto.

– I to są moje prawdziwe, żadne farbowane, taki mam kolor – zapewnia mnie.

I jest jednocześnie piękna i brzydka. Ładna nie jest – tylko bardzo piękna i trochę brzydka, jakby w powidoku. Bardzo szczupła, piękna talia i biodra, i przy tym dziwnie niezgrabna, jak nastolatka, która jeszcze nie przyzwyczaiła się do tego, jak długie ma ręce i nogi, dziwnie, bo jednocześnie w tej niezgrabności pełna gracji, dzikiej i tajemnej gracji. Widziałam ją, jak tańczy, jakby ręka mężczyzny, który obejmował ją w talii, łamała ją wpół, jednocześnie podtrzymując, i tańczyła pięknie i on też pięknie, nie wiedziałam, że to taki tancerz, jej biodra przy jego biodrach i ona taka mała przy nim i on trochę za duży, trochę zbyt potężny, pochylał się nad nią z czułością i droczyli się w tańcu i rozmawiali, i uwodzili się ciałami, i chciałam, żeby w niego wsiąkała, chciałam, żeby ją pocałował i żeby wyszli razem. Dla samego ich wspólnego piękna tego chciałam, dla jej płynnego złota i dlatego, że on trochę za duży.

Nie wyszli razem. Wróciła do naszego stolika, rozgrzana, podniecona, roześmiana. Ja też wróciłabym taka, a on chciał tańczyć ze mną, nie z nią i taka właśnie wróciłabym, ale jej go oddałam, tego trochę za dużego mężczyznę, dałam jej go, a ilu takich jeszcze będzie chciało ze mną tańczyć, zanim stanę się kobietą przezroczystą, jak te stare kobiety, przez które spojrzenia mężczyzn przelatują na wskroś, jakby nie istniały. A ja dałam jej go, chociaż ona nigdy nie będzie przezroczysta. Myślę, że umrze wcześniej, zanim zdoła stać się przezroczystą. Oddałam jej go, bo chciałam, żeby to ona z nim tańczyła, chociaż ja też chciałam z nim tańczyć.

Nie wyszli razem. Chciałam, żeby wyszli razem. Wróciła, do naszego stolika, poprawiała włosy, złote pasma na twarzy, trochę rozmazany tusz. Siada przy mnie, blisko, bo mało miejsca, a ja czuję, jak na jej gorącej skórze parują perfumy. Maleńkie brylanty potu na karku i szyi, nie krople, tylko jakby zroszona. Duży łyk piwa. Słyszę, jak zaczyna mówić i patrzę na nią, jak mówi, ale jej nie słucham, wystarczy mi, że słyszę jej głos i że patrzę na nią, jak mówi, nie wiem, jakie słowa wymawia. Odrzuca kosmyki, które wymknęły się gumce, zdmuchuje te kosmyki, a kiedy mówi, splata, załamuje ręce i mówi całą sobą.

– ...i rozumiesz, rejestruję to, i ta urzędniczka, nie, ona mówi, że to jest źle wypełnione i normalnie, czy one mają jakieś specjalne szkolenia, jak być suką, czy...

Piwo, łyk piwa. Patrzę, jak mówi. Zakłada okulary, wielkie, tandetne okulary w czarnych oprawkach, podróbki zerówki za pięć złotych. Wspaniałe. A potem je ściąga. Mówi. Patrzę, jak mówi.

– Idziemy na fajkę?

Idziemy. Jest zimno, ale nie zabrałyśmy kurtek, niech widzą. Widzą. Ale nie tacy, więc nawet nie podchodzą, bo wiedzą, że dla nich tylko upokorzenie. A ona zaplata się wokół prawego przedramienia, na którym dłoń z brązowym papierosem, lewa dłoń obejmuje i podtrzymuje łokieć, jej uda i łydki też splecione, palimy, reszta w środku.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam – mówi do mnie, nagle i nie nagle, bo przed słowami było spojrzenie.

Uśmiecham się. Znamy się już dobrych parę godzin, jak całe życie. Nie dziękuję, bo wiem, że mówi prawdziwie.

– Chciałabym być tobą. Kiedy na ciebie patrzę, to chciałabym być tobą. Jesteś taka... Masz inne życie – mówi. – Może dlatego, że w ogóle masz życie.

Uśmiecham się, milczę i słodki jest ustnik goździkowego papierosa.

– Zabrałabym ci to życie.

– A bierz sobie – mówię, bo jestem pijana.

– Wszystko bym zabrała. Chciałabym być tobą. Ale nie udawać ciebie, tylko być. Jesteś mocniejsza od facetów i w ogóle. Chciałabym być tobą.

Patrzy we mnie, nie na mnie, lecz we mnie, w ciemności i w zimnie, ale przecież jest i jasno, bo latarnie i światło zza witryn i ciepło, bo wiosna.

– Gdybym się wtedy, mówiłam ci, gdybym się dostała na akademię, to wszystko byłoby inaczej. Byłabym naprawdę aktorką, nie tylko w tamtym teatrze.

– A już nie możesz?

– Daj spokój. Mam dwadzieścia osiem lat.

W środku zmienia się muzyka i ona też się zmienia, nagle jak zwykle.

– O rany, słyszysz? Lecimy tańczyć!

I leci. Rzuca papierosa i leci. A ja dopalam jeszcze chwilę i czuję, że moja krew śmierdzi wódką i czuję strach, no bo oni w środku, jeśli mnie zobaczą, a ja pijana, co wtedy?

Nic.

Lecę za nią. Tańczę. Nie z nią, ale przy niej, bo już późno i już nieważne. Tańczymy, wolno, kołyszemy biodrami, przypominam sobie o moim własnym ciele, brzucha spod sukienki nie widać, nie widać pereł. Trochę za duży mężczyzna patrzy na nas zza stolika, patrzy łakomie, ale nie podejdzie, nie może podejść. Nie teraz.

Ona obejmuje mnie za szyję.

– Patrzy na nas – szepcze, przekrzykując muzykę i oplata mnie, spływa po mnie, czuję jej włosy na dekolcie, jej dłonie na biodrach, słyszę, jak ktoś gwizdże i jak ona się śmieje, a śmieje się głośniejsz niż każda muzyka, ja też się śmieję, całuję ją z udawaną namiętnością w kawałek

nagiej skóry na ramieniu, ale nie całuję prawdziwie, tylko dla żartu całuję, śmiechy i gwizd, a potem wracamy do stolika i śmiejemy się, i jesteśmy piękne i pijane.

Trochę za duży mężczyzna patrzy łakomie na nią, a potem na mnie. Ale wiem, że nie, nie, bo ja nie, bo on nie, bo praca, i z nią raczej też nie, przecież tak w ogóle nie. Chociaż może tak. Ale wystarczy, że patrzy.

– Byłaś kiedyś z kobietą? – to ona pyta, a trochę za duży mężczyzna krztusi się piwem. Po to zapytała, żeby się zakrztusił piwem. Ona gryzie wargę i pyta mnie, a ja jestem pijana.

– Nie. Całowałam się z koleżanką na studiach, ale tak dla żartu.

– Ja się nie całowałam ani nic. Nigdy. Lubię kobiety, bo są piękniejsze, ale nie mogłabym... – to już szepcze, żeby trochę za duży mężczyzna nie słyszał. Tego nie powinien słyszeć.

Odgarnia włosy, dziwnie, wierzchem dłoni, jakby dłonie miała brudne i nie chciała skalać swojego płynnego złota. Trochę za duży mężczyzna chciałby zniknąć, ale nie potrafi. To on ją przyprowadził. Jest bardzo cichy, zawsze był, znam go wiele lat i z każdym słowem, którego nie wypowiada, powinien wydawać mi się coraz atrakcyjniejszy, bo milczący mężczyźni są atrakcyjni, ale on znika z każdym słowem, którego nie wypowiada i nie wydaje się coraz atrakcyjniejszy.

Potem on znika zupełnie, a ona pije i płacze, jak zwykle nagle, cicho, prawie niewidzialnie płacze.

– Mam dwadzieścia osiem lat. Zawsze będę sama – płacze. – Ja nawet nie muszę mieć dzieci, rozumiesz? Nie zależy mi. Ale kogoś, wiesz, kogoś. Żeby jak się coś dzieje w moim życiu, to żebym mogła coś powiedzieć, zadzwonić. Ale nie znajdę. Nigdy.

Ja nie zaprzeczam, chociaż chciałabym, ale nie zaprzeczam. Płacze, że najpierw się nią zachwycają, każdy się nią zachwyca, że taka piękna, taka inna, a potem uciekają. Zawsze uciekają. Wycofują się. Pizdeusze, tak mówi.

– Boją się ciebie – mówię.

– Ale dlaczego się boją? Co, czy ja jakaś straszna jestem?

Wiem już, że źle powiedziałam i mówię, że boją się, bo są słabi i w ogóle. A ty jesteś silna i inne takie rzeczy mówię, takie się mówi, a ona nie wierzy albo wierzy.

– Jestem dzisiaj smutna. Mam taki smutny dzisiaj dzień, wiesz?

Wiem.

– A on jest taki... Ja się w nim trochę kocham, wiesz? On jest taki jak mały chłopiec trochę, tylko taki duży. Te potargane włosy, krzywo założone koszulki. I w ogóle.

Taki jest, rzeczywiście.

– Ile on w ogóle ma lat? – pytam, bo nie wiem, chociaż znam go tak długo i zawsze mi się podobał. Ale oczywiście nic, nigdy.

– Czterdzieści jakoś.

– Spałaś z nim?

– Pewnie. Z każdym spałam. – Śmieje się, a ja nie wiem, czy kłamie, czy nie kłamie, czy z każdym spała, czy z nim spała, nie wiem, czy jestem zazdrosna i nie wiem o kogo.

– A dlaczego nie chcesz z nim być?

– To on mnie nie chce.

– Widziałam, jak na ciebie patrzy.

– Patrzy, bo jest na co popatrzeć, ale być ze mną nie chce. Powiedział mi raz, że jestem jak granat bez zawlecзки.

Milnie i przygląda się komuś, taksuje, taki sobie mężczyzna przy barze, potem się odwraca i okazuje się stary, dobrze ubrany, ale stary, więc ona nagle traci zainteresowanie i patrzy na mnie.

– Nie można wypuścić z dłoni – mówię.

– Co?

– Granatu bez zawlecзки nie można wypuścić z dłoni.

– Bo wybuchnie.

– Napijemy się wódki? – pytam.

– Tak.

Pijemy. Jesteśmy silne i piękne, kiedy tak wychylamy po białej od szronu pięćdziesiątce. I potem idziemy, a potem jedziemy taksówką, mieszka przy Marszałkowskiej, a z taksówki dzwoni do kogoś, z kim dzieli mieszkanie – „ty, jaki my mamy adres, jaki numer?” – dziwię się, a ona wyjaśnia, że mieszka tam dopiero od pięciu dni.

– Przeprowadziłam się, bo oszczędzam na wyjazd do Nowej Zelandii. On jest jakimś tam muzykiem czy coś. Przespałam się z nim, drugiej nocy w tym mieszkaniu. Bo się upiłam. Straszny kac potem. Więcej nie będę z nim spała ani nic, bo to palant.

Teraz nie kłamie. Przespała się z jakimś muzykiem, bo się upiła, a potem miała kaca. Ale wcale się nie wstydzi. Kobieta bez winy i wstydu. Chciałabym być nią. A ona nagle coś zauważa, coś jej nie pasuje.

– Halo, no jak pan jedzie?! – krzyczy na taksówkarza.

– Przepraszam pana – uciszam ją. – Koleżance się pomyliło.

Oczy taksówkarza patrzą na mnie z lusterka. Uśmiechają się. Jest stary. Jest mu obojętne. Młodszej koleżance się pomyliło. Młodszej koleżance można wybaczyć.

– Ale on nas chce oszukać!

– Zamknij się, Jezu, no... Przepraszam pana.

Zamyka się. Oczy taksówkarza uśmiechają się z lusterka. Młodszej koleżance można wybaczyć. Zatrzymuje się. Płacę. Idziemy. Drzwi, klucze, schody, wspinamy się, ona mówi, a ja patrzę, jak mówi.

– ...i słuchaj, on wtedy mówi, że przecież nie może tego tak zostawić, nie...

I śmieje się, i wiesz się na moim ramieniu.

– Masz najpiękniejsze włosy, jakie widziałam – mówi.

Mam piękne włosy, wiem, są gęste, rude jak z irlandzkiej piosenki.

Wchodzimy do mieszkania, w środku wysoki, odrażający facet, trzydzieści lat, długie włosy, pije wódkę z kolegą, który jest niższy, ma wystający tyłek i tatuaże, piją wódkę na stojąco przy barku dzielącym pokój od korytarza. Gadają o tej wódce, jakby pili nie wiadomo co. Nie wiem, dlaczego ten wysoki wydaje mi się odrażający.

Przedstawia nas, nie uśmiecham się, jestem tak chłodno odstręczająca, jak tylko umiem, a umiem bardzo, taka praca, ale dlaczego? Bo z nim spała. Mieszkanie obrzydliwe. Piętnaście lat temu tak mieszkałam, na studiach. Obrzydliwe i wynajęte, i niezbyt czyste, i stare peerelowskie fotele pokryte wyblakłą, kiedyś bordową tkaniną. Kiedy byłam małą dziewczynką, taka tkanina drapała mnie w uda, gdy w letniej sukience zsuwałam się z fotela w domu rodziców, wtedy mieliśmy dom i mieliśmy takie meble.

Gość, z którym ona dzieli mieszkanie i jego koleżka patrzą na nas łakomie. Zapraszają, że wódeczka, że usiądźmy, zagramy wam coś. Jasne. Ich dwóch, my dwie. Blond i ruda. Który chce rudą? Ruda trochę stara. Ale nada się, prawda? Nada się?

– Chodźmy stąd – mówię. A ona nagle się odwraca i już widzę, z jej rozochoczonej miny, że będzie protestować, namawiać, zostaną, chłopaki zagrają, napijemy się wódki, będzie super. Będziemy tańczyć. Ale mina nagle znika, jak zwykle nagle.

– Dobrze – zgadza się. – Chodźmy.

I karze ich obu złym uśmiechem. I ja karzę ich obu moim wyniosłym chłodem. Ich zawiedzione jęki są moim triumfem nad nimi wszystkimi, nawet nad Piotrkim. Wychodzimy, a ona trzaska nawet drzwiami i śmieje się, zbiegamy po schodach.

– Straszna nora – mówię głupio.

– O rany, powiedziałaś „nora” o moim mieszkaniu? – śmieje się.

– Przepraszam. Jestem idiotka.

– Oj, no dobra. Przecież wiem, że nora. Oszczędzam. Chcę wyjechać do Nowej Zelandii, dlatego oszczędzam. Na rok.

– Super.

– No to gdzie?

– Możemy do mnie.

Możemy? Co by powiedział...? Nic. Weszłybyśmy, pijane, obudziłby się pewnie, przedstawiłbym, on by ją po swojemu otaksował wzrokiem, jak to on, skomplementowałby ją uroczo i tandetnie, jak to on, coś w stylu, że „mądra żona nie przyprowadziłaby do domu takiej koleżanki”, on zawsze jakoś tak, albo nawet powiedziałby coś otwarcie erotycznego, jak to on, powstałby chwilę z nami, może nawet wypił piwo, małe noteckie by wypił, stojąc w kuchni, zawsze pije małe noteckie z pękatej buteleczki, stałby w swoich kraciastych spodniach od pidżamy i w białym T-shircie, trochę zaspany i jak to on, trochę misiowaty, trochę rozczochrany, trochę nieogolony albo nawet brodaty, atrakcyjnie brodaty, silne ramiona, na pewno wydałby się jej seksowny mimo zaokrąglonego brzucha, no przecież, a potem powiedziałby, no to bawcie się, dziewczęta, ale ja mam rano robotę, poza tym Mała się może zbudzić, w barku macie martini, jakby co.

Ale go nie ma. Ani Małej. U rodziców.

– Możemy do mnie.

– A masz jakieś picie w domu?

– Kupimy po drodze.

Przecież mam. Ale kupimy po drodze. Więc taksówka, potem sklep 24h, kupujemy wino, a ja je wybieram, chociaż to przecież obojętne, a jednak wybieram, jakbym kupowała dla Piotrka, a kiedy wrócę z zakupów, on zobaczy mnie przez okno, więc wyjdzie wynieść zakupy, żebym nie musiała nosić toreb, wyciągnie wszystko z bagażnika, w kuchni jednak ich nie rozpakuje, dogrzebie się tylko do wina, wyciągnie butelki, zmarszczy nos, on tak śmiesznie marszczy nos, i będzie nad nimi medytował, poogląda, poczyta etykietki, będzie zadowolony albo będzie

niezadowolony, ja zawsze kupuję tańsze, on zawsze kupuje droższe, więc wybieram, jakbym kupowała dla Piotrka, więc nie poniżej trzydziestu, bo się skrzywi, ale nie więcej niż pięćdziesiąt, carmenere, ale reserva, proszę pana, reserva. Jest reserva, dobrze. Dwie.

– Boże, proszę pana, a czy ma pan djarumy?!? – to ona krzyczy, nagle jakby przerażona.

Sprzedawca się śmieje, ona się śmieje. Ja też. Ma. Ależ pani musi na tych djarumach zależeć.

– Wszystko bym dla djarumów zrobiła – tak mówi i puszcza bezwstydnie oko do sprzedawcy, wcale nie jest atrakcyjny, ale ona chce uwieść cały świat.

– Jesteś jak czarownica – mówię, znowu w taksówce.

– Ale to ty jesteś ruda – śmieje się. Ciągłe się śmieje.

Jesteśmy. Sto sześćdziesiąt za taksówkę, płacę. Klucze, drzwi, rozgląda się. Mój saab na podjeździe. Wiedziałam, że będę piła, więc nie wzięłam auta. Piotrek miał go wziąć, bo w nim fotelik, czy więc jednak pojechał volvem, czy może nie pojechał wcale i volvo stoi w garażu, a Piotrek został. Ale teraz nie mam odwrotu. Za późno. Szukam klucza. Jeśli jest, to przedstawię, a on ją skomplementuje tandetnie, jak to on, i pójdzie spać i co potem, a co, jeśli obudzi się Mała?

– Twój? – pyta, wskazując na samochód.

– No.

– Śliczny. Taki granatowy.

– Stary przecież.

– Śliczny.

Drzwi zamknięte na oba zamki, więc jednak nie ma go w domu, jednak nie! Nie wyjdzie w kraciastych spodniach od pidżamy, potargany, zarośnięty na czarno, jak to on, nie wypije noteckiego z pękatej buteleczki, jak to on.

Wchodzimy, do salonu, skopuję buty, torebka na kanapę.

– A twój mąż...?

– Nie ma go.

Śmieje się. Trochę się rozgląda.

– Kurcze, ale chata jednak...

– Na kredyt.

– Ale o mojej i tak nie musiałaś mówić „nora”. Przecież oszczędzam. Dlatego tak. Nie mam tyle kasy, co ty.

– Wiem. Przepraszam.

– Oszczędzam. Wyjadę do Nowej Zelandii, wiesz?

– Będę za tobą tęsknić.

Przecież nie wyjedzie. Odwraca się nagle do mnie, patrzy i znowu się śmieje. Podchodzi do płyt. Płyty są Piotrka. Wolę ich nawet nie dotykać, bo to nie są po prostu płyty, to są płyty Piotrka. Nie pozwala brać ich do auta. Mogę ci skopiować, nie chcę niszczyć oryginałów, a w aucie zawsze się zniszczą. Ona ogląda, otwiera, nie odkłada na miejsce. Otwieram wino, biorę dwa kieliszki, te najlepsze, wielkie z cienkiego szkła. Piotrek mówi, że to tylko do burgunda, a ja nie pamiętam, które to był burgund i biorę je, bo mi się podobają.

– Icky Thump! Uwielbiam!

– No, widziałam.

– A ty?

– Ja nie uwielbiam muzyki.

– Ale mogę puścić...?

– Puść.

Puszcza. Płytę z odtwarzacza kładzie byle jak, nie odkłada do pudełka. Wina nie smakuję, tylko piję. Ona tak samo. Siada obok mnie na kanapie, nogi podwija wysoko, sukienka zsuwa się i obnaża część ud, nie ma rajstop, nie zdjęła szpilek. Ma piękne łydki i piękne uda i widzi, że patrzę.

– No co?

– Nic. Jesteś piękna – mówię.

– Wcale nie. Jestem gruba.

– Nie mów tak przy mnie – odpowiadam poważnie.

Milknie, zupełnie inna, kiedy się nie śmieje ani nie płacze, ale nie uśmiecha się tylko przez chwilę i patrzy na mnie.

– Dobra.

Pijemy wino, ale ona nie umie usiedzieć na miejscu. Ja już nie chcę się ruszać, jestem zbyt pijana, a ona wstaje, kręci się po pokoju, patrzy na książki, na grafikę na ścianie, potem tańczy sama, jakbym zniknęła na chwilę albo jakby mnie w ogóle nigdy nie było, tańczy, jakby patrzyli na nią wszyscy mężczyźni świata i patrzyliby, gdyby tylko mogli patrzeć. Piotrek też by patrzył, patrzyłby teraz na nią, a nie na mnie, tylko na nią. Czerwona, ceglasta sukienka bez pleców, potargane jasnożółte włosy, rozmazany, zepsuty dawno makijaż i tańczy, bez winy i wstydu, ma ciało, a ja jakbym prawie ciała nie miała, Piotrek mnie uczył mojego ciała i ciągle nie nauczył, a Mała... Nie umiem, nie chcę teraz myśleć o Małej. Nie wypowiem jej imienia, nawet w myślach nie wypowiem jej imienia. Nie ma jej w pokoju, jakby nie było.

A ona siada obok mnie. Jest bardzo piękna. Patrzę.

– Chciałabym być tobą – mówi znowu.

– Możemy się zamienić – odpowiadam i gdybym nie była pijana, również tak bym odpowiedziała, chociaż nie możemy.

– Nie. Ale podoba mi się twoje życie i ty mi się podobasz.

Zamykam oczy i zaraz je otwieram, a ona jest już przy mnie, jej twarz przy mojej, jej nos w moich włosach. Nie protestuję.

– Wącham cię. Lubię wąchać ludzi – wyjaśnia.

Całuję ją i ona przez sekundę mnie całuje, przez dwie sekundy, ale nie otwiera ust i nagle się ode mnie odrywa, jakby zdierała ze mnie skórę. Mówi. Patrzę, jak mówi, ale nie słyszę. Mówi, jakby zamykała rozwartą skorupę.

– ...nie, bo przepraszam, ale ja nie... No naprawdę. Podobasz mi się, jesteś bardzo piękna, ale nie tak, bo mi się w ogóle dziewczyny nie tak...

Znika, idzie, zbiera się, znika. Mówi, nie patrzę, jak mówi, nie słucham, jak mówi. Jak wróci, taksówką, za dwie stowy, czy ma w ogóle? Chciałabym coś zaproponować, zadzwonić, ale siedzę, nie mogę się poruszyć ani drgnąć, czuję jej smak. A ona wychodzi, drzwi i już, była i już jej nie ma.

I wyszła i nie było jej już więcej.

A ja śpię, ale nie śpię. I kiedy jest już jasno, słyszę, jak wraca Piotrek, już bez Małej, bo zawiózł ją prosto do przedszkola. Dzwonię do Basi, zanim jeszcze Piotrek wejdzie do sypialni, kiedy krząta się, chowa samochód, zrzędzi, że saab na podjeździe, że mogłam schować, a ja dzwonię do Basi, że mnie dzisiaj nie ma i żeby zadzwoniła do agencji i przełożyła ich na przyszły tydzień, oczywiście, proszę pani. Potem uciekam przed Piotrkim do łazienki, a potem wychodzę naga, a teraz jadę.

Do niej. Ale nie jadę do niej. Przecież jest w pracy. Czyli gdzieś tam. Więc jadę do

Charlotte, na śniadanie i na dużą kawę i na oglądanie dziewcząt i chłopców o obliczach ładnych, kapryśnych i znudzonych, wszyscy jak skserowani, wąskie spodnie i grube okulary i wielka giełda warszawskiej atrakcyjności. A ja jakbym do tego świata nie należała, chociaż przecież należę tak samo jak oni, ale duchem mnie tu nie ma: czytam kobiece gazety, ale nie widzę słów, piję kawę, jem kanapkę z ricottą, potem znowu piję kawę i nawet jem ciastko, a potem wychodzę i jadę do Galmoku i oglądam sukienki i płaszczyki wiosenne w pustych sklepach, i kupuję sobie ciemnozieloną bieliznę, i kupuję sobie drewnianą bransoletkę, i nie kupuję sobie okularów przeciwsłonecznych, chociaż są ładne, ale jednak osiem stów to za dużo, więc nie kupuję, a potem postanawiam, że nie pojadę do niej, i jadę na Saską na obiad do mamy, nie zapowiadam się, ale wiem, że o czternastej jest obiad i że będzie go dość i przychodzę, mama się cieszy, nakrywa, nakłada i jemy i nie rozmawiamy, mama plecie o sąsiadkach, o księdzu, mama pyta o Małą, o Piotrka, nawet nie zauważa, że milczę, jem pierogi ze śmietaną i milczę. Ale mama nie zauważa, że milczę, mama pyta, dlaczego przyszłam sama, bez Małej, mama jest malutka i stara i samotna, chciałabym ją zapytać o ojca, zawsze chciałam i nigdy nie zapytałam i teraz też nie zapytam, bo już wychodzę i wyszłam.

A potem jadę do niej. Już chyba wróciła. Parkuję na strzeżonym, bo nigdzie miejsca, więc muszę przejść kawalek, idę i nie mam odwagi, zawracam na plac Zbawiciela i w Planie B przy barze zamawiam wódkę, a ja prawie nigdy nie piję wódki, a teraz zamawiam, jest pustawo i nieliczni wszyscy na mnie patrzą, bo jestem, bo jestem ruda, bo jestem sama, bo mam trzydzieści cztery lata, droższą sukienkę i droższe buty, bo zamówiłam wódkę, bo wypijam ją przy barze i zamawiam drugą, i drugą też wypijam i wszyscy na mnie patrzą i wymyślają sobie moje dramaty: ma obrączkę może zostawił ją mąż może zostawił ją kochanek może wylali ją z pracy może ktoś umarł a może poroniła a może idzie usunąć ciążę, a ja wychodzę i zostawiam ich z moimi dramatami i idę do niej i teraz mam odwagę, pamiętam numer mieszkania, domofon, a ona odbiera.

– Widzę cię z okna. Wejdz.

Słyszę inne głosy.

Wchodzę. Schody, a ona czeka w drzwiach uchylonych. Za nią wysoki długowłosa, patrzy zza jej ramienia, z ciekawością patrzy na mnie, zaprasza wzrokiem, za nim inni ludzie, butelki, szklanki w dłoniach, muzyka głośno.

– Wejdz – powtarza, otwierając szeroko drzwi. Wygląda inaczej, ale to ona. Włosy spięte, inne okulary. – Mamy imprezę. Wysoki odrażający za nią. Blisko.

– Przepraszam – szepczę tak cicho, aby mnie słyszała i nie waham się ani się nie żegnam.

Zbiegam po schodach, wychodzę na podwórko, na ulicę i dalej.

Autorzy

SYLWIA CHUTNIK, pisarka, felietonistka, działaczka społeczna. Kulturoznawczyni, absolwentka Gender Studies na Uniwersytecie Warszawskim, prezeska Fundacji MaMa działającej na rzecz poprawy sytuacji matek w Polsce, przewodnicząca po Warszawie. Publikowała w wielu czasopismach, jej teksty ukazały się także w książkach zbiorowych. Zdobywczyni Paszportu Polityki w 2008 roku i tytułu „Innowator dla dobra ogółu”, społecznego Nobla nadawanego przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Innowatorów Społecznych Ashoka. Autorka książek: *Kieszonkowy atlas kobiet*, *Dzidzia*, *Warszawa kobiet*, *Mama ma zawsze rację*. Nominowana do nagrody Nike 2009. Matka Polka Strajkująca. Mieszka w Warszawie.

ŁUKASZ DĘBSKI, prozaik, poeta, autor książek dla dzieci i dorosłych. Debiutował w 2001 roku zbiorem *Wiórki, wiewiórki i inne bajki wierszem*. Potem powstały między innymi: *Łamistówka*, *Łamiągłówni*, *Felicjanek 10*, *Wierszownik z podróży dookoła świata* oraz przewodniki krajoznawcze dla dzieci. Jego teksty były tłumaczone na angielski, niemiecki, rosyjski i czeski. Publikował w „Polityce”, „Misiu” i „Guardianie”. Laureat konkursu „Pisz do Pilcha”. W 2006 roku ukazał się jego zbiór opowiadań dla dorosłych *Café Szafé*. Od 2010 roku jest dyrektorem Stowarzyszenia Kabaretowego PAKA. Mieszka i pracuje w Krakowie.

JACEK DUKAJ, pisarz, publicysta i felietonista. Studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zadebiutował jako szesnastolatek opowiadaniem *Złota Galera* w 1990 roku w miesięczniku „Fantastyka”. W 1997 roku ukazał się jego debiut książkowy, powieść *Xavras Wyżryn*. Autor *Czarnych oceanów*, *Perfekcyjnej niedoskonałości*, *Extensy*, *Córki lupieżcy*, *Innych pieśni*, *Lodu*, *Wrońca* oraz licznych opowiadań zgromadzonych m.in. w tomach *W kraju niewiernych* i *Król Bólu*. Pomysłodawca antologii pt. *PL+50. Historie przyszłości*. Film animowany Tomasza Bagińskiego *Katedra* na do Oscara. Wielokrotny laureat nagród im. Janusza A. Zajdla, Jerzego Żuławskiego, nagrody SFinksa, Śląkfy, wielokrotnie nominowany do Paszportu Polityki, otrzymał również nominację do nagrody literackiej Nike, Nagrody Mediów Publicznych Cogito i Angelusa; laureat nagrody fundacji Kościelskich i Europejskiej Nagrody Literackiej 2009. Mieszka w Tarnowie.

MANUELA GRETKOWSKA, pisarka, debiutowała w 1991 roku powieścią *My zdies' emigranty*. W jej dorobku są także: *Tarot paryski*, *Kabaret metafizyczny*, *Podręcznik dla ludzi*, *Namiętnik*, *Silikon*, *Polka*, *Sceny z życia pozamalżeńskiego* (wraz z Piotrem Pietuchą), *Europejka*, *Kobieta i mężczyźni*, *Na dnie nieba*, *Obywatelka*, *Miłość po polsku* i *Trans*. Książki te zostały przełożone na kilkanaście języków. Założycielka Partii Kobiet. W 2012 roku ukazała się najnowsza powieść *Agent*. Mieszka pod Warszawą.

KRYSTYNA KOFTA, pisarka, scenarzystka i felietonistka, autorka powieści: *Wizjer*, *Wióry*, *Pawilon małych drapieżców*, *Sekretny dziennik Melanii R.*, *Chwała czarownicy*, *Złodziejka pamięci*, *Fausta*, *Ciało niczyje*, a także zbiorów opowiadań, esejów oraz powieści *Krótką historią Iwony Tramp* – pierwszej polskiej książki napisanej wspólnie z internautami. Wydała również książki autobiograficzne *Lewa, wspomnienie prawej* oraz *Monografia grzechów*. Publikuje felietony w „Twoim Stylu”, współpracuje z „Nowymi Książkami”, prowadzi bloga. Aktywnie promuje profilaktykę raka piersi, zabiera głos w ważnych sprawach społecznych

i politycznych. Mieszka w Warszawie.

WOJCIECH KUCZOK, pisarz, poeta, felietonista, scenarzysta, krytyk filmowy i speleolog. Od 1992 roku publikował swoje wiersze i opowiadania w prasie kulturalnej i literackiej. Pisał felietony dla „Rzeczpospolitej”, „Newsweeka”, „Tygodnika Powszechnego”, „Kina”, „Zwierciadła” i „Przeglądu Sportowego”. Autor powieści *Gnój*, za którą otrzymał Paszport Polityki i Nagrodę Literacką Nike 2003. Jest także autorem scenariuszy do filmów *Pręgi* i *Senność* Magdaleny Piekorz oraz monodramu *Doktor Haust*. Wydał także zbiory opowiadań *Opowieści słychane*, *Szkieleciarki*, *Widmokrąg*, *Opowieści przebrane*, zbiór esejów *To piekielne kino*, zbiór *trzańskie*. Jego książki zostały przetłumaczone na kilkanaście języków. Jako speleolog dokonał kilku znaczących odkryć jaskiń. Mieszka w Chorzowie.

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI, pisarz, publicysta i scenarzysta. Zadebiutował w 2004 roku opowiadaniem *Historia portfela*, wyróżnionym w konkursie „Pisz do Pilcha”. Jest autorem powieści *Domofon*, baśni dla dzieci *Góry Żmijowe* oraz kryminałów o prokuratorze Teodorze Szackim *Uwikłanie* i *Ziarno prawdy*, które przyniosły mu ogromną popularność. Laureat Nagrody Wielkiego Kalibru za *Uwikłanie* – najlepszą powieść kryminalną i sensacyjną 2007 roku. Powieść ta została sfilmowana w 2011 roku. Mieszka w Warszawie.

GRAŻYNA PLEBANEK, pisarka, absolwentka polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, pracowała jako dziennikarka dla Agencji Reutera i „Gazety Wyborczej”, felietonistka „Polityki” i „Wysokich Obcasów”, publikuje także w innych pismach. Autorka opowiadań *Dziewczyńskie bajki na dobranoc*, *Nie pytaj o Polskę*, *Zaraz wracam*, *Zamek*, *Projekt mężczyzna*, *Piątek, 2:45* i powieści *Dziewczyny z Portofino*, *Pudelko ze szpilkami*, *Przystupa*, *Nielegalne związki*. Mieszka w Brukseli.

MAGDALENA TULLI, pisarka. Autorka książki *Sny i kamienie*, za którą otrzymała nagrodę fundacji Kościelskich, i nominowanych do Literackiej Nagrody Nike powieści *W czerwieni*, *Tryby*, *Skaza*, *Włoskie szpilki*, a także powieści *Kontroler snów*, wydanej pod pseudonimem Marek Nocny. Jej książki były tłumaczone na wiele języków. Laureatka Nagrody Literackiej Gryfia oraz Nagrody Literackiej Gdynia 2012. Mieszka w Warszawie.

SZCZEPAN TWARDOCH, pisarz i felietonista. Opublikował pięć powieści, w tym głośny *Wieczny Grunwald* (za który otrzymał nominację do Nagrody Janusza A. Zajdla i wyróżnienie jury Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza) oraz kilka zbiorów opowiadań, między innymi tom *Tak jest dobrze*, nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia 2011. W 2012 roku ukazała się jego powieść *Morfina*. Laureat stypendium MKiDN „Młoda Polska”.

